

Opowiadania nominowane do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla Edycja 2013

*Ogłoszenie laureatów i wręczenie statuetek odbędzie się w czasie
Polconu 2013, Warszawa, 29 sierpnia – 1 września.*

Teksty te zostały opublikowane w celach promocyjnych. Wykorzystanie komercyjne zakazane

Spis treści

- Jakub Ćwiek – *Będziesz to prac!* ([Chłopcy](#), Sine Qua Non)
- Jakub Ćwiek – (fragment) *Co było, a nie jest...* ([Chłopcy](#), Sine Qua Non)
- Jakub Ćwiek – (fragment) *Kukuryku!* ([Chłopcy](#), Sine Qua Non)
- Jacek Dukaj – *Portret nietoty* (*Zachcianki*, Świat Książki)
- Tomasz Kołodziejczak – (fragment) *Czerwona mgła* ([Czerwona mgła](#), Fabryka Słów)
- Robert M. Wegner – *Jeszcze jeden bohater* ([Herosi](#), Powergraph)

CHŁOPCY

JAKUB ĆWIEK



Jakub Ćwiek

Będziesz to pracć!

Opowiadanie pochodzi ze zbioru Chłopcy, wydane go przez Sine Qua Non

Tej nocy spłonęła niemal cała karuzela z kucykami.

Chociaż stało się to za sprawą Kędziora i Milczka, Dzwoneczek i tak wiedziała, że nie może winić nikogo oprócz siebie. W końcu to ona wysłała po drewno na ognisko dwóch największych obiboków w całej Drugiej Nibylandii. Mogła przecież, jak zwykle, pogonić któregoś z Dzieciaków i pewnie każdy zrobiłby to z ochotą, dumny, że go zauważono. Ale nie, musiała być mądrzejsza. Musiała pokazać, kto tu rządzi.

– No i teraz mam – westchnęła, patrząc na stos czerniejących końskich łbów, na ich lakierowane korpusy porąbane na kawałki i trawione przez ogień. Cholera, kiedyś naprawdę lubiła tę karuzelę!

Chłodny wiatr od strony jeziora sprawił, że zadygotała i objęła się ramionami. Wiedziała, że to najprawdopodobniej ostatnie ognisko w tym roku. Według kalendarza wciąż jeszcze trwało lato, ale noce robiły się już chłodne, a wiatr coraz bardziej przeszywający. Lada chwila lunapark pokryje się kolorowymi liśćmi, a potem śniegiem... o ile zima w tym roku znowu nie da dupy.

Do Dzwoneczka przysiadł się Stalówka. Bez słowa podał jej kij z nabitym nań rzędem śnieżnobiałych pianek, a drugi taki badył wycelował w płomienie.

– Zapomniałeś o krakersach – upomniała go. – I czekoladzie.

Albinos wolną ręką poklepał się po wypchanej kieszeni.

– Spokojnie, wszystko jest. Będą s'more'y jak się patrzy.

Obrócił patyk, by nadtopić pianki również z drugiej strony, po czym cofnął rękę i oparł kij na kolanie. Sięgnął do kieszeni.

– Nie wiesz, co się dzieje z Kruszyzną? – zapytał.

Wyciągnął z kieszeni przygotowane uprzednio pół tabliczki czekolady i dwa krakersy. Następnie rozsmarował nadtopioną piankę na czekoladzie i złożył wszystko razem w chrupiącą kanapkę.

– Czy to tylko moje wrażenie, czy od czasu tej przygody z autobusem jest jakiś nieswój? – dodał.

– Też to zauważyłam – odparła Dzwoneczek.

Ona również obróciła swój patyk, ale zamiast w porę ściągnąć pianki, patrzyła, jak czernieją i skapują do ognia. Prosto w koński oczodół.

– Nawet próbowałam o tym z nim pogadać, ale ostatnio jakoś... Ta sprawa z lunaparkiem, nowi klienci. Nie miałam czasu, cholera.

Stalówka skinął głową, ugryzł kanapkę i przetarł usta rękawem skórzanej kurtki.

– Podobno przez sen mamrotał coś o łzach – odezwał się po chwili. – Kędzior mówił, że słyszał, jak Kruszyzna płakał przez sen, żebyś mu ich nie podawała. Że on chce pamiętać i... Dawałaś mu coś ostatnio?

Pokręciła głową.

– Pojęcia nie mam, o co mu chodzi – odpowiedziała. – Do tych dzieciaków w autobusie to też przecież on mnie wezwał. A potem powiedział, żeby nie dawać księdzu, to nie dałam, choć kusiło... Nie wiem, zwyczajnie nie mam pojęcia, co mu jest.

Stalówka odgryzł kolejny kęs s'more'a i przez chwilę gapił się na współbraci siedzących nieco w oddali, po drugiej stronie ogniska. Kędzior próbował śpiewać, Milczek towarzyszył mu, migając

słowa, Bliźniacy urządzili sobie konkurs picia. Kruszyna siedział tyłem do nich, a bokiem do albinosa i Dzwoneczka. Metodycznie, wypracowanym ruchem głaskał Pana Propera. Kot, sądząc po tym, jak wściekle wymachiwał ogonem, wcale nie był rad z tej pieśczoży.

– Cóż, myślę, że powinnaś go zwyczajnie zapytać – stwierdził po namyśle Stalówka. – I to najlepiej dzisiaj, kiedy nie pałętają nam się tutaj Dzieciaki.

– Tak. – Dzwoneczek pokiwała głową w zamyśleniu.

Nagle odrzuciła kij na bok, wstała i otrzepała spodnie.

– Co robisz? – zdziwił się Stalówka.

– Chyba mam pomysł – powiedziała. – Załatwimy to tu i teraz.

– „Prawda czy wyzwanie”? – Kędzior zmarszczył czoło. – To nie lepiej: „Zachlemy w trupa i kto ostatni na drzewie”? Tam przynajmniej znam zasady.

Pozostali Chłopcy również nie wyrażali specjalnego entuzjazmu. Bliźniacy łypali tęsknie w stronę skrzynki pełnej butelek, a Kruszyna nie przestawał głaskać kota. Milczek zamigał kilka znaków i bezradnie rozłożył ręce.

– Zgadza się, bro. – Kędzior pokiwał głową. – Też mi się wydaje, że z takimi rzeczami to jak z rozbieranym pokerem. Ma sens tylko wtedy, jak wokoło są pijane dupy, którym przyzwoitość każe znaleźć wymówkę, by się rozebrać czy...

Chciał jeszcze coś dodać, ale nagle zdał sobie sprawę, że cokolwiek powie, i tak nie będzie to miało większego sensu, bo mama już postanowiła. Widział to wyraźnie w jej lekko zmrużonych oczach, dostrzegał w zaciskających się z wolna piąstkach. Machnął więc ręką i usiadł na szerokiej kłodzie.

– Dobra, niech będzie – stwierdził z rezygnacją. – To kto pierwszy?

– Ja – odparła Dzwoneczek.

Przytoczyła sobie leżący z boku pieniek, gestem poprosiła Stalówkę, by dołączył do reszty, po czym usiadła i założyła nogę na nogę.

– Wybieram prawdę. O ile Kruszyna zada pytanie.

– Ej, nie można dodawać takiej zasa... – zaprotestował Drugi, lecz umilkł pod ciężarem spojrzenia Dzwoneczka.

Wszyscy skupili wzrok na odwróconym do nich plecami grubasie. Ten jednak milczał tak długo, aż w końcu zaczęło się im nudzić czekanie.

W końcu Drugi nie wytrzymał.

– Jak on nie chce, to ja mam pytanie. Czy sypiałaś z Piotrusiem, kiedy byłaś jeszcze taka mała i ze skrzydełkami? – zapytał. – I jeżeli tak, to...

– Czy żałowałaś kiedyś podania komuś łez?

To był Kruszyna. Nie odwrócił się, nie przestał głaskać kota, ale jego pytanie wybrzmiało głośno i wyraźnie niczym grzmot dobiegający z oddali. Dawno go takim nie słyszeli i raczej woleli nie słyszeć.

Dzwoneczek zerknęła na Stalówkę, uśmiechając się z satysfakcją. Potem przeniosła wzrok na czarne, pokryte gwiazdami niebo, przymknęła oczy i odpowiedziała:

– Tak. Był kiedyś taki przypadek. Jakiś rok po przyjeździe do tego kraju, gdy mieszkaliśmy jeszcze w... no, w tym miasteczku z papiernią, pamiętacie?

Pokiwali głowami.

– To było zimą, jakoś tuż przed feriami albo raczej zaraz po nich, bo pamiętam, że wyjątkowo opornie szło wam wstawanie. Najgorszy był jak zawsze Kędzior z tym swoim...

– ... jeszcze chwila, proszę – mruknął Kędzior bardziej do poduszki niż do stojącej w progu mamy. – Mam na dziewiątą.

– Ciekawe, jak to możliwe, cwaniaku – zaśmiała się Dzwoneczek – skoro prawie wszyscy jesteście w jednej klasie, a reszta ma normalnie na ósmą?

Jeżeli jednak myślała, że weźmie go logiką, to srogo się zawiodła. Mało kto bowiem potrafi kłamać tak sprawnie, jak niewyspany jedenastolatek próbujący kupić sobie ekstra kwadrans w łóżku.

– Oni odrabiają za zeszły tydzień. Nie chcieli zostać po lekcjach i... Auuu, zimne! Oszalałaś?!

– Nie, jeszcze nie – Dzwoneczek, nie przestając się śmiać, odstawiała pusty kubek na szafkę – ale sądzę, że przy was długo mi to nie zajmie. Ręcznik i ubranie masz na krześle. Radzę ci się pospieszyć.

Kędzior mruknął coś w odpowiedzi, przejechał ręką po mokrych sprężynkach włosów, wreszcie usiadł na łóżku. Sprawnym ruchem zdjął przemoczoną górę od piżamy, a potem zsunął stopy na podłogę, próbując wymacać kaptcie. Potarł zaspane oczy i skinął plakatowi Arnolda na przeciwległej ścianie.

– Ja tu wrócę – szepnął i sięgnął do poręczy krzesła.

Ubrany wyszedł do dużego pokoju, gdzie wszyscy jego przybrani bracia już siedzieli przy stole. Na talerzach parowała mocno ścięta jajecznicą z cebulą, w koszyku leżał chleb, a nad wszystkim unosił się zapach kawy zbożowej.

– Siadaj i jedz – poleciła Dzwoneczek.

– Ale Milczek siedzi na moim miejscu – jęknął Kędzior w odpowiedzi.

– To go strąć albo usiądź na jego. Tylko jedz już wreszcie, bo obiecałam waszej pani, że od tego semestru nie będziecie się więcej spóźniać i... Kędzior, do cholery! Powiedziałam „strąć”, a nie „podnoś razem z krzesłem”! Naprawdę mi tego nie ułatwiacie...

Dzwoneczek odłożyła trzymany właśnie talerz, podeszła do stołu, złapała Kędziora za ucho i posadziła go przy stole. Wracając, zdzieliła w tył głowy Pierwszego, który dłużył w nosie.

– Ty, górnik, mało ci śniadania?

Ponownie wzięła do ręki ten sam talerz i zaczęła go wycierać okrężnymi ruchami.

– A w ogóle przypominam, że jak jeszcze raz pozwolicie komuś pobić Milczka, to spuszczę łomot wszystkim naraz i każdemu z osobna. Co z tego, że jest w innej klasie? Macie o siebie dbać! Wszyscy, jasne?!

Pokiwali głowami i posłusznie dokończyli jedzenie. Potem jeszcze tylko krótka, acz zażarta przepychanka w przedpokoju i już byli gotowi do wyjścia.

– Pa, mamó! – zawołał Stalówka, który wychodził jako ostatni.

Jego słowa zagłuszył huk, jakim niósł się po klatce schodowej tupot sześciu par zimowych butów.

Dopiero gdy wszystko ucichło, Dzwoneczek przekręciła klucz w zamku i odsapnęła z ulgą.

Chłopcy z krzykiem wypadli na ośnieżoną ulicę. Wyglądali trochę jak nietypowi kolędnicy – na plecach zimowej kurtki Stalówki widniała naszywka kręgosłupa i odrastających od niego żeber, Kruszyna miał pluszową czapkę z misiowymi uszkami – a trochę jak młodociany gang. Przemawiały za tym zwłaszcza naszywki zrobione przez mamę i naszyte tuż nad szkolną tarczą. Widniał na nich rozbity zegarek oraz napis „TIK-TAK-ARGH!”. Nauczyciele z początku byli im bardzo przeciwni, ale wtedy Stalówka wytłumaczył dyrektorowi, że to znaczek angielskiego ruchu katolickiej młodzieży obrazujący hasło „Znajdź czas dla Boga”. Doszło do tego, że ksiądz katecheta usiłował zamówić takie naszywki dla reszty klasy.

Szli teraz główną drogą, wzdłuż zasy. Rano musiała tędy przejeżdżać odśnieżarka, bo ulica pokryta była tylko cienką warstwą delikatnego puchu, który przyklejał się do butów i nogawek. Pozlepiane płatki niczym maleńkie piórka wirowały w powietrzu.

– Dobra, to tak – powiedział Stalówka, gdy przed nimi zamajaczył już budynek szkoły, wielka bura budowla z czerwonym dachem, z którego lypało pojedyncze okno w kształcie oka. – Bliźniaki lecą na skrytki i przynoszą wszystko, co zwinęliśmy z papierni przez ferie. Komiksy tylko aktualne: *Batman*, *Superman* i *Spiderman*, bo reszta idzie słabo, ale gazetki z babami mogą być też z archiwum. Tylko nie za dużo, parę „Twoich weekendów”, ze dwa „Catsy”. Poza tym karty z samochodami, trzy talie, karteczki z gum Turbo, bo to zawsze idzie, i albumy do Kukuruku, bo ostatnio jakieś baby pytały. Kędzior, dzisiaj ty szukasz frajera, który nam zrobi zakupy, tylko nie przepłać go jak ostatnio. Pięć fajek, nie więcej.

– Się rozumie.

Rudowłosy skinął głową i zsunął z ust szalik, by móc wyraźniej mówić.

– A jakie mamy kupić? – spytał. – Marlborasy, klubowe i carmeny?

– Tak. – Albinos kopnął grudę lodu. – Tylko tym razem żadnego palenia. Mama znowu wyczuje i jesteśmy w dupie.

– Chyba ty – parsknął Pierwszy.

– Tak, albo twoja stara – odparł Drugi ze śmiechem.

Zaraz umilkł, gdy zdał sobie sprawę z tego, jak palnął. Pozostali, nawet jego bliźniak, przystanęli.

– Coś powiedział? – syknął Stalówka, zdejmując tornister. – Co powiedziałeś o mamie?

Bliźniak ściągnął czapkę i pochylił głowę, karnie przyjmując na nią razy ze śnieżnych piguł. Gdy skończyli, otrzepał głowę i naciągnął czapkę na uszy. Ruszyli, a Stalówka jakby nigdy nie podjął wątek.

– Handluje jak zawsze Kędzior, Pierwszy i Milczek na czujce, Drugi zbiera zapisy na wideo, a Kruszyna musi się przejść po ludziach i odzyskać przetrzymane filmy. A, jeszcze jedno. – Albinos przystanął. – Te dupki z siódmej i ósmej będą się czaić pod klasą specjalną, żeby wziąć odwet na Milczku za ostatnie, więc zanim idziemy na lekcje, odprowadzamy go do klasy. I to samo po lekcji. Od razu gonimy pod specjalną, żeby go odebrać, jasne?

– Tak, ale nie rozumiem, czemu nie możemy tego załatwić po prostu, raz na zawsze – westchnął Kędzior. – Przecież gdybyśmy...

– Dość! – warknął Stalówka. – Powiedziałem, jak będzie, i powiedziałem, że się tym zajmę, tak? Więc zostaw myślenie mnie i rób, co ci kazałem. Mama sama nas nie utrzyma.

Kędzior mruknął coś jeszcze pod nosem, ale słowa poszły w szalik. Schylił się i zebrał śnieżny pył w ręce. Ulepiwszy pigułę, cisnął nią w znak ostrzegawczy przed pasami, na który mówili: „Uwaga, pedofil”. Mężczyznę goniącego za dziewczynką trafił prosto w głowę.

– Spedofiluj to – wycedził i wszedł na zaśnieżone, ledwie widoczne pasy.

Jeszcze dwa lata temu Radek Pałka nie mógł się doczekać ósmej klasy. Mówił na nią „żniwa” i był przekonany, że będzie to czas, gdy uda mu się wreszcie trząść całą szkołą, zaspokajać wszelkie uczniowskie potrzeby i kosić tyle szmalu, by wystarczyło na dobry start w ogólniaku. Od ojca nie chciał brać, wystarczyło już, że korzystał z jego dwóch magnetowidów i pracy w papierni.

Miał dryg, był obrotny, więc od początku jakoś tam sobie radził i utrzymywał się na fali. Zawsze jednak był ktoś starszy, ktoś z lepszymi układami i towarem. Ktoś, kto kradł jego pomysły i rozwijał je na szerszą skalę. Komiksy, a potem gazetki porno, sprzedawanie całych „Bravo” i „Popcornów” zamiast handlu samymi plakatami. Zestaw piwo plus miętówki. Wszystko to ktoś mu podbierał, ale Radek był naprawdę cierpliwy i tylko powtarzał swoim kumplom: „Przyjdzie ósma klasa, będą żniwa. Wtedy się obłowimy”.

A potem pojawili się oni. Sześciu szczeniaków. Ledwie trzecio-, czwartoklasiści w durnych czapkach i z kretyńskimi naszywkami, ale zgrani jak wojsko pod wodzą tego czerwonoookiego, bladego odmienia. Weszli i przejęli niemal wszystko. Potrzebowali tygodnia, by ośmieszyć Radka przed uczniami, dwóch, by pokazać nauczycielom jego skrytki z piwem i gazetkami. W dodatku nie

dawali się dorwać, zawsze trzymali się razem, a dyrektor chyba leciał na ich matkę.

Ostatecznie udało się wszystko jakoś ustawić, ale żniwa szlag trafił. Ilekroć bowiem Radek wyściubił choćby nos z dołka, do którego go wepchnęli, zaraz robili taki numer, jak przed feriami. Co prawda dorwali tego niemowę, kiedy szczał im w skrytce na gazetki, ale co z tego, skoro towar poszedł się walić? Nawet spuszczenie dupkowi łomotu nie poprawiło Radkowi humoru.

– Ale teraz wszystko się zmieni – mruknął do siebie, wchodząc na teren szkoły.

Skinął głową Danielowi opartemu o murek i przybił piątkę temu nowemu z siódmej, którego zwerbowali na feriach. Miał ksywę Siwy i pokazał, że umie się bić, a także szybko biegać. Takich ludzi Radek potrzebował. Zwłaszcza teraz, kiedy szedł na wojnę.

– Siema, Radziu. Jak dzisiaj? – zapytał w progu Bartek.

Był kędzierzawym osiłkiem o kwadratowej szczęce, z dołeczkiem w brodzie niczym ślad po kuli. Razem ruszyli na piętro.

– Spoko, mam parę nowych filmów. Dwa z van Damme’em, niemiecki pornol i jakiś *Łowca androidów* z Fordem. Jak będzie tak dobry, jak *Cyborg*, to mamy hita. – Cisnął tornister pod klasę i zabrał się do rozpinania kurtki. – A jak gówniarze?

– Okupują cały damski. – Po minie Bartka widać było, jak bardzo jest wściekły. – Dziewczyny mają teraz dodatkową promocję i za sikanie przy otwartych drzwiach dostają zniżki i gratisy. Bliźniaki to wymyśliły.

– Zboki. Któraś się już zgodziła?

– Strońska.

– Ożeż kurwa! – wyrwało mu się stanowczo za głośno.

Stojący parę metrów dalej fizyk, doktor Zabłocki, prawdziwy postrach szkoły, odwrócił się i posłał mu jedno ze swoich spojrzeń z kategorii „szukam cię w archiwum pamięci”. W końcu znalazł, bo uśmiechnął się paskudnie.

– I tymi samymi ustami recytuje pan potem wzory, panie Pałka? – zapytał. – No cóż, do zobaczenia później na lekcji. Sprawdźmy, jak się pan przygotował.

Radek tylko westchnął. Ten dzień zdecydowanie nie zaczął się tak, jak powinien.

– Na krechę to twój stary może się twojej starej spuścić – mruknął Kędzior do małego, chuderlawego wyrostka w czarnym wełnianym sweterku. – Nie masz kasy, to przyjdę, jak znajdziesz. I spoko, te dziunie może są wilgotne, ale gazety ci przez ten czas nie zmoczą. Następnym.

Do ławki podszedł wyrosnięty piegus i bez słowa położył na blacie piętnaście tysięcy. Kędzior obejrzał się przez ramię.

– Drugi, podaj „Twój weekend” i dwie fajki.

– Wcześniej było pięć – zachnął się piegus.

– Telewizji w domu nie masz? – mruknął Drugi siedzący na sedesie w otwartej kabinie. – Inflacja jest.

– No właśnie – poparł go Kędzior. – Ale jak dołożysz jeszcze jednego szopena, dam ci trzy malborasy zamiast radomskich. Stoi?

Piegus skinął głową i wyciągnął jeszcze jeden banknot pięciotysięczny.

– A macie też gumy?

– Nie w twoim rozmiarze – odparł Kędzior i parsknął śmiechem. – A serio, to po gumy idź sobie na sklepik albo znajdź tych z ósmej. Tu się robi poważne biznesy. Następnym.

Na minutę przed dzwonkiem Pierwszy dał znak i zamknęli interes do następnej przerwy. Przesunęli ławkę, towar popakowali do foliowych toreb i ukryli w spluczkach. Gdy kończyli, zjawił się Stalówka.

– Nie mamy dzisiaj matmy. Gruzia się pochorowała. Dobrze się składa, bo jest szansa na nowy, fajny towar, ale to znaczy, że jednak zmiana planów i Milczek wraca dzisiaj sam. Ale spoko, tragedii nie ma, starszaki chyba odpuścili. Tylko się nie zgub po drodze i nie daj pobić, bo nam

mama nogi z dup powyrywa.

Milczek wyszczerzył zęby i zasalutował.

– No – Stalówka odpowiedział uśmiechem – to gnaj już do tych swoich specjali, bo się zaślinią z tęsknoty. A wy raz-raz. Nie chcemy, żeby nas biologica przetrzymała po dzwonku, nie?

Opuścili toalety i ruszyli dziarsko korytarzem. A chwilę potem, gdy na dobre ucichły już ich głosy, z męskiego wyszedł Siwy. Był tak podekscytowany, że zapomniał zapiąć rozporek.

Radek siedział na parapecie i z rosnącym uśmiechem słuchał raportu Siwego. Zaraz też przybiegł Bartek i potwierdził słowa siódmoklasisty – rzeczywiście Gruzia rozchorowała się i musiała iść do domu, a gnojki miały z nią ostatnią lekcję. Ogłoszenie, że są z niej zwolnieni, wisiało już na tablicy obok „szczęśliwego numerka”.

– Czyli rzeczywiście niemowa zostaje sam – powiedział Łukasz, długowłosego metal, który nigdy nie był zbyt bystry, ale za to bił się jak szatan. – Więc co? Łapiemy go po lekcjach i...

Uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Dziel i rządź – powiedział Radek. – Tak było na historii, nie? Dziel i rządź.

Łukasz nie zrozumiał. A może tylko wołał się upewnić?

– To znaczy wpierdol, nie?

Pałka pokiwał głową.

– Tak, stary, to właśnie to znaczy. Zobaczymy, czy niemowy potrafią głośno płakać.

Gdy zadzwonił ostatni tego dnia dzwonek, Milczek już był spakowany. Mimo to musiał jeszcze raz wysłuchać całego zadania domowego, właściwie wyjaśnienia krok po kroku, jak je zrobić. Czasami to, że wszystkich w klasie specjalnej traktowano jak niedorozwiniętych umysłowo, było naprawdę upierdliwe.

W końcu jednak udało mu się wyjść. Bez większych przeszkód spakował resztkę towaru z damskiej toalety i opuścił szkołę niezaczepiony przez nikogo. Szybko przebiegł przez boisko, cisnął tornistrem za ogrodzenie, a potem przeskoczył je na przerzutkę i ruszył przez park.

Znał to miejsce dość dobrze. Tu przesiadywali, wagarując, kiedy nie chciało im się włączyć, tu jesienią zbierali żółte mirabelki, a za obalonym pomnikiem przyjaźni polsko-radzieckiej chowali towar w jednej z wodoodpornych skrytek. Tuż obok mieli też ławkę i stary, rozkładany stolik, który przenieśli w krzaki, by grać z laskami w rozbieranego znaczone kartami.

Milczek minął pomnik oraz krzaki z ławką i skręcił w boczną alejkę. Szedł teraz po nieodgarniętym śniegu. Po jednej stronie ciągnął się rząd porozbijanych, powyginanych latarni, a po drugiej – artretycznie powykrzywianych nagich drzew. Gdzieś tam przechadzała się samotna wrona, tu i tam było też widać pojedyncze ludzkie ślady, częściowo już wypełnione świeżym puchem. Milczek przystanął, by przyjrzeć się tym wyglądającym na najświeższe... i wtedy zarobił pigułą.

Padł na ziemię, a przed oczami zrobiło mu się czarno. Przez głowę przemknęła mu myśl, że to nie była zwykła śnieżka, a raczej jedna z tych specjalnych. Oblepia się kamień białym puchem, a potem ugniata mocno, polewa wodą i zostawia do zamarznięcia. Gdy rzucasz takimi, na pewno nie chodzi ci o zwykłą zabawę na śniegu.

I rzeczywiście, gdy lekko zadarł głowę, dostrzegł, jak znikąd wyrastają nad nim Pałka, Siwy, Daniel i Łukasz. Bartek stał w pewnym oddaleniu, najwyraźniej na czujce. Każdy z nich trzymał w ręku pigułę z kamulcem. Sądząc po minach, zamierzali ich użyć.

– I co teraz, smarkaty chujku? – zapytał Radek. – Nadal masz ochotę szczać na mój towar? Już nie jest ci tak wesoło, nie?

Milczek patrzył na niego przez chwilę, po czym powoli, z wysiłkiem, podniósł się na kolana i zdjął czapkę. Pomacał tył głowy i zobaczył, że rękę ma we krwi. Zlizał ją i wyszczerzył się, prezentując czerwone zęby.

– Kurwa, obrzydliwe – jęknął Łukasz i uniósł w górę pigułę.

Wtedy dostał w głowę.

Tym razem była to zwykła śnieżka, która całkowicie rozprysła się na czapce ósmoklasisty, ale też skutecznie wytrąciła go z równowagi. Łukasz obejrzał się i dostrzegł stojącego przed sobą grubego Kruszyńkę w czapeczce z misiowymi uszkami, który ugniatał w rękach kolejną kulkę i uśmiechał się półgębkiem. A potem grubas ruchem głowy wskazał starszemu chłopakowi na niebo.

Spojrzał odruchowo... i mało nie zemdłał. Nad ich głowami unosili się swobodnie pozostali Chłopcy, uzbrojeni teraz nie w piguły, a w kije, pałki, a nawet – jak w przypadku Kędziora – noże.

– Wszystko w porządku, Milczek? – zawołał Stalówka.

Niemowa pokiwał głową i jeszcze bardziej się wyszczerzył. Albinos przeniósł wzrok na Kędziora.

– Gotowy?

W odpowiedzi rudy chłopiec wyjął nóż z ust i z całej siły wrzasnął:

– BANGARANG!

A potem cała czwórka zapikowała w dół, prosto na bandę Radka.

To była dla niej najlepsza chwila każdego dnia. Ten moment, kiedy zdążyła już odespać pracowitą noc, a Chłopcy wciąż jeszcze byli w szkole i mogła sobie pozwolić na gorącą, relaksującą kąpiel z pianą. Po prostu kładła się w wannie, bez żadnej książki, bez muzyki w tle, w całkowitej ciemności. Pozwalała, by woda wypłukała z niej zmęczenie, by usunęła ból z mięśni. By zmyła obleśne, lepkie ślady, jakie – była tego pewna – zostawiały na niej nawet same spojrzenia zбочeńców wpychających jej do majtek wymiętolone złotówki i marki.

Przymknęła oczy i powoli zanurzyła głowę. Tafla wody zamknęła się nad nią, serce zwolniło, a myśli pognały dobrze znaną ścieżką w stronę drugiej gwiazdy na prawo i...

Ktoś zapalił światło w łazience. Dzwoneczek wynurzyła się błyskawicznie i zobaczyła przed sobą zdyszanego Bliźniaka. Miała wrażenie, że to Drugi, ale w tym stanie, gdy ubranie miał w strzępach, a twarz brudną od krwi, trudno było stwierdzić z całą pewnością. Chłopiec cały trząsał się i płakał.

– Co się stało? – zapytała, wychodząc z wanny i sięgając po ręcznik.

– W parku... my... oni...

Uderzyła go otwartą ręką w twarz. Mocno, aż go odrzuciło.

– Jeszcze raz, tylko bez paniki. Co robiliście w tym parku? Co się stało?

– Urządziliśmy zasadzkę – wystękał Bliźniak już składniej, cios najwyraźniej nieco go otrzeźwił. – Taką jak na piratów, ale poszło źle.

– Jak bardzo źle?

– Bardzo – odparł Chłopiec. – Jak wtedy.

– Kurwa mać!

Dzwoneczek cisnęła ręcznik na podłogę i błyskawicznie wciągnęła koszulkę i spodnie, dopięła pasek.

– Ktoś was widział? W której to części parku?

– Przy złamanych lampach. I nikt nie widział, nikogo tam nie było. Zresztą Stalówka już się zabrał do sprzątnięcia i...

Dzwoneczek odepchnęła go na bok i wybiegła do przedpokoju. Założyła buty i kurtkę, złapała torebkę i kluczyki.

– Prowadź! – rozkazała, puszczając chłopca przodem.

Wybiegli na korytarz.

„Bardzo źle”, huczały jej w głowie słowa Bliźniaka. „Jak wtedy”... A jakiś natrętny, nieznanym jej wcześniej głos pytał, czy nadal sądzi, że chłopców da się jeszcze uratować.

Gdy dotarła na miejsce, zobaczyła Chłopców skrzętnie uwijających się przy robocie. Trzeba im było przyznać, że pod czujnym okiem Stalówki spisywali się całkiem nieźle. Ciała ukryli w zaspie, a potem zabrali się do wymiatania i wykuwania skrwawionego śniegu aż do chodnika. Wrzucali go do nieco już przemoczonych, ale wyłożonych folią kartonów przyniesionych z zaplecza pobliskiego sklepu. Wszystko sprawnie, bez słowa skargi, ale Dzwoneczek nie była pewna, czy powinna cieszyć się z tej zaradności. Poza tym, co im, kurwa, odbiło?!

– Myśleliśmy, że będą się bronić – wystękał Kruszyna roztrzęsionym, piskliwym głosem. – Że będzie jak zawsze na wyspie, kiedy to była tylko zabawa. Ale nie było jak zawsze. Było...

– Jak wtedy – szepnął Kędzior.

Nawet on, zazwyczaj pewny siebie, miał teraz oczy wielkie jak spodki i trzęsła mu się dolna warga. Jednak jeszcze się trzymał w przeciwieństwie do Milczka, który siedział na ziemi i płakał, kołyszając się w przód i w tył.

Dzwoneczek kucnęła przy nim i pogładziła go po blond włosach. Spojrzał na nią, a ona pocałowała go najpierw w czoło, a potem w oba policzki. Kantem dłoni otarła zasmarkany nos.

– Stalówka! – zawołała, nie podnosząc głowy. – Zabierz ich do domu, natychmiast. Macie iść tak, żeby nikt was nie zobaczył, a w domu natychmiast się przebrać i wszystkie, wszystkie ubrania, jakie macie na sobie, wrzucić do wanny, jasne?

Albinos pokiwał głową. Włożył palce do ust, gwizdnął, a wtedy wszyscy chłopcy, nawet Milczek, poderwali się i ustawili w równym rzędku. Potem, na kolejny gwizd, ruszyli.

I gdy tak szli jeden za drugim, Dzwoneczek nagle przypomniała sobie dzień, w którym Piotruś sprowadził na wyspę Wendy, Janka i Michasia. Wtedy Chłopcy maszerowali niemal tak samo, choć weselej, bo ku przygodzie...

– Wtedy wszyscy byli jeszcze niewinni – mruknęła pod nosem.

A potem zabrała się do odkopywania zwłok.

Gdy wróciła do domu, Chłopcy siedzieli na jej łóżku. Wszyscy w samych majtkach, wciąż brudni i roztrzęsieni. Wszyscy wpatrzeni w nią jak w obrazek.

– Co zrobiłaś? – zapytał Stalówka.

– To, co należy – odparła. – Umyjcie się i ubierzcie, zrobię wam kakao.

– Wanna jest pełna – zauważył Pierwszy.

– Więc nad umywalką.

Ruszyła w stronę kuchni, po drodze sięgając do torebki. Przygotowała kubki, nastawiła mleko do gotowania i dodała do niego dwie krople łez. To, uznała, powinno wymazać im z pamięci cały dzisiejszy dzień, ale raczej nie więcej.

Podniosła głowę i dostrzegła, że jej własne odbicie w małym lusterku patrzy na nią z wyrzutem. Wzruszyła ramionami.

– Nie są jeszcze gotowi, by brać na siebie coś takiego – mruknęła. – To jeszcze chłopcy.

Odbicie jednak nie dawało za wygraną, więc w końcu Dzwoneczek zdjęła lusterko i włożyła je do szuflady.

To się więcej nie wydarzy, powtarzała sobie. Już ona o to zadba. Będzie im wyjaśniała tak długo, aż zrozumieją różnicę między tym, co było na wyspie, a tym, co jest tutaj.

Sięgnęła do apteczki i wyjęła z niej fiołkę z tabletkami na sen. Rozkruszyła trzy i dodała do

mleka. Potem zalała kubeczki do pełna i zaniósła chłopcom. A gdy już posnęli, zabrała się do prania, mając nadzieję, że opuszczony, zrujnowany dom na obrzeżach miasta zajął się już przypadkowo zaproszonym ogniem...

Gdy Dzwoneczek skończyła mówić, przez dłuższą chwilę panowała niemal absolutna cisza. Nawet wiatr ucichł na moment, a drewniane łby w ognisku przestały trzaskać. W końcu jednak Kędzior nie wytrzymał.

– Widzisz, Stalówka? – zawołał tryumfalnie. – Mówiłem ci, że ta plama na kurtce to nie był keczup. Gdzie ja bym się tak keczupem upierdolił?

Zorientował się, że zaklął, więc zerknął na Dzwoneczka, ale ona patrzyła teraz w ziemię, mrużąc oczy. Zdawała się nie zauważać ani ich, ani ognia, ani nawet tego, że Kruszyna odłożył na bok kota, wstał i ruszył w jej kierunku. Podniosła głowę dopiero wtedy, gdy stanął przed nią.

– Tak, Kruszynko? – zapytała.

Grubas uśmiechnął się głupim uśmiechem małego dziecka, a potem pogłaskał ją po włosach.

– Nic się nie stało, mamó – szepnął. – I tak bylibyśmy tacy sami jak dzisiaj, tylko... wcześniej.

Odpowiedziała uśmiechem i położyła jego dłonie na swoich policzkach.

– To miło, że tak mówisz, ale...

– Ma całkowitą rację – wszedł jej w słowo Stalówka.

Zaciągnął się dopiero co zapalonym papierosem, a potem spojrzął na Dzwoneczka, uśmiechając się krzywo. W blasku ognia jego czerwone oczy wyglądały jeszcze bardziej demonicznie i złowieszczo.

– A ty, droga mamó – dodał – powinnaś pamiętać, że ja nigdy nie lubiłem...

Nie dokończył, ale Dzwoneczek bez trudu domyśliła się, co chciał powiedzieć.

Że też nigdy wcześniej nie pokojarzyłam tych faktów, pomyślała zdumiona. Przez te wszystkie lata nie przyszło mi to do głowy...

Parsknęła śmiechem. Chłopcy jeden po drugim dołączali do niej, aż po całym lunaparku poniósł się ich rechot. Koniki czerniały w ogniu, wiatr kołysał czubkami drzew, a z siedmiu kubków kakao, które Dzwoneczek przygotowała dla nich na ten wieczór w ramach niespodzianki... sześć czekało na wypicie.

Jakub Ćwiek

Co było, a nie jest...

Fragment opowiadania pochodzi ze zbioru Chłopcy, wydane go przez Sine Qua Non

Jeszcze tylko jeden krok, pomyślał mężczyzna. Przeciagnąć odrętwiałą nogę do przodu, postawić pokrytą pęcherzami stopę na asfalcie spękanym jak spierzchnięte usta i przenieść na nią ciężar wychudzonego, zmaltretowanego ciała, i będzie po wszystkim...

Zrobił kolejny krok. Skrzywił się, gdy ociekająca krwią i ropą stopa w bucie bez podeszwy raz jeszcze dotknęła drogi i... nic się nie stało. Musiał więc zrobić następny i następny, ku uciesze pochylających się nad drogą cieni.

Jeszcze tylko myśl albo dwie, uznał. Ale może i tysiąc, bo z myślami nigdy nic nie wiadomo. Czasem są jak szczury, zwłaszcza gdy okręt umysłu pogrąża się w odmętach snu, a one wszystkie chcą w jednej chwili uciec i mkną przez głowę, popiskując, szarpiąc, drapiąc i gryząc. Rano zostają bolesne pamiątki po ich pazurach, ale po samych szczuromyślach nie ma już śladu...

Ale szczury, które szły za nim przez te wszystkie mile, szczury, które co rusz wymykały się z gęstego lasu po obu stronach drogi, by dołączyć do żałobnego konduktu, ani myślały zniknąć. Wiedział, że tam są, choć ich nie słyszał i bał się obejrzeć. Wiedział też, co zrobią, gdy się zatrzymają.

Jeszcze tylko cztery uderzenia serca, przemknęło mu przez głowę. Cztery razy cyk-cyk w odstępach równych jak tykanie zegara... a potem umrę.

Ale nie umarł. Mimo kroków, mimo myśli, mimo szczurów. Wciąż był na tej samej przeklętej drodze! Tu, gdzie asfalt w bladym świetle księżyca wyglądał jak spękana skóra trędowatego, a kałuże jak krwawe wybroczyny. Gdzie gałęzie od dawna już martwych drzew rzucały upiorne cienie, a spomiędzy konarów spoglądały zaciekawione dzieci o szklanych oczach.

– Lalki! – spróbował krzyknąć, ale zamiast tego zacharczał niemal bezgłośnie.

To tylko lalki z pieprzonego dzikiego wysypiska. Ktoś je tam wyrzucił, zaplątały się w korzenie i...

... idą za tobą przez tyle mil, tak? – zadrwił głos w jego głowie. Głos, który tamtego wieczora kazał mu wsiąść wreszcie w samochód i zostawić tę sukę, niech sobie radzi. Wtedy wydawało się, że to dobry głos. Że jest po jego stronie, ale teraz...

Odwróć głowę, upewnij się, czy są, czy ich nie ma. Może masz rację, ale nigdy się nie dowiesz, jeśli nie sprawdzisz!

Ale nie sprawdzi! Zamiast tego zacisnął zęby, spuścił głowę, zebrał resztkę sił i ruszył do przodu.

Jeszcze tylko mila, może dwie. Ta droga musi mieć koniec. W końcu na coś trafi, dokądś dotrze. Choćby drogowskaz i...

Syknął z bólu i natychmiast odskoczył do tyłu, jednocześnie zaciskając ręce w pięści. Bał się, że nadepnie na szczury, ale te musiały się rozpierzchnąć, bo nie usłyszał żadnego pisku, nie poczuł pod stopami żadnego wijącego się ciała. Tylko asfalt. Podniósł głowę, by zobaczyć, w co uderzył.

– Nie – jęknął. – To niemożliwe! To, kurwa mać, niemożliwe!

Przed nim stał wrak jego samochodu. Pojazd wyglądał tak samo jak w chwili, kiedy go opuszczał. Kiedy to było? Kilka godzin temu? A może dni? W środku na siedzeniach coś się kłębiło, coś cicho popiskiwało, wyłączone radio szeptało złowrogo w jakimś dawno zapomnianym języku.

I wtedy właśnie zza zakrętu wystrzelił słup bladego światła, a zaraz potem rozległ się stłumiony, miarowy warkot silnika. Ktoś nadjeżdżał, więc mężczyzna, nie bacząc na poranione stopy, wybiegł na środek drogi i zaczął machać gorączkowo, a nawet podskakiwać.

W bladym świetle reflektora nagle przypomniał sobie wszystko: swoje imię, kim był jeszcze wczoraj – a może przed godziną – i dlaczego właściwie wyruszył na tę eskapadę. Przypomniał sobie powód kłótni, tak błahy, że niewart nawet wspomnienia, oraz to, że gdy wsiadał za kierownicę, był zmęczony. Gdy wróci do domu, z pewnością zaraz zaśnie.

Nadjeżdżającym pojazdem okazał się wielki, lśniący chromem motocykl. Kierowca był łyсы, miał białą brodę i czerwone oczy.

Jak szczur, pomyślał mężczyzna akurat w chwili, gdy motocyklista mijał go drugim pasem, zachowując się tak, jakby nie widział ani roztraskanego samochodu, ani człowieka, który stał obok.

– Proszę...

Cichy szept był jedynym, na co mężczyzna mógł się teraz zdobyć. Nie miał już siły na doskakiwanie do motoru, nie miał nawet siły, by zrobić pół kroku.

– Proszę...

I wtedy motocyklista się odwrócił. Nie zwalniając, wymierzył do mężczyzny z ogromnego rewolweru. Strzelił dwa razy, w pierś i głowę, po czym schował broń i złapał drugą ręką za kierownicę. W samą porę, bo jeszcze chwila i motocykl stoczyłby się do rowu.

– Dziękuję – szepnęły martwe już usta mężczyzny.

– Nie ma za co, stary – mruknął motocyklista, zjeżdżając z powrotem do środka jezdni. – Naprawdę nie ma za co...

A potem motocykl rozplynał się w mroku.

Jakub Ćwiek

Kukuryku!

Fragment opowiadania pochodzi ze zbioru Chłopcy, wydanego przez Sine Qua Non

I to w zasadzie wszystko z rzeczy, które powinniście dzisiaj wiedzieć na ten temat – powiedział ksiądz Jan. – Do reszty wrócimy, gdy już trochę podrośnięcie. O ile wciąż będziecie zainteresowani.

Odłożył kredę i powiódł wzrokiem po klasie. Jak zwykle spora część uczniów przyglądała mu się z uwagą, niektórzy nawet przepisywali to, co właśnie napisał na tablicy. A nawet ci, którzy grali w statki czy piłkę z kresek albo odrabiali lekcje z matematyki, by mieć potem wolne popołudnie, starali się to robić cicho, żeby nie przeszkadzać. Mogli nie mieć szacunku do – jak mówili – wymysłu naćpanych proroków, ale księdza Jana, tego pogodnego, puzatego knypka o wiecznie zmrużonych oczkach, wielkim nosie i czole tak wysokim, że prawie załapała się potylicą, uwielbiali całymimi swymi sierocymi sercami. A serce sieroty, jak zwykle mawiał katecheta, liczy się podwójnie, bo ma w sobie dużo niespożytkowanej, skumulowanej miłości.

– Dobra, moi kochani – powiedział, wskakując niezgrabnie na blat biurka i łapiąc za gryf gitary stojącej obok na stojaku. – Czas na szybkie pytania i odpowiedzi, a potem gramy w „Gdyby Jezus...”, co wy na to?

Głośny okrzyk entuzjazmu był jedyną odpowiedzią, jakiej kapłan mógł się spodziewać. Podczas tej części lekcji już nikt nie odrabiał zadań, nikt nie grał w statki, ponieważ w trakcie „pytań i odpowiedzi” naprawdę mogli zapytać o cokolwiek, a ksiądz odpowiadał, jak tylko mógł najuczciwiej. Inigdy nie unikał trudnych tematów, a z tych przetestowali go najlepiej, jak umieli, przepytując zwiedzy o seksie, celibacie, antykoncepcji, o kamieniu, którego Bóg nie umiałby podnieść, iz kwestii Bóg a Holocaust.

– No dobra, to ma ktoś jakieś pytania na dzisiaj? – zachęcił ksiądz Jan, gdyż ostatnio jakby trochę brakowało tematów; wszystkim było spieszo do piosenki.

Tym razem jednak znalazła się chętna, Małgosia z czwartej ławki. Pytanie tym cenniejsze, że dziewczynka rzadko kiedy odzywała się do kogokolwiek, za jedynych przyjaciół mając książki.

– Proszę księdza, bo ja już wcześniej chciałam... ale... Dlaczego Bóg nie lubi *Harry'ego Pottera*? – zapytała, czym oczywiście bardzo rozbawiła kolegów i koleżanki.

Ale ksiądz Jan przyłożył palec do ust, uśmiechnął się smutno i powiedział:

– To nieprawda, że Bóg nie lubi *Pottera*, Małgosiu. W Kościele są jednak ludzie, jak biskupi, jak papież, których zadaniem jest wskazywanie właściwej drogi. W przypadku tak popularnych książek dla młodzieży powinni wyrazić swoje zdanie i to zrobili. Osobiście ubolewam, że ulegli mocy słowa „magia” i nie dostrzegli, że to tylko przebranie dla opowiadki o przyjaźni i walce dobra ze złem. Ale to dla nas lekcja, żebyśmy nie oceniali po pozorach, prawda?

– Czy tak samo jest ze *Zmierzchem*? – zapytała Weronika siedząca z Małgosią w jednej ławce.

– Nie – odparł ksiądz. – Akurat dla miłośników *Zmierzchu* Bóg planuje obecnie drugi potop, więc nie mów potem, że nie przestrzegałem.

Klasa ryknęła śmiechem, a z przeciwległego końca sali podniosła się ręka. Bartek.

– A czy może ksiądz dzisiaj zacząć od Batmana?

Ksiądz Jan pogroził chłopakowi palcem, że tak się wrywa przed szereg, ale zaraz potem ułożył palce na gryfie, trącił struny.

– Chyba rzeczywiście nie ma dzisiaj więcej pytań, prawda? Czyli co, od Batmana? Hmmm, dajcie mi chwilę... jeszcze moment... O, chyba mam.

Poprawił ułożenie gitary na kolanie i zaczął śpiewać:

*Jezus mógłby być Batmanem,
gdyby tylko tego chciał,
przecież tak jak heros zGotham
bogatego tatę miał.
Byłby nawet bardziej eko,
mógłbyś z nim oszczędzać prąd.
Jezusowym bat-sygnałem
byłby gest złożonych rąk.*

Rozległy się oklaski i śmiechy, a zaraz potem posypały się kolejne propozycje: kucharz, Zorro, Godzilla.

– Szatan! – zawołał Bartek.

Ksiądz posłał mu spojrzenie pełne udanego oburzenia.

– Po pierwsze, twój był Batman – powiedział. – Po drugie, trzeba było nie wagarować w zeszły wtorek, to usłyszałyś i szatana. No dalej, kto jeszcze?

– Mike Tyson? – zawołał ktoś z ostatniej ławki, chyba Krzyś Spadochroniarz, ale w ogólnym jazgocie ciężko było stwierdzić na pewno.

– Tyson? Poważnie? – Katecheta pokręcił głową z niedowierzaniem. – No dobra, to akurat będzie proste:

*Jezus mógłby być Tysonem,
gdyby taki kaprys miał.
Kiedyś, gdy mu groził nokaut,
On na „trzy” już prosto stał.
Ale zamiast skakać wringu,
bić się o swój złoty pas,
Jezus walczy z twym lenistwem,
byś na modły znalazł czas.*

I znowu wybuch prawdziwej euforii, znowu krzyki i propozycje: kolarz, Bruce Lee, Vegeta... Ale wtedy właśnie rozległ się dźwięk dzwonka i ksiądz Jan przerwał granie.

– O rety, rety – mruknął, dobywając z kieszeni zegarek na łańcuszku i wystawiając zęby w parodii królika z *Alicji w Krainie Czarów*. – Spóźniłem się, na pewno się spóźniłem.

Szybciutko zeskoczył z blatu i złożył ręce.

– Jeszcze zanim modlitwa, przypominam wszystkim, że kto się spóźni na autobus albo będzie dzisiaj w teatrze gadał, tym osobiście zajmie się pan Kruszyna. Wiecie, jak bardzo wzrusza się zawsze na *Piotrusiu Panie*, prawda?

Uczniowie przytaknęli.

– No właśnie. To teraz za szczęśliwy wyjazd i żeby przedstawienie nie było nudne. W imię Ojca...



Z
A
C
H
C
I
A
N

Dziesięć zmysłowych opowieści

Chutnik, Dębski, Dukaj, Gretkowska,
Kofta, Kuczok, Miłoszewski,
Plebanek, Tulli, Twardoch

K
I

Świat Książki

Jacek Dukaj

Portret Nietoty

Opowiadanie stanowi część antologii Zachcianki, wydanej przez Świat Książki

Jeśli mu kazano pisać tak, jak piszą wszyscy, pisałby jak nikt. Styl jego prozy brał się ze stylu myślenia, a ciągi myślowe mego brata były olśniewającymi seriami luk. (...) Czasem jednak w opisie nastroju lub wrażenia napotykam u Sebastiana jakiś detal i natychmiast przychodzi mi na myśl pewien efekt świetlny w całkiem konkretnym miejscu, który obaj zauważyliśmy, nic o sobie nawzajem nie wiedząc.

Vladimir Nabokov „Prawdziwe życie Sebastiana Knighta”
tłum. Michał Kłobukowski

1. Łoża śmiertelników

Zaproszenie zaskoczyło ją. Otrzymała je listem poleconym zaledwie dwa dni przed premierą kolekcji Raczyńskiego; jej zapowiedzi pojawiały się od miesięcy, lecz sam Rak się do Laury nie odezwał: ani e-maila, ani telefonu, nic. Zdążyła się zirytować, wreszcie zubożnąć i zapomnieć. A teraz: imienne zaproszenie na czerpanym papierze, piątek, godzina dziewiętnasta, w pacharni „Krakatau”, agencja Dziesięć Muz ma zaszczyt zaprezentować światowy debiut ostatniej serii komchartów Gustavo Raka-Raczyńskiego pod tytułem *Front wewnętrzny*. Laura zachnęła się w duchu. Więc wrócił do tego pretensjonalnego „Gustavo”. A miała nadzieję, że go zeń na dobre wyleczyła. Obracała w palcach opłatkowo twardy papier, nietna na wszystkie wyszukane matryki, jakimi bez wątplenia kwitł na metry i godziny. Nie pójdzie, to oczywiste, nie ma mowy, żeby poszła.

Nazajutrz obudziła się już z pewnością przeciwną: niebo było zimnobłękitne, powietrze kieliszkowe, przez uchylony świetlik poddasza trylowały październikowe cherubiny miasta, pachniało mokrymi parasolami i wichrowym wrzosem, a więc piątek, dziewiętnasta, tak, tak! Umówiła się telefonicznie u stylistki. Jakby widziała to wydęcie jego amorkowatych ust, mięsistej amfory zamarynowanego języka, jeszcze się pewnie RR oblizywał, planując jej zaproszenie: że oczywiście nie znajdzie w sobie odwagi, że schowa się Laura w mysiej dziurze, nie przyjdzie. O, niedoczekanie jego!

Wszystko to razem zakrawało na tani melodramat – złościwości i podłe satysfakcje zdjętych z afisza kochanków – lecz przecież znamy ową dziecianną radość uczestnictwa w teatrach losu, życie od razu nabiera wagi i realizmu, wpadłszy w koleiny Zdrady, Romansu, Zadośćuczynienia czy innej Zemsty.

Owładnięta takim nastrojem Laura szybko zdecydowała się na jaskrawoczerwoną sukienkę na ramiączkach, o której wiedziała, że matrykuje *à la* Piezocco. Dostała ją w prezencie od Janka, RR nigdy w niej Laury nie tuszył; i doskonale pamiętała, że RR nie toleruje Piezocco, serdecznie nie znosi całej tej szkoły dwudziestowiecznych

postkaultowców.

Pozostała kwestia Osoby Towarzyszającej. Kogo zabrać? Dręczyła się tym przez cały czwartek. Prowadząc ćwiczenia na lektoracie dla przyszłych prawników, w myślach paradowała kandydatów, nieodmiennie kończąc w galerii tych samych paru twarzy. Może Janek – ale czy to nie szczyt niezręczności: ciągnąć nowego faceta na publiczną zemstę jej eks? Więc może Oleńka – ale Oleńka też nietota, nie opowie Laurze komchartów Raka. Więc kto – Królik? Zgubiła wątek konwersacji, studenci, pogardliwie znudzeni, gapili się na nią oczyma najedzonych zombie, na zatrzymaną tak w pół dialogu, niczym na zastopowanym filmie. Nie zdobyła się na uśmiech roztargnienia. Zawsze podejrzewała, że pachują przed nią w wulgarnym rozpasaniu charakterystycznym dla dzikusów z podstawówek i gimnazjów; w tej grupie miała prawie samych mężczyzn. Laura jest zdania, że samce *Homo sapiens* wyrastają z naturalnej dla młodych małp socjopatii dopiero około dwudziestego piątego roku życia. A i to nie wszystkie. Wcześniej po prostu nie są zdolni do współczucia, zawstydzają ich własna czułość, przeklinają, plują i poniżają bliźnich, jakby wyrywali skrzydełka owadom, a tu jeszcze trafiła im się kaleka, nietna na wszystkie ich podwórkowe przarności, i sama naga, rozkrojona przed nimi do kośćca duszy, proszę, zaproszenie do gwałtu. Czy tuszą z niej również te jej podejrzania? Wiedziała, że niektórzy wykonują jej ukradkiem pachografie, złapała ich na tym, chowali aparaty pod blatami, za książkami.

Skończyła zajęcia przed czasem, wypuszczając studentów bez omówienia zadań. Październikowy zmierzch rozpełzł się już w starych murach uniwersytetu, w nylonowym świetle rozbrzęczanych jarzeniówek wysokie sale tchnęły gadzim dostojnością klasztorów i kostnic. Moment zawibrował, poczuła na sobie masywny otuch Raczyńskiego. Wypadły jej z palców klucze (brzęk!). Rozdrażniona, zamykając salę, złamała paznokcie. To znowu ją zastopklatkowało. Dziewczyzna ze Złamanym Paznokciem. Uniosła palec do ust. Czy coś tak twardego, tkanka zrogowaciała w ludzkie szkło, czy to w ogóle może mieć smak? Trochę nylon, trochę papier fotograficzny, a jeszcze mokry popiół, i jeszcze łyko młodego drzewa, i skamieniała guma do żucia, i coś z przypalanej pizzy, i

– Nie obgryzaj palców, to niezdrowo: zjadać samą siebie.

– Ale ja jestem bardzo smaczna!

Śmiali się, śmiali, pani doktor i tato. Ile to Laura miała lat, pięć? Pięć. W gabinecie tetolog słońce tuliło się do bieli fartuchów, klinicznej bieli sprzętów, ścian, parawanu. Laura z trudem się powstrzymywała, żeby nie gonić i nie łapać tych światłoduszków ciepłutkich, obłoczkowych szczeniactwów nieba. Pani doktor kazała jej siedzieć na metalowym taborecie i Laura wierciła się tam bez przerwy, gryząc palce i popatrując niepewnie na tatę. Tato puścił do niej oko. Laura zamrużyła powoli, prawa powieka i lewa powieka, jest tata, nie ma taty, jest.

– Teraz tutaj. Skup się, kochanie. – Doktor przesuwiała przed twarzą małej Laury dziwne pałeczki, karteluski, rurki. – Powiesz, jak coś poczujesz, dobrze?

Na szklanych tulejach słońce odbijało się chochlikowo.

– One tam wchodzi do środka i plują w górę.

– Kto?

– Te jasnotki. Te, te, te! – Zamachała rękami w strumieniach rozblasku i stłukła rurkę.

Pani doktor i tato podskoczyli, zrobili miny, jakby coś

Ją ugryzło, sama ugryzie, krzywi się złośliwie do swego odbicia w lustrze w zimnej łazience uniwersyteckiej, poprawiając brwi i malując usta, na dzisiejszy wieczór szminka elektryczna, czerwień na dwieście dwadzieścia voltów, przeciwko jesieni i przeciwko *Frontowi*.

W drodze do domu zaszła kupić świeżego tuńczyka. Laura wierzy w pracochłonną kuchnię jako metodę na wyswobodzenie ze stresów codzienności. Pochyliwszy się nad oplastowaną rybimi tuszami lawiną kruszonego lodu, przypomniała sobie wykuwane na pamięć w Małym Staszicu wierszyki nietot – jak rozpoznać złe mięso, polegając wyłącznie na wzroku i zapachu, jak odróżnić sery szworne od dziarnych, jak po fakturze i ciężarze oceniać gatunki mąk i kasz silnych i słabych, a w końcu: jak orientować się w winach, identycznych barwą i bukietem, a całkowicie różnych matrykuliką... Zadrzała ponad zwłokami dzieci morza, objęta puchnącą falą chłodu.

– Tamtego poproszę.

Więc może jednak Oleńka? Co z tego, że nie stuchuje kolekcji Raka? Ona przynajmniej Laurę zrozumie, jak rozumiały się bez słów od pierwszego roku w Staszicu – oparła się nadgarstkiem o brzęg lodowej lady – tak smakuje mróz na skórze

Sopel na języku, śnieg w oczach. Wychylając się z okna ich pokoju na piętrze internatu szkoły podstawowej imienia Stanisława Staszica, obserwowały wojnę śnieżną piątej A z szóstą B. Krawędź zmrożonego metalu ucałowała od spodu oba jej nadgarstki, tak kąsał zardzewiały parapet obwisły bąblastymi soplami i śniegiem kruchym jak beza. Laura odłamała największy z sopli, polizała, machinalnie podała Oleńce, chłopcy to spostrzegli i zaraz zaczęli na nie gwizdać i łapać się za krocza, one odpowiedziały im fakoffami, a kiedy w okno poleciały śnieżki, dziewczynki padły ze śmiechem na podłogę pod oknem, osłaniając głowy niczym piechurzy w okopie pod ostrzałem artyleryjskim. Wylizany sopel potoczył się i zamarł na parkiecie przy ich nagich stopach, lśniąc cukierkowo-narkotykowo-dyskotekowo w styczniowym słońcu.

– Jak myślisz – szepnęła Laura, ścierając sobie z powiek i rzęs białą oprószynę – jak oni pachują?

A Oleńka odprychnęła jak na dwunastoletnią podwórkową tygrysić przystało, rozumieniona, lecz nie spłoniona, i doskonale wiedząc, o co Laura pyta, wystawiła język, jakby w istocie to on był organem otuchu, przytknęła do niego palec wskazujący i uniosła brwi.

– Dziko.

Spojrzenie i spojrzenie, tak zamarły na moment pod władzą wielkich, bezchmurnych oczu odbijających wzajem powagę dziecinną – aż diabełek ognisty zatańczył w żrenicach Oleńki i rzuciła się, chichocząc, po ten sopel ceremonialny, Laura zaś pozostała w okopach dzieciństwa z odbezpieczonym granatem wbitym mocno pod serce. Czuła jego ciężar, napięcia sprężyn, skumulowaną moc trotylu. Wystarczyło głębiej wciągnąć powietrze do płuc, wystarczyło nacisnąć na brzuch, przeponę, dotknąć piersi-przebiśniegów, czasami wystarczyło pomyśleć. Jak oni pachują.

Poszła nazajutrz do kafejki internetowej w mieście (w Staszicu wszystkim komputerom założono kneble obyczajowe) i, oglądając się wciąż przez ramię, zgarbiona nad klawiaturą, po raz kolejny wyszukiwała godzinami raporty z sąsiedniego królestwa zmysłów. W owych opisach z książek i gazet mężczyźni byli nieodmiennie jaskrawi, tonyczni, żarscy, wiszujący, oproczeni i klamejscy, ich matryk – ciężki i podwójny, gromki, sprężny, glissujący, ich genitalia – szartne, opulentne, jak ogień albo jak psy. Kobiety zaś – wibrujące, powietrzne, majkowe, pączyste, z makki, ich matryk – lekki, ułamkowy, wywracający, często wyprężny, ich piersi – olatne, jak chleb, jak wełna, ich anatomie wenusjańskie – zefirne, czereśniowe, mlnące, atlasowo gładne, jak niemowlę albo jak rzeka, niczym z komchów Virucciego i Łukasika.

Laura obracała te słowa w karuzelach niemej fonetyki, gorączkując sucho od niezgłębialnej ich tajemnicy, język eksplodował jej w głowie galaktykami ciemnej materii,

samej przez się niewidzialnej, ujawniającej się jedynie we wpływie, jaki wywiera na to, co dostępne zmysłom – a przecież tak gruntownie wypaczającej całą naturę dokoła.

Zaczynała się przed Laurą odsłaniać prawdziwa genealogia żądz. Eros to zwycięski bękart Hermesa i Mnemozyny.

Czytała dalej, czytała od nowa, czytała dzień po dniu. Jak zgodnie przekonywały *lifestyle'owe* pisma dla kobiet i autorytety medialne, seks to dziedzina przede wszystkim obrazów i matryk, dopiero w drugim rzędzie – dotyków i dźwięków i smaków i zapachów. Znalazła tabele, w których przedstawiono różnice między płciami: rozkład procentowy był w nich inny, lecz hierarchia doznań – taka sama. I dopiero tam, w plamistym półmroku obskurnej meliny internetowej, mała Laura objęła myślą całą pokraczną grozę swego kalectwa. Cóż z tego, że nie potyka się o krawężniki i progi, jak ślepcy? Stracono ją do ciemnej piwnicy i przywalono toną żużlu. Szarpała myszą z taką furją, że wyrwała kabel z wtyku.

Jedyne wyjście – pojęła – to włamać się do otuchu z zewnątrz. Z zewnątrz – czyli skąd? Z krain pozostałych zmysłów.

Tak zaczęła się życiowa misja Laury, wyzwanie niemożliwe, jej *quest* donkiszotowy i katabaza sensualna: przetłumaczyć świat tuchujących na świat nietoty.

Oczywiście istniały już przystosowane dla nietot monitory i klawiatury, samochody i linie produktów AGD, ze standardowymi triadami oscylatorów – czerwonym, zielonym i niebieskim – markujących najgrubsze matryki. Ich taneczne rozmigotanie

Już nawet nie przyciągało jej uwagi, gdy kucharzyła – migotały na mikrofalówce, piekarniku, lodówce, miała też kilka wyjątkowo czułych matrykometrów przeznaczonych do mierzenia mięs, przypraw, napojów, nawet owoców i warzyw. W przepisie stoi: „weź pół czerwonej papryki prążującej” – Laura sumiennie mierzy paprykę po papryce i oblicza w głowie pełnię warzywa. Obmyte dzwonka tuńczyka bada opuszkami palców, dotyka czubkiem języka. Kalectwo wymusza większą intymność w obcowaniu z tajemnicami świata. Tak niewidomi pieszczą dotykiem bezkompromisowym czoła, powieki, wargi nieznanym. Im bardziej nieznanym, tym intymniej. Kiedy mieszkała z Rakiem, pasożytowała na jego tuchu; a wcześniej – na tuchu rodziców, Pawła, paczki z anglistyki, i tak przez całe życie właściwie.

Rak się jednak bronił, wolał z boku patrzeć i tuszyć, jak sobie Laura radzi, delikatnie liżąc wilgotne wnętrza pomidorów, z kocią ostrożnością wachając

Chleby, sery, śmietany, musztardy, masła.

– Może byś się ruszył i pomógł!

– Gdzieżbym śmiał! – I ostentacyjnie rozsiadał się na kulawym krześle pod oknem, błazeńsko uśmiechnięty, a wargi tłuste nabrzmiwały mu na podobieństwo przekrojonego pączka albo spółkujących ślimaków. – Bogowie by mnie pokarali, nie pcham się z łapami między Muzy, tu jest łoża śmiertelników.

Gdyby mógł, pozbawiłby Laurę wszystkich matrykometrów. Jeden z pierwszych jego artów z ostatniej serii organicznej nosił tytuł *Meat Porn* i ponoć przedstawiał pachowania Laury przygotowującej wołowinę po burgundzku.

– Tego nie da się podrobić! Tej twojej bezpretensjonalności piękna. Tej niewinności. Tej-tej beztroskiej rozpusty rozwartej na wznak przed całym światem. – Rozpędzał się w zachwytach, aż mu język wymawiał służbę; wtedy przechodził na brutalne dialekty dotyku, ogłuszające tyrady objęć, uścisków, na akcenty i synkopy mięśni. Stratowanej husarską szarżą jego wszechcielesności Laurze, przyciśniętej do ściany, woranej w pościel, zaszachowanej przy blacie, wykrztuszał w desperacji: – Pantery dzikie! Rumaki nieosiodłane! Orzeł polujący! Wszystkie te cuda ślepej przyrody! One nie wiedzą, nie

wiedzą, nie wiedzą!

Wpierw przyjmowała to niczym hołdy kapłana dla zazdrosnej bogini. W końcu zaczęło ją irytować.

A zatem dana jest jej nieosiągalna inaczej naturalność piękna zrodzona ze zwierzęcej jego nieświadomości. Od pewnego momentu jednak nie potrafiła ugasić w sobie przekonania, że stokroć bardziej cenna pozostaje dla RR przez swe kalectwo niż wszystkie czary swego pachu. Ile jest kobiet o podobnie oszalamiających matrykach? Ba, a ile z nich jest zarazem całkowitymi nietotami, niezdolnymi nawet wyobrazić sobie natury swego nieodpartego dla tuchujących wdzięku?

Wykrzyczała mu to w twarz w jednej z ostatnich kłótni przed rozstaniem:

– A gdybym się urodziła zdrowa! Otnąłbyś mnie, zanim bym zapamiętała pierwszy tuch! Kastrowałbyś dzieci, żeby ci ładniej śpiewały! Tacy tyrani piękna jak ty!

Może więc istotnie to czysta perwersja z jego strony: zapraszać nietotę na wernisaż komchartu. Samą swoją obecnością Laura złoży mu hołd. Lepiej uniknąć żenady, lepiej nie iść. Nie pójdzie. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć. (Myśli). Jak zagłuszamy troski, nudy i lęki samotności? Telewizją.

Zakłęcie działa niezawodnie. Ledwo zaczynają się w TVN „Fakty”, dzwoni – kto? Ewa, Ewa nieodparta, Redaktor Inwazja, Gorgona z ulicy Pattona. Niby dopytując o ostatnie rozdziały nowego Irvinga, ale przecież prędko wytuszy przez telefon Laurowego tuńczyka po japońsku – o, już wytuszyła – a wraz z tuńczykiem: echo Laurowych rozterek. I koniec, przepadło. Laura nie wydobędzie z siebie słów sprzeciwu. Ręka ze słuchawką opada bezwolnie. Trzydzieści lat beztuchu wtrenowało w nią tę miódową uległość, prowokacyjny odruch przyzwolenia. Zaproszenie dla Kubów Rozpruwaczy i Raków-Raczyńskich wszystkich epok: s a m a t e g o c h c i a ł a .

Istnieją upośledzenia męskie i żeńskie: niemi bardziej są mężczyznami w swej niemocie, a nietoty – bardziej kobietami, skoro nietne. Wróciwszy do tuńczyka i sosu mirino-sojowego, już spokojna w pewności nadciągającego gwałtu, zaczęła nucić *Everybody Knows* Cohena; nawet nie zakłęła, gdy się przypadkiem

Poparzyła, wyciągając znad ogniska kije z nabitymi kiełbaskami.

– Sss, gorące!

– Wiem, że gorące.

– Spaliłaś.

– Nie, zobacz.

– No, teraz, jak już wszyscy wymasowaliście je swoimi paluchami brudnymi – któż się oprze rarytasom? Smacznego!

– *Fuck you very much.*

Machała piekącą dłonią, ktoś wręczył jej kubek, myślała, że z wodą, polala na oparzelinę, a to było piwo. Kojąco zimne.

– Sorry.

– Czekać, mam chyba maść.

Grzechu pojechał z nimi w góry jako jedyny spoza anglistyki, znała go najsłabiej. Wygrzebał z plecaka saszetkę z przyborami toaletowymi, Laura podeszła bliżej, on szarpnął zębami zacięty zamek, obrócił się do Laury i naraz zaczął bełkotać w zmieszaniu, czerwieniejąc prędko, jakby mu pod skórą twarzy włączyli światło stopu:

– Słuchaj, ja nie chciałem, rany boskie, nie musisz przecież, daj spokój –

Prawie się potknął o własne nogi i plecak. Nie odwracając wzroku, cofał się raczo w ciemność i las.

Laura, upokorzona, tylko wachlowała piekącą ręką i milczała, boleśnie doświadczona,

że wszelkie zaprzeczenia, tłumaczenia, wszelkie śledztwa jej translatorskie na nic się zdadzą. Grzesiu wytuszył, co wytuszył, i Laura tego nie zmieni, nie odwróci swych matryk.

Nie miała więc wyjścia, musiała się przyzwyczaić i przyjąć w życiu postawę mistrza *aikido*: zawsze poddając się pod atakami, połykając cios i pożyczając cudzy ruch, karmiąc się cudzym impetem.

Znacznie trudniej niż wobec nieznanym stosować podobne dźwignie i uniki ducha wobec bliskich, albo w pracy, ba!, omal nie wyleciała ze studiów, profesor, który wykładał gramatykę kontrastyczną, z miejsca nakrzyczał na nią i wyrzucił z sali, i tak za każdym razem, gdy się doń zbliżyła, co też zgodnie potwierdzali studenci: pachowała siwemu filologowi najdziksze przarność ruszne, żółty i rozprężne *glatia*. Dlaczego? Nigdy wcześniej go przecież nie spotkała – podobnie jak prawie nie знаła tego Grzesia nieszczęsnego, ani Ewy-Pramatki, która

Wpadła do podniebego mieszkanka Laury, zagłuszając od razu Cohena, telewizor i wszystkie sprzęty kuchenne; gwałt rozpoczął się w progu.

Ewa należy do kobiet, których całą osobowość, styl i życie zdeterminował rozmiar biustu. Obdarzona tu słowiańską nadobfitością ciała, posągowa matrona na genach Kybele, Lubawy i Mieczysławy Ćwiklińskiej, żadnymi dietami, fitnessami i chirurgiami nie odwróci swego przeznaczenia: przygarniającej do łona, zasadzającej rodziny, gospodyni każdego domu, którego próg przestąpiła.

I także Laura odruchowo ugięła się pod szturmem jej buldożerowej życzliwości.

Bo w której chwili przekroczyły cienką granicę stosunków służbowych i prywatnych? Co takiego Laura powiedziała lub zrobiła, co upoważniało Ewę do potraktowania jej wtem niczym przyjaciółki od serca? Nic. Ale może naprawdę były już serdecznymi przyjaciółkami, może Ewa stuchowała to jasno i wyraźnie.

Nie w słowach, nie w deklaracjach głośnych i czynach podległych fizyce, lecz w tym drugim wszechświecie zmysłów, tam się ludzie zakochują, zapadają na nienawiści i sympatie, tam docierają serca do serc. Klik-klik, ani słowa więcej, ale oto cię pocałuję i żadne z nas się zdziwi, klik-klik, ani słówka, ale uderzam z nagłą wizytą i będziesz się mi zwierzać z najskrytszych swoich trosk.

Dzięki temu możliwe jest powszechne *sacrum* intymności. Nietotom pozostaje zaś odczytywać porywy duszy z czasowników dokonanych.

– Nie pieprz, pójdziesz tam, musisz pójść. Jak to z nim było? Opowiadaj!

Ewa już sama otworzyła sobie wino, nałala pół kieliszka, już zapaliła papierosa, i nie pytając, podsunęła kieliszek Laurze, dojrzały Gewürztraminer z Nowej Zelandii jest energetyczny, różany, słodkawy

Na języku Laury. Ma kłopoty z utrzymaniem równowagi, gdy wraca z łazienki; po tylu kieliszkach i tylu godzinach alkohol przepływa przez nią swobodną strugą, alkohol oraz myśli, słowa:

– Szczęszczerka jak nietotota! – Śmieje się do Ewy walczącej wciąż z tą samą plamą po brązowym sosie.

A Ewa, nie unosząc głowy, kontynuuje w półsennym zapamiętaniu:

– Ale ty to lubisz, no przyznaj się, ty straszna ekshi-hi-hibicjonistka jesteś, Laura, no możesz mi przecież powiedzieć, powiedz!

Co oczywiście byłoby następnym aktem niekontrolowanej nagości.

Zamiast tego, uniewinniona czwartą butelką wina, snuje Laura po pijacku meandryczną dywagację-kombinację o fantazjach erotycznych kobiet, do kieliszka Ewy, do kielicha jej małżowiny usznej – tak postępuje kulturalny gwałt w pluszowej głębinie nocy – no dlaczego oni zawsze na mnie patrzą jak na bezbroną ofiarę, ach, bo to ich przyciąga, to ich

drażni, swędzi, roszadza od środka, postaw świętego wobec bezsilnej niewinności i też w końcu nie wytrzyma, im większa niewinność, tym bardziej nie do zniesienia, a z drugiej strony: wszystkie te marzenia wyzwolonych feministek o bezpiecznym gwałcie, o podglądaczu chcianym-niechcianym, o sękatych ramionach drwała-brutala wyswobadzających je do cudownej bezwoli, o kontroli przez ostateczną bierność... Ktoś cię widzi, gdy myślisz, że nikt cię nie widzi, ale zarazem fantazjujesz o tym, że ktoś cię widzi, gdy myślisz, że nikt cię nie widzi. No to powiedz: co to jest? Ekshibicjonizm? Gdy nie możesz nic poradzić. Urodzona do nagości. Wyobraź to sobie. (Ścisła Ewę za ramię i spowiada się jej gorącym szeptem, policzek do policzka). Każdy dzień, w domu i na ulicy, przed znajomymi i nieznanymi – naga. Nie masz wyboru, odebrano ci wybór. Naga, naga i ślepa, bo nie przejrysz się w lustrze, odebrano ci nawet tę kontrolę nad stopniem obnażenia. Ale nie samą świadomość nagości. I tego, że oni na ciebie patrzą, patrzą i widzą, i nie wiesz, co widzą, i nie możesz się zasłonić. Lecz w końcu – czy chcesz się zasłonić? Kiedy oni tak patrzą. Jak na bezbronną ofiarę. (Wargi do kielicha, wargi do ucha). Musisz być gotowa, zawsze gotowa. Suka Pawłowa. Wchodzisz do urzędu sklepu gabinetu autobusu, obracają się oczy, podciągnij spódnicę, rozkracz nogi, święci nie wytrzymają.

Bełkotliwa pornomatryka napędma Ewę do jeszcze bezczelniejszych inwazji.

– Przyznaj się – nachyla się ku Laurze, uśmiechnięta pod ciężkimi od wina powiekami, rozleniwiona w podnieceniu, podniecona leniwie – przyznaj się, o, tuszę przecież, kręci cię to nadal.

Przyjaciółka-nieprzyjaciółka, zarazem znajoma i zarazem obca, mówi z serdeczności swobodnej i mówi ze złośliwej ciekawości.

Laura chichocze do kieliszka.

– O miłości mojej nic powiedzieć nie mogę.

– Ale dlaczego właściwie się rozstaliście? Ty go rzuciłaś, tak?

– Dlaczego, dlaczego, dlaczego! – Laura rozchyła palce, kieliszek prześlizguje się przez nie hipnotyzująco powoli. – Pantery dzikie! Orzeł polujący! – I tak ostatecznie wymyka się z jej dłoni, i spada, rozbijając się z

Brzękiem zimnym na bruku bezludnej ulicy, gdy o czwartej nad ranem unoszą się przed ich rozrozumienionymi twarzami obłoki kwaśnej pary, a skórę drapią ciernie październikowego mrozu. Laura stara się utrzymać w pionie Ewę, której po kolei wypadają z rąk klucze (brzęk!), komórka, portmonetka, szminka, wreszcie upuszcza Ewa samą torebkę; Laura ją podnosi, macha na taksówkarza, równocześnie sterując Ewą przez chodnik i jezdnię, Ewa jest jednak wyższa, cięższa, wiesz się na Laurze, wykrzykuje swoje pretensje wobec miasta i świata.

– Gdybym mogła zdobyć tę ich w o l n o ś ć !

– Czyją? Schowajże klucze, na litość boską, na co ci klucze teraz!

– Tych plastikowych dziwek z pornoli, tych lalek z „Playboya”. Wiesz, czego im zazdrościć? – I Ewa wydycha ponad biustem falującym obłok jak dymek komiksowy. A w tym dymku: – Że już nie można ich rozebrać! Już nie można obnażyć! – Pod spojrzeniem rozbawionego taryfiarza szarpie się z połami swego płaszcza. – Cholerni zawodowcy aktu. A ty się kontroluj, kobieto, ty się morduj codziennie, czy w takim świetle, czy w innym, a może kolor zły, a może bluzka już nieprzyzwoicie skromna, nieskromna, nóg za dużo, nóg za mało, nogi krzywe, ty się dawkuj, uprawiaj, przyprawiaj, się cenzuruj, zasłaniaj, odsłaniaj, zasłaniaj, centymetr wyżej, centymetr niżej, całe życie w strachu, że jedno potknięcie i publicznie wyprujesz z siebie flaki – potyka się, prostuje, potyka – co jest gorszego – to właśnie: ekshibicjonizm na krawędzi, rosyjska ruletka ekshibicjonizmu – jak ja ci zazdrościć!

– Czego?

– Tej w o l n o ś c i ! Wszystko otwarte, wszystko bezwzględnie szczere, kwiatek na łące – więc nie musisz się bać. Cały świat widział, jak stu Murzynów jebie cię w dupę. – Czka głośno na całą ulicę. – *Fi, fi, figuratively speaking.*

Laurze udało się wreszcie ulokować Ewę na tylnym siedzeniu taksówki; oparłszy się o dach wozu, oddycha przez otwarte usta, jakby śmiała się niemo.

– Taaa, taka ze mnie Muza, to ze mnie wysysał, taką miał frajdę, fontannę niewinności w barku podręcznym, Laura kochana między żołądkową i żytnią, setka na dzień dobry, pół litra na wieczór, i jedziemy, Londyn Paryż Nowy Jork, pół miliona, milion, pan geniusz zasrany na resorach z pegieeru.

Kołysze się na innych falach, wpadła w wir, nie wydobędzie się zeń o własnych siłach, oko tępe, język wyjałowiony, do kogo mówi, do siebie, do Ewy, do budynku naprzeciwko, do reklamy banku na murze, rozkołysana w bezruchu, zapatrzona w nagiego do pasa Raka-Raczyńskiego, który jedną ręką sięga ku niej ponad dachem auta, a w drugiej obraca bizantyjskie pachmodium solne.

Podczas gdy Ewa ciągnie swą litanie zawziętą:

– A ty się cenzuruj, kobieto, póki możesz, ty się szarp z twarzą tyłkiem szyją cyckami brzuchem skórą młodością starością, ty się dawkuj, co wobec świata, a co na ołtarzu lustra, wszystko na ołtarzu, ty się składaj w ofierze, po kawałeczku, zakrywając, prywatyzując, cenzurując, nie jesteś godna, nie jesteś godna, nigdy nie będziesz godna – z e z w i e r z ę c e n i a . Jak ja im zazdroścę! – I z powrotem wyczołguje się z taksówki, wieszka się na Laurze, w alpinistycznym wysiłku sięga jej ust, nosa, uszu, oczu.

Laura na moment trzeźwieje. Płaci kierowcy, wpycha Ewę do środka, zatraskuje drzwiczki.

– Bo będziemy tam wyglądać jak z trumny wyjęte! Jutro, dziewiętnasta, „Krakatau”. To znaczy dzisiaj już.

– A ty się cenzuruj...

Odjechała w końcu.

Umknąwszy z ulicy w ciepło gniazda mieszkalnego, Laura zasypia na stojąco. Jednak zanim zaśnie, sumiennie sprząta pokój; po szesnastu miesiącach życia z RR pozostał jej także uraz do menelskiego *lifestyle'u* bohemy, całego tego bieda-hipsterstwa na pożyczonych pieniądzech i pożyczonej młodości. Zbierając kieliszki talerze sztuczne serwetki, odkrywa w przewróconej butelce resztkę Gewürztraminera – zasypiając – który jest energetyczny, różany, słodkawy

2. Podziemia snów

Na języku.

– Nie pieprz, pójdziesz tam, musisz pójść. Jak to z nim było? Opowiadaj!

– Nie znasz go, to przebiegła bestia, zawsze potrafił ze mnie wytuszyć coś przeciwko mnie, nie wysłałby tego zaproszenia, gdyby nie miał już czegoś na haczyku.

– Za dużo o tym myślisz, dziewczyno. No co? Najwyżej zrobisz mu tam scenę. To ty masz go w garści, możesz mu zrujnować wieczór, ha, całą premierę, poszedł na hazard. Pewnie po prostu nie wytrzymał, musiał się przed tobą napuszyć. Pokaż Irvinga.

Przeczytała cały wydruk, zanim ryż zszedł z ognia. Kucharząc, Laura spoglądała co chwila pytająco przez ramię. Ewa często wywracała przekłady do góry nogami, zdarzyło się jej nawet przesunąć termin wydania, niezadowolonej z brzmienia polskiej wersji.

Redaktorzy-korektorzy mieli z nią krzyż pański; wtrącała się we wszystko. Tak przecież Laura wpadła latem w tę fuchę: jako nagle zastępstwo tłumacza w oczach Ewy nie dość kompetentnego.

– Muszę jeszcze wyczyścić ostatni rozdział, tam najwięcej –

– W życiu bym nie odgadła! – Bo Ewa tymczasem wróciła do sceny erotycznej na dachu supermarketu, z jednorękiem zapaśnikiem oraz kuzynkami związanymi paktem samobójczym, po Irvingowemu dziwnej i śmiesznej, przedstawionej niemal wyłącznie za pomocą matryk i zapachów. – Przyznaj się, kto ci podpowiada? Jak ty to tłumaczysz?

Laura wzruszyła ramionami nad szpinakiem i wodorostami nori. Osiągnęła w końcu tę biegłość prestidigitatorską, gdy nie przeszkadza jej w przekładzie nawet najbardziej subtelnych opisów wrażeń tuchowych, że nie jest w stanie przypiąć do wszystkich tych słów żadnych znaczeń – innych niż odbicia znaczeń słów, w sąsiedztwie których tamte zazwyczaj występują.

Od owego styczniowego objawienia w Małym Staszicu minęła wieczność – Laura w końcu sprowadziła otuch do poziomu kolejnego języka obcego.

Ewa pozostawała nieprzekonana.

– Przecież takie rzeczy się czuje, ja czuję, kiedy czytam. To już prędzej uwierzę w porywające gejowskie erotyki tworzone przez zatwardziałyh heteryków.

– Takie są najlepsze.

Ewa przewróciła oczami.

– Teraz znowu ten twój Gustaw. Wypluj go!

– Wcale nie –

– Przecież tuszę!

Jak zaprzeczyć? Ślepcy przynajmniej mogą wymacać rzeźbę swych twarzy, zapanować nad mimiką.

Laura przyjęła energię ciosu i odbiła go w bok.

– Zobacz na półki w przedpokoju, po to zbieram te protezy.

Część wzięła od Gustawa. Historia komcharstwa, monografie o najślynniejszych jego twórcach, klasyczne prace o hinduskich i szintoistycznych kultach pachu, eseje Witkiewicza, Dvořáka, Steinera, archeologia starożytnych pacharni, bo tak naprawdę niewiele się zmieniło od czasów rzymskich *magna matriculia* i słowiańskiej zapłuszyny. Pachutralia organiczne i potem nieorganiczne pozwoliły na utrwalanie, kopiowanie, transmisję i obróbkę matryku, ale źródłem pierwotnym wszelkiego pachu pozostaje królestwo przyrody, rośliny, zwierzęta, ludzie.

W przebudowanej ze strychu klitce każdą wolną ścianę przeznaczono na książki – Ewa wspinała się na palce, ażeby sięgnąć wyższych półek regału rozpostartego od łazienki do drzwi wejściowych. Tam Laura trzymała tanie wydania klasyki, przeważnie peerelowskie starocie kupowane za grosze na Allegro, po których bez wyrzutów sumienia kreśliła kolorowymi markerami.

Wskazując akapity ostrzem noża, objaśniała zafascynowanej Gorgonie zasady kodyfikacji.

– Czerwień to wzrok, czyli obrazy. Żółć – zapachy. Dotyk jest niebieski. Ale to się rozmywa, bo nie zawsze da się tak odciąć.

– Odciąć?

– Jeśli na przykład coś jest masywne albo kanciaste. Nie musisz wcale dotykać, a przecież od razu wypływają na wierzch słowniki cielesności. Chociaż tylko patrzysz. I tak dalej. Dźwięki na zielono. Matryki na czarno.

Ewa spoglądała już na Laurę z lekką zgrozą.

– I wszystko tak? Strona po stronie? Masz tam, zaraz, całego Prousta i Balzaca, z dwie półki kolekcji poezji, chyba całego Szekspira, na metry Iberoamerykanów, Anglików, Austen, Conrada, Nabokova, ale, mhm, Polaków współczesnych nie widzę –

– Nie chce im się już dawać opisów. Złożyli przymiotniki na ołtarzu czasowników. Zobacz, będzie dobry?

Ewa pochyliła się nad łyżką zgęstniałego sosu.

– A smak jest jaki?

– Fioletowy.

Posmakowała, uniosła głowę i odpowiedziała na pytanie z sąsiedniego życia:

– Nie zapomnisz o nim w ten sposób, nie da się.

Laura ani mrugnęła. Tak właśnie się dowiaduje o swej nagości obsceniczej: ze słów, zachowań, z nastrojów reagujących na to, czego nie powiedziała, nie zrobiła – lecz co nieustannie wypływa z niej na świat w spontanicznych fontannach pachu.

– Pójdiesz ze mną jutro do „Krakatau”?

– Z rozkoszą.

Czy nie po to się Ewa wprosiła? Laura poczuła pytanie impertynenckie nabrzmiewające na wargach – lecz Ewa z powrotem nasunęła okulary na nos i pochyliła się nad wydrukiem, i Laura znów wybrała bezpieczną niepewność, tę mleczną dwuznaczność, miękką ciemność ślepego. Zgarnęła rozrzucone przez Ewę książki i odniosła je na półki. Odwróciwszy się do Ewy i kuchni plecami, przeniknęła błoną oddzielającą kosmos nosa i podniebienia od kosmosu

Klejów introligatorskich, żółtkłego papieru, skóry chropowatej, wieczorów fotela i lampy – z których Raku wydobywał ją przemocą. Kiedy po raz pierwszy zaprosił ją do swej pracowni, trzecie piętro w gierkowskim bloku z widokiem na asfaltową równinę parkingów i podmiejskich hurtowni, za to sto trzydzieści metrów kwadratowych w sterylnej klatce betonu (zburzył większość ścian wewnętrznych) – kiedy tam weszła i ujrzała ten bałagan koronowany kilkunastoma pustymi stelażami, zrozumiała, że wszystkie jej studia, tysiące godzin lektur pilnych, cały wielki projekt deszyfracji zmysłów i kruczata translatorska, wszystko to prowadziło ją do tego finalnego testu. I Gustaw wytuszył z niej bezbłędnie owo napięcie podniosłe; wiedziała, że się zdradziła, że wybuchło to z niej w jaskrawym bukiecie, w szerokiej lawinie, odczytała to z niego. Już zachłannie uśmiechnięty, rozświetlony apetytem krokodylim, z salonową rewerencją ujawszy Laurę pod łokieć, Rak-Raczyński prowadził ją wzdłuż szeregu topornych chitryn, z rozmachem francuskiego marszanda omawiając w języku postmodernistycznej komchatrii każdą swą pracę z osobna, jej technikę, okoliczności powstania, osadzenie w tradycji, odcienie interpretacyjne, wady i zalety. A Laura – widząc goły metal i nie tuchując niczego, co RR właśnie opowiedział, nietota stuprocentowa, królowa nietot udrapowana na jego ramieniu masarskim – dyskutowała z zapałem i znanstwem subtelności matrykacji spektralnej, wyższość południowych glissów namiętności nad wschodnimi, lissandrowe manieryzmy Rakowego stylu, wpływ nań szkoły klasycystycznego komchartu imitacyjnego, etyczność pachografii pośmiertnej, a także przyszłość całego komcharstwa abstrakcyjnego, rekombinującego matryki naturalne w matryki w przyrodzie niewystępujące, a zatem projektującego emocje, myśli, stany psychiczne niedosiężne dla zwierząt i ludzi, nie do pomyślenia, nie do wyobrażenia, nie do stuszenia. Dla nikogo (się RR nadymał i kogucił), nikogo, nigdzie, nigdy. A ja je tworzę. Na tym polega sztuka. Rozumiesz?

Nie rozumiała, ale nie przeszkadzało jej to dyskutować, jakby rozumiała. I nawet w części tych sporów z RR zwyciężała. O, wtedy Gustaw był wniebowzięty! Nachylał się ku niej w zachwycie chłopcim, gotów spijać, wygryzać, wysysać tymi ustami kauczukowymi

każde jej słowo i pach, zarazem niedowierzający i jakoś dumny z jej nietoictwa, podziwiający-podziwiany. Co takiego pachowała mu wówczas prosto w twarz? (Już go nie dopyta). Serce biło jej niczym saperowi wypchniętemu na pole minowe, każde zdanie, każde słowo ślepe mogło wybuchnąć jej na języku, każdy krok mógł zatrzasnąć wnyki stalowe, to znaczy – potrzask idiomu.

Tłumaczyła. Przekładała. Rozwiązywała zmysły przez zmysły. Raczyński nie uwalniał jej z uchwytu czułego, paradując przed kolejne chitryny. Anioł spuszczonego z nieba mniej zaborczą nabożność by w nim skrzeszał. Byle nastolatka zamamiona do matecznika pana artysty pojmie całą sytuację bez słów; Laura miała tylko słowa. Gustaw obracał przed nią kolejny komchart. A co Laura sądzi o tych aurach prężnych, czy nie przesadne? Nie, skądże, Bociara i Łukasik pokazali, że pasaż organiczne łatwo przechodzą w uczuciowe, tuszyłeś uliczne komchy z Metropolitan? Tam to pachują...!

Zakochał się w niej. (We śnie).

W klejach introligatorskich, papierze żółkłym, chropowatej skórce obwolot, w wieczorach fotela i lampy – z nimi bowiem tam konwersował. Z chińskim pokojem nabitym ślepymi algorytmami języka, z rozręczowaną na sześć kolorów sensualną historią literatury. Prowadziły Laurę węże semantyki piękna: czerwień, zieleń, błękit, żółć, fiolet, czerń. Obalała Gustawowe racje sztuki i argumenty uczucia – chociaż sama nic o nich powiedzieć nie mogła.

*I chociaż o miłości mojej nic powiedzieć nie mogę –
choć nic nie mówię o twych włosach, ustach, oczach –
jednak twarz twoja, którą przechowuję w duszy,
głask twego pachu, który trwa w moim mózgu,
dni wrześnie, świtające w mych snach,
nadają kształt i matryk moim słowom, zdaniom,
o czymkolwiek mówię, cokolwiek wypowiadam.*

Jak się włamać do obcego królestwa zmysłów? Tylko tak.

Włamała się. Schodząc do podziemi języka, do tego podglebia zbiorowej podświadomości, skąd biją rzeki poezji, prozy, muzyki, malarstwa, komchu i rzeźby, początki wszelkich źródeł ducha, które *nadają kształt i matrykę moim słowom, zdaniom, ταις λέξεις και ταις φράσεις μου πλάττουν και μου ματρίζουν*, bo im głębiej, tym czystsza prawda, tak więc schodziła – Guanyin, Kora, Inanna – do języków źródłowych, do tekstów-fundamentów, tam zstępowała

(we śnie)

w poszukiwaniu Rosetty zmysłów, mitycznego źródła tęczy. Co znaczy „tuch”? Co znaczy „matryk”? Czym jest „głask”? Od Małego Staszica, przez liceum i studia, w życiu i w bibliotekach, we wszystkich bibliotekach życia – fraza posłyszana na ulicy, niezrozumiała scena w filmie, nowy koreański *hi-tech* matryczny, wulgarny dowcip-rebus – Laura pochylała się nad owymi telegramami Enigmy, tabliczkami linearnego B, supłami kipu.

Zaczynając od wskazówek najoczywistszych: archetypów skojarzeń zmysłowych. Upojna woń róż, zgrzyt paznokcia na szkle, kojący błękit, aksamit ciepły, prężny sierpień – dlaczego tak? dlaczego nie na odwrót? Jaka jest najmniejsza liczba zmysłów, na podstawie których można r o z w i ą z a ć zmysły pozostałe?

Katalogowała te przekazy kulturowe jak wojskowi kryptografowie katalogują przechwycone transmisje wroga. Szum, bełkot, chaos, tak – lecz przecież w pewnym momencie wyłaniają się wzorce.

Zaczynając od najoczywistszych – oto u Szekspira otuch idzie w parze z dotykiem, strącony z wysokich orbit zmysłów książęcych:

*Nor are mine ears with thy tongue's tune delighted;
Nor tender feeling, with fowth's shroven tone,
Nor taste, nor smell, desire to be invited
To any sensual feast with thee alone:
But my six wits nor my six senses can
Dissuade one foolish heart from serving thee*

Co w tłumaczeniu Barańczaka brzmi:

*Słuchu też nie czarujesz melodyjną mową,
Dotykiem ni pachem nie przemożesz natury
Smaku i powonienia na ucztę zmysłową
Nie znęca chłodne ciała twojego marmury.
Próżno sześć władz umysłu pospołu z sześcioma
Zmysłami ciągle serce do tej służby zraża*

A w przekładzie Słomczyńskiego:

*Mowy twej tony mych uszu nie cieszą,
Dotyk czuły ni otuch w swej prążności
Ni smak, ni węch na twą ucztę nie spieszą,
Byś nasyciła je na osobności.
Lecz mych sześć klepek ani mych sześć zmysłów
Serca głupiego odciągnąć nie zdoła*

Sześć klepek i pięć zmysłów, a przecież po którymś tysiącu, milionie, miliardzie skojarzeń, splótszy wystarczająco gęsto puste dla Laury znaczenia – zaczęły się one w jej umyśle krystalizować z synonimów, wyłaniać z nicości i szarości, na podobieństwo obrysów cienia, dopełnień kształtów wycinanych i unoszonych pod światło. Tajemnicze postaci w teatrze Nō – domyśl się, co znaczy ten ich gest, ta figura. Czyż także ślepi od urodzenia nie śnią, że widzą? I co właściwie wówczas „widzą” w swych snach – czym jest to w i d z e n i e ś l e p c ó w ? Nie śniliby o nim wychowani w świetle, w którym nikt nigdy nie przejrzał na oczy.

Tak samo Laura – od małego śniąc niejasno, że tuchuje jak wszyscy, w końcu śniła (we śnie)

o matrykach precyzyjnych i bogatych jak dwustronicowe zdanie Prousta, wspominała doświadczenia matryczne, które ustawiły całe jej życie (we śnie), zdarzenia i przeżycia obracające się na zawiasach otuchu, wspominała wspomnienia, bo z każdym obrotem nocnej pamięci bardziej osobiste i szczerze, katapultowane na powierzchnię świadomości z platform sąsiednich zmysłów, cóż z tego, że w pierw musiała o tym wszystkim przeczytać, cóż z tego? Tuchowała; pamiętała, śniła, że *w tej samej chwili, kiedy tyk pomieszany z okruchami ciasta dotknął mego podniebienia, zadrżałam, czując, że się we mnie dzieje coś niezwykłego. Owładnęła mną rozkoszna słodycz, odosobniona, nieumotywowana. Skąd mogła płynąć ta potężna radość? Czulałam, że jest złączona z matrykiem herbaty i ciastka, ale że go przekracza nieskończenie, że nie musi być tej samej natury. Skąd pochodzi? Co znaczy? Gdzie ją chwytać? I głębiej, do samego źródła. Je*

sentais qu'elle était liée au matricule du thé et du gâteau, mais qu'elle le dépassait infiniment, ne devait pas être de même nature. Wspominała, śniła.

I czy można to złożyć wyłącznie na karb tradycji, małego powielania raz przyjętych konwencji – czy też rzeczywiście pach niesie w sobie wilgotne molekuly duszy?

Na trzeźwo – na jawie – Laura odrzucała wszelkie nadnaturalne interpretacje. Niezlomny realizm kalek, graniczący wręcz z pesymizmem-fatalizmem, chroni je przed popadnięciem w wyniszczające cykle euforii i depresji, kiedy to byle *news* o testach klinicznych nowego leku albo przeblysłk czucia w martwej kończynie rozbudza feniksove nadzieje, prędko obracane w popiół zatruwający potem życie nieszczęśnika przez długie miesiące. Laura się uodporniła, nie dawała wiary, diagnozy tetologów od początku brzmiała jak wyrok: całkowity brak nerwów tuchowych, neuropatia tetyczna.

Jeden jedyny raz zwątpiła, raz tylko się tak zdarzyło

(Skąd pochodzi? *Ne devait pas être de même nature!*)

że tłumaczenie przeczytało tłumaczkę – przez sen, we śnie. Gdy zalegli na noc długą zimową pod świeżo wzniesionym ołtarzem nowego komchartu Raka, rozłożystą chitryną niczym pogańskim totemem, ośmiorękim potworem zapłuszyny matrykującym do bólu głowy (Gustaw łykał aspiryny jak chipsy), splątani w kocach i prześcieradłach wprost na PCV jego pracowni zaplutej, kaloryfery pocily się żeliwnie, ciemność zaokienna kamforowała brudy wszechświata, i tak, w anakondowych objęciach Raczyńskiego, z jego policzkiem ściernym na ramieniu i jego dłonią chciwą na płci, Laura zapadła w sen swój filmowy, wywrotowy.

– Zgubiłam się we mgle, w mieście nadmorskim.

...To miasto zbudowano na stromych wzgórzach ponad portem, z wąskimi uliczkami i piętrowymi domami z kamienia, po tym bruku deptały sandały rzymskich legionistów. Zgubiłam się we mgle, nocą, w środku parnego lata, nie lata. Mężczyzna, z którym wyszłam na miasto – zostawił mnie? ja go zostawiłam? pokłóciliśmy się? Szłam sama, w lekkiej sukience i sandałach na obcasach. Ale szybko je zdjęłam. Piliśmy owego wieczora, mam na języku smak owocowego wina. Idę nocnymi ulicami przez stare miasto i wtedy poznaję, że to sen, bo nie widzę i nie słyszę ani jednego człowieka. Nie ma też samochodów. Ja nie mam komórki. Widzę na ścianach reklamy i graffiti, ale nie potrafię odczytać tego języka, nie potrafię rozpoznać alfabetu, przetłumaczyć świata. Więc sen.

...Przysiadłam na cembrowinie wygasłej fontanny. Kamień wygładzony przez wieki, pod dotykiem same obłe formy: pyski bestii fantastycznych, dziwne twarze bóstw, demonów i nimf, rogi i języki i włosy na metry długie. Mgła wchodzi i cofa się z placyku, zakrywa i odkrywa wyloty uliczek. Zanurzam dłoń w wodzie. Przelewa mi się między palcami srebrne światło, to chyba Księżyc. W wodzie, w rzeźbie fontanny – faluje figurka czarna, chłopiec nagi ze strzałą w zębach. Głaszczę go po główce. Wpływa mi pod rękę. Wyjmuję figurkę z fontanny. Woda ścieka po czarnym kamieniu, jest tak śliski, tak ciężko wtula mi się w dłoń – to przyjemność prawie erotyczna. Znasz przecież zaczątek uczucia – jak się palce same wyciągają, drżące czułki, ku posągom, płaskorzeźbom, odlewom masywnym. Kiedy tłumaczyłam katalogi Muzeum Narodowego... Te muskuły zimne, te piersi z białego marmuru, te genitalia bogów wypolerowane pod pieśczętą tysięcy, te głązwargi jak oliwką całowane.

...W takim pochodzie przeszli rynkiem nocnym: postaci tańczące, nagie, półnagie, pod koronami bluszczu, winorośli, kwiatów białych i czarnych. Amor w mojej dłoni poprowadził mnie ku nim. W procesji obok wpółobnażonego biznesmena tańczył-maszerował czarny jak heban Murzyn z koźlęciem w ramionach, koźlę miało ucięty łeb, Murzyn był goły, wzwód jak drag, za nimi strega w błocie wytarzana, a potem stadko dzieci

z poprzyklejanymi do skóry banknotami nieznanymi walut. Szli też bardzo chudzi młodzieńcy palący w długich fajkach wonne zioła, ci podrygiwali najzwawiej. Amor pociągnął mnie do pary ze starcem obwieszonym zegarkami; dziadyga potrząsał nimi co krok, tak wyznaczał rytm, puls rytuału.

...Przy jednej z wąskich uliczek miasta, za murem wysokim odbywało się przyjęcie, wesele, jakaś impreza wieczorna – tam zmierzaliśmy. A za murem był obszerny dziedziniec i ogród z kilkoma zniszczonymi posągami, kilkoma drzewami. Mgła nie miała tu dostępu. Zamiast lamp elektrycznych paliły się pochodnie. Tymczasem zgubiłam gdzieś sandały, nawet nie spostrzegłszy straty, jak to we śnie bywa. Ziemia w ogrodzie była miękka, ciepła, nie błoto, lecz gleba szczerza, i przelewała się między palcami stóp niczym gęsty płyn, krew krzepnąca. Biegły tam w krętym układzie chodniki ułożone z nieforemnych kamieni. Szybko się zgubiłam w labiryncie ścieżek, między rzeźbą starożytną, drzewem dostojnym, dymem i płomieniem. Amor prowadził mnie od zakrętu do zakrętu, ostatnie krople ściekały z figurki. Przedemną szła dziewczynka może dziesięcioletnia, naga jak reszta, popijająca czerwone wino w wielkiego kielicha.

...Grała muzyka, za nią trafiałam pod amfiladę i do komnat na przestrzał w mgłę otwartych, pełnych ludzi i zwierząt i innych kreatur z legend. Zadzierałam głowę, kręciło mi się w głowie, noc mi w głowie szumiała. Porwali mnie, korowód sennego następstwa zdarzeń mnie porwał, w bachanalia jakieś, orgie dionizyjskie, tak musiało być – popłynęło to poza pamięcią snu, w pamięci tu cięcie, sen skleja się ponad tym, co oczywiste, znasz te porywy, procesje majaków jak montaż mgły z mgłą. Znasz? Znasz.

...Aż obudziłam się na skórze zwierzęcia, w świetle Księżyca. We śnie. Długo oblizywałam wargi. Jeszcze kilka ciał zaległo w tej sali z wygasłymi kadzidłami, z żarem wygasłym w koszu żelaznym. Zdjęłam albo ktoś zdjął ze mnie sukienkę, leżała obok na ławie, na niej amerek z onyksu. Przewleczono mu pod rączką łańcuszek, powstał wisior ciężki. Wiedziałam, że mogę założyć tylko jedną rzecz: sukienkę albo amora. Nie mogłam zostawić amora. Zawisł nisko, pod piersiami, nad pępkiem, że musiałam się wyprostować, bardziej niż wyprostować, musiałam trzymać odtąd pozę kariatydy: z torsem podanym w przód, głową do tyłu, brodą wysoko, barkami cofniętymi. Widzisz to? Widzisz mnie? W świetle Księżyca.

...Obudziło mnie wino wypite, zbyt dużo wina. Na korytarzu łaskotały mnie w podeszwy stóp krawędzie płytek mozaiki, zimnych, gładkich. Szłam tam po obrazach, po łąkach i lasach, po figurach hybrydowych. Cały ów kompleks śródmiejski stał już cichy, tylko czasami zabrzączało w oddali naczynie, zaszczekał pies, człowiek westchnął, wypowiedział imię. Na schodach minęłam się z brzuchatym Mulatem, miał ciemną krew na ustach. Musiałam przejść przez ten wewnętrzny ogród, posągi spoglądały z chłodną pogardą. Powietrze spływało mi przez nos i gardło elektryczną strugą, co to za pora roku, lato, nie lato, nie ma takiej pory roku.

...Stapałam ścieżką płyt kamiennych i zobaczyłam go dopiero w połowie drogi, siedział na tronie pod murem, pod dębem, zarośnięty. Aż przystanęłam. Dlaczego tron – siedzisko z wypiętrzonych korzeni, on na nim osadzony z szeroko rozstawionymi nogami, rękoma na udach, brodą splątana na piersi. To był starzec, ach, ale starzec-mocarz, starzec-monarcha, starzec odwrócony od śmierci. Żył i mięśnie napinały skórę granitową. Miał bicepsy Hefajstosa, uda Heraklesa, kark tytana, wielkie dłonie wpółzaciśnięte – do młota, do miecza, do gromu. Penis nieobrzezany, gruby, ale nie nakrwiony twardo, spoczywał wskos na jego lewym udzie; jedynie te włosy miał siwe, u nasady członka i na jądrach byczych. Czarna grzywa kłębiła się wokół jego wielkiej głowy, wir burzowy; przesłaniał pomarszczone oblicze, ale i tak widziałam, że Stary ma otwarte oczy i że patrzy na mnie.

Trwał w absolutnym bezruchu, nie dostrzegałam nawet drgnięcia oddechu, nawet przymknięć powiek – zrobiłam dwa następne kroki i wyrwałam się spod jego wzroku. Ale do końca wiodłam za nim spojrzeniem. Wiatr kołysał gałęziami nad Starym.

...Za kolumnadą była sala łaźniowa, a dalej – sala z otworami w kamiennej posadzce. Ścianę naprzeciw pokrywało stalowe zwierciadło, teraz mętne, wlała się w nie noc jak przepalony olej. Amor wskazywał na nie strzałą na języku. Sala była pusta, ale nie w zwierciadle, nie w zwierciadle. Któż podziwia fizjologię nieczystości? Przestałam wtedy wierzyć w sen. (We śnie). Nie śniłabym tego, nie ja.

...On siedział tam nieporuszony, gdy wracałam. Bożek ciężki obrócił się mi pod żebrem i coś ścisnęło mnie w żołądku, niżej, tutaj. Opuściłam ścieżkę. Stary patrzył przed siebie, nie na mnie. Podeszłam powoli, to już była miękka ziemia, gleba-krew, a zaraz wokół Starego – trawa, gęsta, soczysta. Stałam z boku, po jego lewicy. Nie odezwał się. Czekałam długo. Nie dał znaku. Mogłam zajrzeć mu w twarz – gdyby wstał, sięgałabym mu do piersi. Grzbietem dłoni, naskórek po naskórku, przesunęłam po jego ramieniu. Ciepłe, gorące. Nie drgnął, nie przemówił. To była inna skóra, inny materiał okrywający ciało: coś nieskończenie bardziej silnego, co wytrzymuje wulkaniczne napięcie mięśni pod spodem, moja skóra pękłaby jak skórka winogrona. Położyłam całą dłoń na jego dłoni. Rączka dziewczynki na ręce ojca. On nic nie mówi, on milczy, nie zauważa.

...Teraz klękam w trawie przy Starym, próbuję wejść w jego spojrzenie od dołu. Ale milczy wciąż. Przyciskam policzek do masywnego uda, cieplejsze, opieram na nim głowę. Pachnie nie jak starzec, lecz jak atleta schnący po treningu. Te kropelki na jego skórze smoczej równie dobrze mogą być rosą krystaliczną. Zbieram je – dwa, trzy pociągnięcia języka. Nie poruszył się. Patrzy ponad mną. Więc wiesz, i ja wiem, język powędruje dalej, przemówi do głowy węża. Rozmawiamy w ciszy, mój oddech, wargi, serpent smagający między zębów, i jego grzmot nieustępliwy, niemy, panujący. Wiatr stateczny głaszcze mnie po plecach, wzdłuż kręgosłupa. Złożyłam obie dłonie na dłoniach Starca, prawą na lewej, lewą na prawej. Nie ma zegarów, tylko amor z onyksu obraca się w dole, kamienny cień gnomona nocy.

...I kiedy krew gorąca wchodzi w fallusa-dracusa, jest to pierwszy i jedyne ruch monarchy na dębowym tronie, jedyne życie z niego, tylko tak przemówi: rosnąc na moim języku, wypowiadając się w moim oddechu, dotykając mego podniebienia. Poruszyłam króla. Podźwignęłam centrum świata. Czujesz, jak mi serce bije? Czujesz?

...Będzie rósł, a ja będę go ściagać we wroście, słowo nieme na słowo, tembr bezdźwięczny na strunach żył zdrewniałych, będzie rósł i pulsował, dudnił, bębnił, trąbił, grzmiał salwami kolubrynowymi, aż wypełni mi parzącym wrzaskiem całe usta. Ogłuszona, odpowiadam bełkotem w ślinie, niezgrabnie przekładam, interpretuję w zmysłach człowieka zmysły, to znaczy język, to znaczy rozkosz boga. Jest zbyt bogata, przepala mi nerwy, wywraca smaki, muszę się oddalić, wyzwolić, powrócić do słowników. Wracam. Z ostatnią samogłoską śliny pęka dialog ziemi i niebios.

...A wiedziałam, że one tam stoją, za mną, na ścieżce, stoją i patrzą; jeszcze zanim się odwróciłam. Kobieta w białej szacie i ta naga dziewczynka z kwiatem we włosach. Chciałam zadać im pytanie, ale żywica boga kleiła mi język i wargi. Uczynił ze mnie niemowę, zalał mi gardło swoim milczeniem barytonowym.

...Ocieralam nieporadnie usta. Kobieta podała mi kielich. Wiedziałam: wypiję to wino i otworzą się przede mną wrota wszystkich zmysłów.

...Wtedy się obudziłam z głową łupiącą jak jasna cholera.

– Nie mówiłem ci, o czym jest ten art.

– Nigdy mi już nie mówisz.

– Bo ty je najpiękniej opowiadasz, Lau, ty najpiękniej, najpiękniejsza.

Ale jak na nią wtedy patrzył, w jaką zupełnie nie-Rakową nieśmiałość słów i instynktów go wdusiła – nawet nietota pozna, że coś nadzwyczajnego się tu wydarzyło. (W jej śnie). Jeszcze tego samego dnia przeszukała historię jego peceta. RR wówczas już z papieru nie czytał prawie nic. Znalazła dziesiątki artykułów, nagrań, filmów, matrygrafii o prehistorii zachodniej sztuki, *Orfeusz i grecka religia* W. K. C. Guthrie, *Sztuka-religia: przed rozwodem* Alvina Doptry, serial BBC o neopoganach i tonę linków do dyskusji na forach historyków i teologów.

Co prawda RR mógł się być jakoś przed Laurą zdradzić niechcący, mogła od dawna podświadomie wychwytywać subtelne sygnały, odczytywać bezsłowne wskazówki.

Ale czy w gruncie rzeczy nie na tym właśnie polega otuch? Czyż nie tak opisywali tę władzę zmysłową tuchujący? Każdy przekład wymaga najpierw rozpoznania różnicy między znaczeniem źródłowym i docelowym. Tłumaczenie w stu procentach wiernie to nie tłumaczenie.

Ów art – ostatecznie zatytułowany przez Raczyńskiego *Stary Zagreus wymyśla człowieka*, włączony po latach do cyklu *Sidemyths* i wystawiany w Guggenheimie na Manhattanie – królował w pracowni dobre pół roku, RR wracał do niego, coś zmieniał, poprawiał, czasami po prostu siedział przed nim godzinami i tuchował go tępo, a czasami krążył dokoła w napięciu wygłodniałego drapieżcy, chwila i chwyci młot, roztrzaska chitrynę.

Gustaw od dawna miał jazdę na retro-mimeo, jeszcze przed poznaniem Laury naczytał się manifestów Polimimistów i w końcu poszedł mocno w „archeologię ducha”. W ciągu tych siedmiu miesięcy 2009 roku powstały trzy najsłynniejsze serie komchartów RR: *Bumtarara*, *Bumtarara II* i *Never Lived Through*. Tryptyk z *Never Lived Through*, wystawiony na zbiorowym wernisażu *Eastern Omatees* w pacharni Bjørksta w londyńskim Soho, sprzedano za czterysta dwadzieścia tysięcy funtów. I tak zaczęła się światowa kariera Gustavo Raka-Raczyńskiego. Jeszcze przed Nowym Rokiem przeniósł się z peerelowskiego brontozaura betonu do wysokiego loftu wyrzeźbionego w drewnie i szkle i kamieniu.

Ale wówczas nadal gnieździł się w tej ciemnej półkawalerce przy pracowni pełnej szkieletowych chitryn i śmieciowych prefabrykatów pachutralii, i tam, nocami dusznymi, pomiędzy siarczanym kwasem taniego wina i tekturową szorstkością pościeli, na tle śnieżącego telewizora i rozjarzonego śliwkowo grzejnika, spocony zimą, alkoholem i seksem, wymachując bochenkowo muskularnymi ramionami, wygłaszał do Laury swoje pijackie kazania, a wyrzucona na plażę sztormowego barłogu Laura obserwowała go niczym tygrysa szalejącego za prętami zoo, przyjemnie przelękniona, balansująca na granicy podniecenia i ironii, w tym punkcie G mózgu.

– Bo co nam pozostaje po ludziach minionych epok, pani doktor? – Jeszcze nie zrobiła doktoratu, ale RR lubił tak ją drażnić, sam bowiem umknął spod lepkiej macki ministerstwa edukacji po pięciu latach technikum ogrodniczego. – Co pozostaje? Ruiny. Ruiny i trochę innych przedmiotów, zachowanych w ziemi, w ruinach. I tak się dowiadujemy: w jakich domach żyli, jakie nosili ubrania – że nie były to nasze ubrania, nie nasze domy, i czym się od naszych różniły.

...Ale jaką archeologią mamy się dokopać ruin ich uczuć, ich myśli, ich dusz? Co? Już nawet brzmienie dawnych języków nie zawsze da się odtworzyć. Prawda? Pani doktor? Chociaż pozostały alfabety, hieroglify. Ale - to, co przeżywali? Ich uczucia – wielkie uczucia: miłość, nienawiść – nie były tym, co teraz znamy pod tym mianem! Słowa nakładają im fałszywe maski! – Podskakując niczym dmuchany pajac, zrywał sobie z twarzy niewidzialne kaptury i makijaże, ukazując co raz to inną minę, a zatem i uczucie, a

zatem i pach. – Dzisiaj – dzisiaj to są jakieś blade podróbki, resztki rozcieńczone. Uczucia-pomyje. Pomyje! – Pluł, wypluwał. – Ba, mamy przecież niby królów, w Wielkiej Brytanii, w kraikach europejskich – ale co taki król-kukła telewizyjna, król-ofiara tabloidów, co on ma wspólnego z zakutym w stal monarchą prowadzącym do boju armie, jednym kaprysem obracającym w ugór krainy, dyktującym z tronu narodom prawo boskie – co? Nic! Ale mówimy: król – król. Mówimy: miłość – miłość. Rozumiesz? Rozumiesz? – Dopadł Laury, wpół podźwignął z krawędzi wykolejonego łoża, potrząsnął. – Rozumiesz! Nie chodzi o jakieś relatywizmy kulturowe i lament nad cywilizacją plastiku i dolara. Mówię o k o n k r e t n e j z m i a n i e . Zapomnij o metaforach, cudzysłowach, całym tym waszym akademickim ble-ble! Bierz dosłownie. Miłość, Nienawiść, Zazdrość, Gniew – teraz z każdym imieniem wielkim schodził w niższe rejestry, ciszej i bliżej Laury – to byli bogowie, którzy zstępowali na śmiertelników! Brali w posiadanie umysły i dusze! – Wziął w posiadanie.

A gdy nastąpiła pora szeptów:

– Naprawdę, nie miałaś nigdy takiego podejrzenia? Mmm? Kiedy czytasz wyznania starożytnych. Ich *Iliady*, *Gilgamesze*, ich *Mahabharaty*. Nie miałaś takiej pewności?!

I szeptem:

– Bo – jak, jak, jak przyrównać i pomierzyć, czym różnią się nasze pasje od tych, co ongi rządziły ludźmi? Nie można. Przepadło bezpowrotnie.

Szeptem:

– Zostały, och, te obrazy, to, co pod palcami. Ale przepadły ich dźwięki i zapachy. Zupełnie i bez reszty przepadły smaki i matryki, nie do odtworzenia, nie do porównania. Przepadły, przepadły, przepadły.

I z powrotem wyrzucony na brzeg:

– Co oni tuchowali? Powiedz!

A Laura nachylała się nad nim pod falą wodorostowo splecionych włosów i, wyniośle nieświadoma wszystkich swych matryk ekstatycznych, odpowiadała z beczelnym uśmiechem:

– Nie ma różnicy, Racza. Dzisiaj czy cztery tysiące lat temu. Dla mnie nie ma żadnej różnicy. Przetłumaczę.

A on tuszył ją

Masywnie, rzeźniczo, bez pardonu, na wylot, do szpiku duszy, do kręgosłupa snu. Budziła się i pytała RR: – Co mi się śniło? – Uśmiechał się leniwie, rozespany kanibal, nażarty hipopotam, strzepy jej matryk na jego kłach wilgotnych. Laurze pozostawał kwaśny posmak nocy, miała go

Na języku. W transmisjach z drugiej strony frontu kultury. Z sąsiedniego królestwa zmysłów. Czytała przecież.

W *Sotterranei di sogni*, ostatnim stworzonym przed śmiercią opowiadaniu Italo Calvino przeznaczonym do jego projektu *I sei sensi*, bohaterka cierpi na zaburzenia snu sprowadzające koszmary na jej kochanka: śpiąc, nieświadomie pachuje mu przerażające matryki, cierniowe ciągi skojarzeń tuchowych. Laura trafiła na tę książeczkę pod koniec liceum i natychmiast utożsamiła się z bezimienną protagonistką – nie tylko przecież noce, ale całe życie Laury tak wyglądało. Niedoświadony kochanek z *Podziemi snów* wyprosił wizytę w awangardowej szwajcarskiej klinice, gdzie podpięli nieszczęsną do czegoś w rodzaju proto-MRI mózgu (Italo Calvino pisał to na początku lat osiemdziesiątych). Urządzenie mapowało precyzyjnie aktywność neurologiczną badanego człowieka także w tych fazach snu, których nikt i nigdy nie pamięta po przebudzeniu. Śnimy bowiem dłużej i więcej niż ukazuje się na powierzchni świadomości, nawet gdy doprowadzonej do wrzenia hipnozą

czy narkotykami; są takie doznania mózgu pogrążonego w śnie NREM, które od zarania *Homo sapiens* pozostają zakluczone w katakumbach psyche. Nikt tych doznań nigdy nie opowiedział, nikt ich nie zanalizował, nie wydobył na jawę. Dopóki właśnie maszyna nie podpatrzyła mózgu śniącego całkowicie poza jego świadomością: w brutalnym wglądzie przez czaszkę. Odtworzone z wzorów aktywności na korze owe sny bohaterki ukazały jakąś ciemną postać o z grubsza człowieczych proporcjach pachującą na potęgę niczym wieloryb w agonii. Kim ona jest? Samą bohaterką? Jej odbiciem lustrzanym? Kimś nieistniejącym, kogo sobie tylko wyobraża? A jeśli nie jej wyobrażeniem – to czym? Obrazy rekonstruowane na monitorach w klinice są niewyraźne, gruboziarniste: rozchwiane konstelacje punktów ujęte w dwóch wymiarach, gdzie położeniu każdego punktu odpowiada miejsce aktywności w mózgu. W rozdzielczości 100 x 100 wszystko wygląda jak nabazgrane przez przedszkolaka. Sylwetka chropowata wyciąga kończyny-wstęgi, wypłuka z siebie usta-oponę, kołysze tułowiem jak smugą dymu. W tle skaczą i migoczą ukośne linie. Istnieją tylko dwie barwy: czerń i biel. Bohaterka wpatruje się w te koślawe fotografie upiora zamieszkującego piwnice jej umysłu, i potem śni o nim także świadomie, pamiętnie, znowu matrykując naokoło smolne antytyęcze, zmory, chimery, grozy i paranoje.

Posłużyło to Calvino do rozwinięcia całej antropologii schizofrenicznych osobowości żyjących w częściach mózgu, do których nie mamy dostępu. Docierają tam jednokierunkowe ulice niektórych zmysłów, ale żadne trakty stamtąd nie wychodzą. Nosimy w głowach Bóg wie ile takich ciemnych kukieł, autystycznych bliźniaków, one krzyczą, przarzuja, biją łbami-płomieniami o deszczowe ściany naszych snów – lecz nic nie wydostaje się na zewnątrz. Gina więc wraz z nami w zupełnym zapoznaniu, bezsilni świadkowie własnego-cudzego życia. Do ciała, do ust, oczu, palców podpięty pozostaje tylko jeden z więźniów mózgu, ten zamieszkujący celę z otwartym dostępem do zmysłów; ten, o którym myślimy „ja”. Ten, którego myślenie słyszymy. (Myśląc). Gdy dostęp jest zbyt swobodny, nieograniczony – wtedy właśnie mamy do czynienia ze schizofrenią.

Nie każdy zmysł grodzi jednak tak samo gruby mur, nie do każdego aparatu ciała jest równie blisko-daleko, i oto jeden z Kasparów Hauserów żyjących w głowie bohaterki włamał się do jej tuchu.

Laura przyjęła to z satysfakcją jako potwierdzenie swego najdawniejszego podejrzenia. Italo Calvino pochwycił w konkret jej wstydlivą intuicję: że tuch jest zmysłem wchodzącym w człowieka najgłębiej, czymś w rodzaju węchu duszy, wrażliwego na upust matryczny tych instynktów i sygnałów z wnętrza, które, w formie słabszej i wykrzywionej biologią ciała, wymykają się niekiedy tak czy owak przez rumieńce, przyspieszone oddechy, zdrady mimiki i tembru głosu, erekcje, feromony, rozszerzenia źrenic. Nie bez kozery połowa dawnych rytuałów profetycznych i religijnych ceremonii rozmów z bóstwami opierała się na tuchu. Siega to znacznie głębiej niż do kultów orfickich, daleko przed moment rozłamu religii i sztuki. Laura łatwo odnajdowała się w domysłach starożytnych, w tych ich dziecinnie nieomylnych rozumowaniach, w wyliczeniach katalogowych, *visus, auris, thetus, odoratus, sapor, tactus*, a każdemu Zmysłowi towarzyszył atrybut monarszy – Wzroku: lustro; Słuchu: instrument muzyczny; Otuchu: pachmodium; Węchu: kwiat; Smaku: owoc; Dotyku: harfa. U Arystotelesa w *De sensu et sensibilibus* napotkała taki passus: *Co się tyczy zmysłu dotyku, to jest on z ziemi; a zmysł smaku jest tylko pewną odmianą dotyku, tak jak zmysł otuchu jest pewną odmianą węchu. Toteż ich organy – mówię o organach smaku i dotyku – znajdują się blisko serca, które wręcz przeciwstawia się mózgowi i jest najgorętszym spośród części ciała; podczas gdy organy otuchu i węchu znalazły się w odpowiedniej bliskości mózgu.* Z kolei święty Augustyn pisał w *De quantitate animae* o nietotach, że odcięto im duszę od ciała. Żydzi i Arabowie – Hunajn ibn Iszak,

Abraham ben Meir ibn Ezra, Mojżesz Majmonides – idąc za Galenem, zaliczali otuch do „zmysłów wewnętrznych”, *sensus interiores*, obok wyobraźni, intelektu i pamięci, ponieważ zdawał się on operować bez żadnych organów ciała. W *Sześciu zmysłach* Breughel odmalował go jako nagą kobietę płynącą przez sen w obłokach majaków śpiących figur dookolnych, chmura między chmurami. Kartezjusz uważał go za jedyny zmysł dotykający świata bezpośrednio z szyszynki. Dopiero nowożytna neurologia przesunęła otuch do ciała migdałowatego. To stamtąd wyciekają

Żądze, strachy, intuicje, wściekłości i fobie, tak uderza przez czaszkę różowy promień epifanii: oddech cofnięty z warg do płuc, krok wstecz, krople potu na czole, blade na obliczu.

– Kurwa, o kurwa.

A Raczyński, bestia pyszna, wytarłszy dłonie w szmatę plugawą, tylko ukłonił się kabotyńsko na tle strzelistej chitryny.

– *Bóg w dom*, wersja trzecia, chemia na rodnikach.

Kolekcjoner znokautowany ekspresją tego komchartu aż zatoczył się na przeciwległą ścianę pracowni i dopiero z zimnym betonem za plecami wrócił do pionu.

– Kurwa. Że się tak wyrażę. Skończy pan w domu wariatów albo w Luwrze. – A kiedy RR w odpowiedzi zgiał się zamasyżuje po raz kolejny: – A najpewniej i tam, i tam.

Laura przyniosła podgrzaną w mikrofalówce pizzę, położyli talerze na odwróconych butlach sprężonego powietrza, jadło się na stojąco, sztuce były plastikowe. Raku jadł palcami. (Powtarzała mu: zresz jak dziki Tatar. Ostentacyjnie wycierał wtedy tłuste dłonie o nagi tors). Przyniosła jeszcze piwo; najkrótsza droga od lodówki wiodła przez szereg ukończonych komchartów, Laura przeskoczyła bezceremonialnie przez stelaże.

Kolekcjoner zmierzył ją spojrzeniem, jakim dotąd dźgał Gustawa.

– Pani już w tym żyje.

Musiał sobie jakoś ułożyć w głowie. Potęga komchartów Raczyńskiego była nazbyt wielka. Inna sztuka – sztuka innych zmysłów – ledwo się prześlizguje po człowieku. A tu – tu włamujemy się wprost do podziemi snów.

Laura oczywiście nie miała zamiaru opowiadać mu swego kalectwa. Tylko opuściła oczy, żeby się nie zdradzić przed RR: przeżyła własną epifanię małą. Bo to w tamtej chwili, wystąpiwszy zimną stopą poza sukkubiczny krąg zmysłowego zauroczenia, pojęła, że Gustaw istotnie może być – będzie – jest! – takim geniuszem, jakim się przed nią ogłasza w swych tyradach gorylich. Romans z artystą przeklętym, taki romans jak wiosenna burza – to prawie taniec obowiązkowy młodości. I czy dziewczyna wówczas wierzy, że los rzucił przed nią na kolana nowego Bacona Picassa Gauguina Cobaina? Dziewczyna tak naprawdę nie wierzy. Lecz milczące przyjęcie owego założenia – taki teatr emocji i słów – należy do samej konwencji Romansu, nadaje mu cały smak i sens i wartość.

Kolekcjoner wyszedł i Laura znowu zaczęła Raka przesłuchiwać, rozwiązywać.

Ale po czym poznać wielkość w sztuce? Nie po dziełach sztuki przecież. Nietoństwo mogło się nawet okazać tu pomocnym, pozwalało na ogląd czystszy, niezamazany prywatną wrażliwością lub jej brakiem.

Lecz Raczyński wyśmiał Laurę z niekrytą pogardą.

– Opowiedzieć? Opowiedzieć? Sama mi opowiadałaś! Piękniej, niż ja bym umiał!

– Nie żartuj, przecież to wszystko była gra retoryczna. Jak te niebywale wyrafinowane dyskusje o książkach, których nikt nie przeczytał.

– No właśnie! Wszystkie rozmowy o sztuce tak wyglądają. – Zagarnął Laurę niedźwiedzim ramieniem. – Nietota czy nie nietota, tyle samo tuchujecie. Czyli nic.

Prychnęła mu w oczy.

– Tylko wielki Pan Artysta rozumie!

– Rozumie, nie rozumie, i tak nie opowie. – Jednym szarpnięciem obrócił Laureę twarzą do najnowszego artu w serii, potężnego komchu postawionego na dwumetrowej chitrynie, przed oknami wytrzeszczonymi na cmentarne błonia asfaltu i błota. – Gdyby to samo dało się przekazać w paru twierdzeniach, po co ktokolwiek marnowałby czas na sztukę?

Dotknęła opuszkami palców żeber tępego metalu. Równie dobrze mogłaby przed nią stać kratownica z warsztatu samochodowego albo jatki wiejskiej.

– Więc chodzi o przeżycie czysto zmysłowe, tak? I jeśli nie masz tego zmysłu, to cała zbudowana na nim sztuka nie ma sensu.

Jedna łapa RR powędrowała na pierś Laury, druga – pod pasek jej dżinsów, i w dół, i w głąb.

– Wyobraźmy sobie inne zmysły – zaszeptał z tyłu, wampirzo nachylony nad Laurę szują. – Dziesiątki, setki zmysłów. Których nie posiadamy i których nie potrafimy upakować w naszych conceptach małych. Idziesz?

– Mhm. Idę.

– Wyobraźmy sobie. Ich doznania, języki, dziedziny życia i dziedziny sztuki. W możliwości, w alternatywie, w niepoznaniu, tuż obok, za ścianą. Ale dla małych nigdy nie dostępne. Idziesz?

– Idę.

– I zobacz teraz: naukę-technikę, te rowery komputery bomboniery, wszystko to, co wyskakuje z doświadczeń i kalkulatorów, to zawsze da się dorachować-dopasować z wiedzy tak czy inaczej wyciśniętej ze świata. Najwyżej postawią jeszcze większy Płatacz Andronów. Nie ma nieskończoności nauki, schowanej gdzieś za rogiem w sąsiedniej możliwości, w alternatywie, za ścianą, nie ma takiej nieskończoności. Idziesz?

– Tak. Idę.

– Tam wszystko musi do siebie pasować. Dopełniać się.

– Dopełniać.

– Ale w sztuce! W sztuce!

– Idę!

– Tu mamy nieskończoność! Zobacz! Stuchuj! W tych potencjalnościach poza naszymi szczęściami zmysłami. Nieskończoność możliwego piękna!

– Och.

Potem, jak zawsze, wróciła do – klejów introligatorskich, żółtkłego papieru, skóry chropowatej, wieczorów fotela i lampy – i znowu znalazła tam kontrargumenty na słowa i łapska Raka-Raczyńskiego.

– Istnieje wyjątek – nie powiedziała mu. – Literatura. Sztuka opowieści. Sztuka kłamania życia i świata, a życie i świat, mój drogi, doświadczamy nie żadnym konkretnym zmysłem, lecz b y c i e m .

Nie powiedziała mu, nie powiedziała Ewie. A w związkach ludzi zdrowych z upośledzonymi zawsze jest coś podejrzanego – upośledzeni podejrzewają: litość, niezdrową ciekawość, plaster na zaropiałe poczucie winy, lekarstwo na zatajone kompleksy. Sytuacja z Gustawem zdawała się jasną, dopóki jego fascynacja nietożymem Laury pozostawała fascynacją bierną, dopóki – niczym królewicz wyruszający na poszukiwania żony w przebraniu żebraka – zadowalał się świadomością, że to nie piękno owej sztuki ją uwiodło, lecz on, on sam, Gustaw Raczyński minus sztuka Gustawa Raczyńskiego; a kiedy jeszcze tak mu opowiadała jego własne komcharty nietna na ich faktyczne piękno lub brzydotę –

– Który ci się najbardziej podoba, Lau?

– *Poranek numer osiem*, bez porównania nawet!

Dla niej był to test ostateczny, egzamin najwyższego kunsztu translacji; a dla niego – niepodważalny dowód jej inteligencji i zaangażowania, w których tak upojnie przeglądał się wraz ze swymi żądzami, Narcyz nieheblowany.

W pewnym momencie jednak się to zmieniło, coś się odwróciło między nimi, a może po prostu w głowie Gustawa – wraz z pierwszymi sygnałami nadciągającego nieubłagania sukcesu.

RR miał zwyczaj zapraszać swego imago-manago, właścicieli galerii oraz wpływowych znajomych „ze środowiska” na wystawne kolacje, z których wychodził, zostawiając zaproszonym rachunek do zapłacenia; płacili i jeśli domagali się potem zadośćuczynienia, RR jakimś sposobem pokrętnym wmontowywał ich w swoje akcje promocyjne, wernisaże, ofensywy stypendialne, że ostatecznie pocztytywali sobie udział w nich za wielki przywilej. A Laura dopiero obserwując Raka kręcącego na scenie kariery owe piruety, odkrywała jego naturę prawdziwą, specyficzne połączenie rozbijającej naiwności, chłopskiego sprytu, bezrefleksyjnego egotyzmu i właściwego dzieciom instynktu manipulacji. Była świadkiem, jak w ciągu jednego wieczoru doprowadzał nieznajomych do stanu, w którym dziękowali mu szczerze, iż oto podarował im szansę oddania mu przysługi. Nietna na odbywające się ponad blatem wymiany matryk, pozostawała w tym większym zdumieniu – jak ma ową zagadkę przetłumaczyć, to znaczy rozwiązać? – a RR z kolei rósł na tym jej zdumieniu do rozmiarów i blasku złotego Buddy, jeszcze chwila i wywróci brzuchem stolik, rozepchnie barami ścianki restauracyjnej alkowy, zaćmi świece i kinkiety. Być może owe spotkania same w sobie stanowiły dlań dzieła subtelnej komchatrii – jakie matryki ludzkości dotąd nieznane wpachowywał w uszczęśliwione ofiary swych makiawelizmów? – lecz dla Laury wszystko odbywało się

Na języku.

Tak ją pieścił słowami, ekstazował chemią kolokwialną, dosiadał na oklep leksykonów i gwar. Ledwo imago i jego chłopak wstali od stołu, Raku sięgnął pod obrusem kolana Laury i ścisnął je kowalskimi palcami-obcęgami, aż prawie krzyknęła.

– Widzisz? Widzisz? Przy tobie tylko!

– Zostaw.

– Nogi.

– Racza!

– Nogi!

Tuszył ją – masywnie, rzeźniczo, bez pardonu, na wylot – pachującą wbrew własnym jej słowom, czytała to z jego twarzy, czytała tak samą siebie: w Gustawa cudownie spontanicznych reakcjach na jej emocje wykwitające wtem bukietami matryk niecywilizowanych. RR rozchyła wargi schabowe, oblizuje ją spojrzeniem głodnym: a więc się otworzyła, a więc go zaprosiła – i Laura paśowieje tylko, osuwając się jeszcze niżej, jeszcze głębiej pod osłonę stolika. Gdzie rządzą łapska Gustawa i jego głos niski, spokojny, powolny, w tonie komentatora sportowego relacjonujący dla niej to, czego Laura nie tuchuje, nietota, ale przecież on właśnie wszystko jej zaraz poda

(na języku)

(we śnie)

w nieznoszących sprzeciwu rozkazach dla zmysłów, raz, dwa, trzy, że już Laura nie jest w stanie odróżnić opisu od żądania, są jednym i tym samym: co Rak-Raczyński z niej tuszy i czego od niej chce. Nogi! Rozchyła nogi. Ach, bo teraz mi glissujesz słodko, teraz fałgujesz jak wydra – Laura fałguje, drżą jej mięśnie ud, przygryza policzek – teraz wyprężysz wprost, jak się pierwszy raz dotknęłaś, jak pierwszy raz stanęłaś przed lustrem, jak pierwszy raz przed mężczyzną – Laura wybucha tym lawinowo, chwyta za obrus,

dzwonią kieliszki – nogi! – oddała mu władzę całą, imperatorowi jej skóry i rumieńca, carowi estrogenu – teraz gładziej az do wody źródlanej, o zapachu nieznanego samca, o jego dłoni ciężkiej na włosach, o języku wilgotnym, tuszę cię na wylot, język w dziupli, dłoń na gałązce drżącej, teraz zdzierasz ostatnie *glatia*, spływasz jawną rzeką, czuję twoje glissy parujące, wszyscy w restauracji czują, cynamon, haffa, ścieprotka, dalej, Lau, otwierasz się, otwierasz, dalej, otworzyłaś!

Coś się odwróciło.

– Nie ma takich matryk.

– Co?

– Nie jestem twoim komchartem, Racza!

Stał z rachunkiem w ręce, zde gustowany koniecznością zapłaty, skoro manago wyszedł pierwszy. Laura, której ochłonięcie zajęło kilkadziesiąt sekund, wyrwała Gustawa z portfelowej zgryzoty.

Nachylił się nad nią, ostentacyjnie łykając stygnące matryki.

– I jaka to niby dla ciebie różnica? Przepaliłem ci obwody. – Pośliniwszy kciuk, przycisnął go do czoła Laury, nisko pomiędzy brwiami. – A gdybym sfantazjował ten zmysł i wszystkie języki jego, gdyby to była tylko moja prywatna fikcja – czy nie wilgotniałabyś tak samo na hymnach otuchu?

Ze zgrozą pojęła, że Rak ma słuszność.

Furda biologia, miliardy lat ewolucji, prawa królestwa zwierząt, furda spódnice macice Priapy capy *Kamasutry*. Wszystko rozgrywa się na języku, to znaczy w translacji. Owszem, historia kultury stoi po stronie tradycji, ale w dowolnej chwili może zstąpić między śmiertelników taki Gustavo Rak-Raczyński i wywrócić wszystko do góry nogami, stworzyć dzieło sztuki – konstrukt zmysłów – jakiego nie znał świat.

Odtąd miała się na bacności. Skończyły się dni bajkowej cyganerii. Stary Zagreus królował w pracowni RR, Laura spoglądała na nich z jednaką nieufnością: na metalowy stelaż, na który nawijały się jej sny, i na gorączkującego artystę, z którego rozpełtały się niewidzialne arcydzieła. I chociaż nic o nich powiedzieć nie mogła (pełna słów nieomylnych w sześciu kolorach), miała pewność, że to głask jej pachu – ich dni i noce zimowe, świtające w jego snach – nadają kształt i matryk artom Raczyńskiego. Coś się odwróciło, coś się skończyło. Gdyby była zwykłą kochanką-Muzą... Ale w związkach ludzi zdrowych z upośledzonymi zawsze jest coś podejrzanego

(Tego nie da się podrobić! Tej bez troskiej rozpusty rozwartej na wznak przed całym światem!)

a Laura już przekroczyła Rubikon i kiedy RR tak ją tuszył

3. *Front wewnętrzny*

Masywnie, rzeźniczo, bez pardonu, na wylot – aż budzi się spocona zimno, z jego twarzą-lampionem wciąż przed oczami.

Trzynasta pięćdziesiąt. Bierze prysznic, myje zęby. Nie potrafi się jednak pozbyć z ust wczorajszej nocy, a na dodatek od nowa dręczą ją złe przecucia przed wieczorną premierą (pójdzie, musi pójść). Stary smak tytoniu przykryje tylko tytoniem świeżym. Przystanąwszy przy świetliku uchylonym na zeszlowieczny krajobraz gołębi i anten, zapala papierosa, a wyciekające pod niebo wstążki dymu tęczą genealogie literatury nikotynowej. Usta same się jej ułożyły do różańca wytartych epitetów. Jak w Małym Staszicu, gdy pierwszy raz skosztowała tytoniu, w kręgu czterech dziewczyn, a wszystkie opowiadały sobie szeptem

podsluchane matryki papierosów: że rwatne, że michurne, że pągowo płaskie, albo na odwrót: wywróśne, blee – nie mając bladego pojęcia, co te słowa znaczą. Strzepnąwszy popiół, Laura kaszle śmiechem. Minęło piętnaście lat i nadal nie ma pojęcia. Przetłumaczy bezbłędnie – ale nie pozna, nie. Zaciąga się w trzech metronomowych wdechach jakby

Badała pojemność płuc. RR przypatrywał się jej z antresoli zakopiańskiej chałupy Konopnego, siedząc na krawędzi i kiwając w powietrzu nogami, Piotruś Pan *rated R*. Gustaw był wtedy w fazie głębinowej, „poszukiwał równowagi ciśnień matrycznych”, jak po latach napisze w „Wyborczej” egzaltowany krytyk.

– Wiesz, co mówią o niewidomych. Że mają dwa razy ostrzejszy słuch.

– To nieprawda, oni tylko muszą się tak bardzo skupiać na dźwiękach.

– No właśnie. – Wpatrywał się w nią teleskopowymi ślepiami proroka Apokalipsy, wystraszy się dziewczę nieznaną i umknie albo rozmięknie na miejscu jak królik pod jadowitą hipnozą węża. – Tak się skupiasz.

Też nieprawda. Potem po północy Święty Filip od Konopi częstował ekipę innymi papierosami, i one sprowadziły Laurę do ostatniego roku w Staszicu i do nocy andrzejek, kiedy wszystkie się objadły ciastem z marychą. Rak-Raczyński, który złożył już głowę na jej kolanach i stamtąd pufał i fuchał Filipowym dymem, wytuszył teraz bezbłędnie kierunek pamięci Laury – schwycił ją za nadgarstek, jakby w jej pulsie mógł z kolei wytuszyć same jej wspomnienia: kto, gdzie, kiedy, dlaczego.

– Kto, gdzie, kiedy, nieważne. – Wytargała go za uszy mięsiste i cmoknęła w nos. – Jak tak można? Macie w głowach kalendarze, atlasy świata, książki telefoniczne?

Zaczął ją wtedy paluszkować, odmuchiwać, podpuchiwać. Wywinęła mu się ze śmiechem w nocne powietrze gór. Okożuchował ich tam razem Filipową baranicą, stali na werandzie w pierzynowej komunii ciepła ciał i chichotów.

– Nietotko ty moja. – Chuchnął parą ziołową pod karnawałowo rozcwierkanymi gwiazdami; nadal nie zapytał o jej imię. – Zostały ci tylko magdalenki.

Później ponownie przeczytała Prousta, już wędrując przez tekst wedle sześciobarwnych ścieżek zmysłów, doceniając starczą pedanterię pamięci Francuza. Albowiem pamięć Laury nie spływa po liniach czasu ani miejsc, ani osób – lecz wrażeń zmysłowych. Nakręcający na siebie strumienie przeszłości matryk ciasteczka nie jest dla niej pojedynczym wyjątkiem, fenomenem godnym analitycznych poematów; jest zasadą organizującą cały świat Laury.

Czas to miara tyranii materii. Czysty sopran blaszanej rynny, ciepła pleśń oddechu kochanka, piorunująca harmonia męskiej sylwetki, szorstka słodycz pierwszego owocu lata – one wszystkie, jako duchy-wrażenia oderwane od kilogramów newtonów metrów litrów, istnieją w wieczności, w absolicie, niczym figury geometryczne, twierdzenie Pitagorasa albo zbiór liczb naturalnych.

Czy tuchający nie mają takiej pamięci? Ona z kolei nie pojmowała. Jak w ogóle można żyć w podobnym chaosie schronologizowanych, więc zawsze nowych i osobnych

Głosów, barw, kształtów, presji, hałasów ludzkości, po co to im, galerie handlowe, kawiarnie, deptaki, kluby solidarnego wysiłku. Nigdy nie może być pewną, gdzie kiedy co komu wymatrykuje w twarz. Gdy tak siedzi na tronie piękności, pod ptasim dotykiem fryzjera, z zamkniętymi oczyma chłonąc bliskie i dalsze dialogi i muzyki, próbuje wyobrazić sobie swoje życie jako osoby zdrowej, urodzonej do otuchu. Byłaby duszą towarzystwa; miałyby dziesiątki przyjaciół; miałyby życie wewnętrzne sekretne, inne od życia twarzy i pachu i głosu; działałaby w inicjatywach kościołach ruchach fundacjach owsiakach rydzykach

W partiach braterstwa powszechnego.

– Socjalizm – zaczynał Janek swoje nawijki zelockie – to sztuka życia kawiarnianego!

Jaka racja egoistyczna za podatkiem Janosikowym? Ano taka: czy wolisz żyć w luksusowej pustelni, sama w bunkrze dobrobytu pod pustynią biedoty, czy też szczęśliwsze, wygodniejsze, zdrowsze życie będziesz wiodła pośród uśmiechniętych, zadowolonych, pięknych-młodych? We wszystkich tych komfortach miejskich, które nie zaistniałyby dla kilku milionerów otorbionych swoimi milionami? W kawiarniach buzujących energią romantyczną, w tłumie papuzim? Otóż na to właśnie płacisz, za to płacisz!

Może tak, może nie. Nietotom trudniej sprzedać podobny raj. Laura zastanawia się: które zmysły tuczą które polityki. Kapitaliści-korwiniści bardziej są chyba wzrokowcami, a narodowcy emocjonalni biorą wszystko na słuch, na pieśń i rytm. Ci zaś silnie tuchujący łatwo się zanurzają w strumieniu matrik ulicznych, niewiele im trzeba, by naprawdę poczuli się częścią wspólnoty, owo poczucie poprzedza teorie i racjonalizacje. A Laura musi

Podłuchiwać, zapamiętywać, edukacja tłumacza nigdy się nie kończy: powstają nowe słowa, nowe związki frazeologiczne, słowa stare dryfują w dziewicze skojarzenia, nieustannie obraca się kalejdoskop wrażeń opisywalnych, a zatem odczuwalnych.

– Jak możesz mnie tak o d p y c h a ć ! – Balejażowana na różowo nastolatka półszepcze w komórkę. – Nie widzisz, że i jego ranisz? Byliśmy naprawdę blisko. Ale ty nie masz zaufania, nie pozwalasz się im r e a l i z o w a ć . Jak nie dopuścisz do siebie nikogo, nie znajdziesz tego bezpieczeństwa. Myślisz, że jak ja się czuję? Zasluguję na b o g a t s z y z w i ą z e k !

Laura jest pełna podziwu. Jak prędko nauczyły się języka sercowych egoizmów! Wystarczyło kilka lat seriali telewizyjnych, w których celebrytorzy rozmawiają frazami nowojorskich psychoanalityków – i wszystkie polskie nastolatki wiedzą już, co czuć, czego wymagać od swych ukochanych i przyjaciół, i jakimi porównaniami opowiadać pogodę duszy. Omal jakby odkryto tu właśnie nowy zmysł, i nową warstwę rzeczywistości: subtelną chemię relacji społecznych splątana z gospodarką przyjemności.

Ukryta za opuszczoną kurtyną powiek, z nadzieją, że nie zdradzi się lustrzanymi matrikami, Laura próbuje przetłumaczyć jednostronny dialog dziewczyny na język przedtelewizyjny – czy w ogóle się da? I jaka zatem różnica między owym wykwittem popkultury a całą twórczością Raczyńskiego? *A gdybym sfantazjował ten zmysł i wszystkie języki jego...*

Dzwoni Ewa.

– Nie stchórzyłaś, mam nadzieję! Zabieram cię o szóstej, licz się z korkami.

– Słuchaj, czy ty masz jakieś kłopoty sercowe? Wczoraj w nocy –

– Jezu, spiłyśmy się nieprzyzwoicie!

– No właśnie, pewnie inaczej byś się tak nie wypruła.

– Takie tam. No wiesz. Nikt jeszcze nie wygrał z kalendarzami. Ale ponarzekamy, ponarzekamy i wracamy na pole walki, nie? Zostaniemy potem na kolację?

– Co? Nie wiem. Nie. A w zaproszeniu jest kolacja? Cholera.

Cholera, cholera. Pójdzie. (Nie pójdzie). Pójdzie.

Czekając na ostatnią fazę operacji stylisty, Laura siorbie herbatę melissową, ona jest jej narkotykiem stresu, jej smak cytrynowy, wodnisty, chwastowy

Znaczył samotność po-Rakową, dni, tygodnie, kiedy kłóciła się nieustannie sama z sobą, i kłóciła się z Rakiem, gdy dzwonił, gdy przychodził, kłóciła się z Oleńką i Królikiem, chociaż akurat oni wspierali ją w decyzji o rozstaniu. Co wszakże w jakiś niezdrowy sposób rozdrażniało Laurę jeszcze bardziej, dygotała w rozciągniętym na wieczory i noce rezonansie, od jednego stanu ducha do przeciwnego, i z powrotem, i znowu, i o sto osiemdziesiąt stopni. Wróci do Gustawa. Nie wróci. Wróci. Nie. Przychodził Filip, przychodził menadżer RR, przychodzili jego kumple od kieliszka i pachmodium. Nie może

bez ciebie pracować, wyrwałaś mu kły, odgryzałaś jaja, zgasiłaś ogień, naplułaś do duszy. Miał w głowie wielkie rzeczy, arcydzieła, cudadzieła – teraz ma krater po tobie. Wróć. Nie. Wrócisz. (Wróci). Nie. Gdybyś tylko mogła stuchować, jakie wspaniałe arty spod jego ręki...! Gdybym mogła tuchować

– Nie byłabym mu do niczego potrzebna.

– Kto to wie, kto to wie. A nawet jeśli. Zabaw się, to jemu zależy.

– Do zezwierżenia. Nie tak mówiłaś? Nie?

Bo Laura podczas jazdy nie potrafi zatamować słowotoku. Ewa zaś jest zupełnie niegorgonowo roztargniona, esemesuje co chwila i odsłuchuje pocztę głosową. Pod niedopiętym płaszczem ma wykokardowaną sukienkę z balkon-gorsetem, w której wygląda jak burdelmama albo zła chrzestna z bajki.

Laura zagryza wargi. Kolorowe pędzle reklam i pierzaste grzywy reflektorów głaszczą ją po czole, oczach, policzkach, opuszcza powieki, byle wrócić pod czułą pieśczętą dzieciństwa –

– Te jasnotki. Te, te, te!

– Nie ruszaj się.

– Bo mi uciekną! Uciekają!

– Słuchaj panią doktor.

– Ale –

– I powiedz, kiedy coś stuchujesz.

Gwiazdy słonecznego dnia, Księżyc nieba śródletniego, tęcza higienicznej bieli. Coś tak ulotnego, tak nieuchwytnego – całe życie będziesz sięgać, poszukiwać, wymacywać, i choć już-już poczujesz na wyposzczonych opuszkach, na zelektryzowanym koniuszku języka, to zawsze ostatecznie ci się wymknie. Przetłumaczysz, ale nie poznasz nie poznasz nie poznasz nie

Stop.

Wysiadają.

– Będzie dobrze.

– Opowiesz mi zaraz, co on tam wykomchował.

– Oddech, oddech, no, już, idziemy.

Pacharnia „Krakatau” mieści się przy wąskiej, ciemnej uliczce odchodzącej od głównej arterii dawnej dzielnicy przemysłowej, przez ostatnią dekadę urabianej w osiedlisko studentów, artystów, prawników i rodzimego *hi-techu*. I wciąż nie wiadomo, czy dzielnica stanie się wedle planu modna, czy też osunie się w kolejne pretensjonalne simulacrum luzu i młodości, z rozpędu wykupywane przez przyjezdnych nuworyszy. „Krakatau” urządzono na parterze dawnej hali odlewni, w jej oszklonym przestworze rozświetlanym krzakami śnieżnej elektryczności dominuje kilka wielkich maszyn fabrycznych pochodzących bodaj sprzed pierwszej wojny światowej. Lecz zanim jeszcze Laura przyszła na świat, te masywne bryły kanciastego żelastwa, nie ruszając się z miejsca i nie zmieniając postaci, wyemigrowały z domeny przedmiotów użytkowych, stając się obywatelami wszechświata sztuki. Teraz pod ich surowymi obliczami nierdzewnymi, w cieniu rozcapierzonych zaborczo ćwierćtonowych ramion, ogonów, szyi, kręgosłupów, dwunastnic i śledzion wykosmopolitowani mężczyźni i kobiety sączą darmowe alkohole, to łącząc się w szlachetne związki konwersacyjne, to rozłączając, i tak powoli karambolując poprzez halę, odbijani od ludzi i sprzętów w niskoenergetycznej parodii ruchów Browna, spiralujący w nurtach i przeciwnurtach dokoła stref rażenia dwudziestu siedmiu komchartów Gustawa Raka-Raczyńskiego.

Które postawił on na chitrynach jeszcze bardziej archaicznych od zabytkowych maszyn

odlewniczych: nie metal i pachmodia nieorganiczne, lecz drewniane stelaże, szkielety z nieheblowanych desek i drzewców, na nich pachutralia grzybiczne, koralowe, mineralne, nawet roślinne. Zniszczają prędko – nikt tak nie uprawia komchatrii, od lat, od wieków. Laura pamięta niejasno z esejów Zwiga historię Weismanowej rekonstrukcji komchartów zamówionych przez Ludwika XIV dla Wersalu, dokonanej na podstawie opisów zawartych w listach francuskiej arystokracji. Czy też to Gustaw jej opowiadał, podbudowując zmarłymi autorytetami swe bombastyczne kazania retro-mimeo? Takie były jego argumenty koronne. Gdyż cokolwiek tam w Minneapolis zrekonstruowali, w istocie zrekonstruowali z języka, nie z otuchu. Oryginalnych matryk nie zna nikt. *Nie do odtworzenia, nie do porównania. Przepadły, przepadły, przepadły.*

Laura i Ewa wchodzi ramię w ramię, dłoń Ewy na talii Laury, wspierająca-popychająca, biust Ewy lodołamaczowy, tnący fale słonych spojrzeń. I gdy tylko zamykają się za nimi skrzydła mlecznego szkła, chłodne powiewy ulicy zastępuje ciężki dech klimatyzacji, a głos miasta prawdziwy – maszynowa muzyka miasta (senny dubstep Buriala jak pieśń wieloryba Londynu), i Laura momentalnie osuwa się pod powierzchnię, z otwartymi oczyma tonie w tym świetle przyćmionym, w tych woniach luksusu i równie ekskluzywnej dla luksusu pogardy, w cichym szumie

Rozmów, szeptów, śmiechów cierpkich, dotknięć i stąpień tanecznie ostrożnych, milczenia czujnego – miała już dosyć, dosyć, chciała wyjść. RR złapał ją za łokieć, powstrzymał.

Filip nieustannie nadawał doń mimiczne sygnały, domagając się obecności komchartysty w tej i tamtej konwersacji. Przez pogierkowską pracownię Raczyńskiego przewinęły się owego wiosennego popołudnia trzy tuziny osób, znajomych oraz znajomych znajomych Filipa; a nie byli to ani krytycy sztuki, ani właściciele galerii, ani nawet potencjalni kupcy. Jak i w żadnym razie nie była to wystawa.

– Wyprowadzę cię z dziczy – obiecywał Gustawowi Filip. – Z domu swawoli. Ażebyś stał się – wystawialny.

Kogo więc tu zaprosił? Co to za indywidua podejrzane, spod jakiej gwiazdy, jakiego zawodu?

– Zawód, zawód, pfch, kogo jeszcze podniecają kasty i legitymacje? Myśl o nich jako o, mhm, katalizatorach procesów towarzyskich.

Filip oto dawał znak, a RR wyładowywał na kolejnych ofiarach swój szarm manipulacyjny.

Musimy osiągnąć „postmodernistyczną szczerłość maski”, zadeklarował Konopny.

– Nie waż się tu niczego porządkować! – zakazał był Laurze, zupełnie nie po Konopnemu poważny. A Gustawowi: – Zapomnij o garniturach!

– Nie mam garnituru.

W utyłanych smarami džinsach i obcisłym polarze z lumpexu wstępował krokiem beczka-bosmana w rozmowy otworzone dlań przez Filipa i z ponurą miną burczał w twarz zachwyconym gościom swoje mądrości bufońskie. Stary Zagreus – potrójna menora rur i teowników sięgająca sufitu wielkiej płyty – patronował owemu rytuałowi megalomanii z hartowaną wyrozumiałością złomu.

Laura miała dość.

– Do czego ci jeszcze jestem potrzebna? – Wyrwała się z uchwytu RR. – Filippo cię woła, no idź, idź. Bo zrobię scenę!

Raku wydał parówki swych ust, zmierzyl przerażająco trzeźwym spojrzeniem Filipa oraz nawiniętych na Filipową gadkę gości, po czym sucho, rzeczowo zażądał od Laury:

– Zrób scenę.

Dziewczyna Artysty, pomyślała, i musiała coś bardzo ostro zamatrykować, poznała to zaraz po reakcji Raczyńskiego, nie mniej już dla niej czytelnej niż reakcja wypachowanego w las Grzesia.

– Naprawdę nie wiesz? – RR uniósł się na wdechu. – Taak. One nie wiedzą, nie wiedzą, nie wiedzą!

– Prążysz jak proboszcz.

– A popatrz na nich! – Nie kryjąc się przed gośćmi zupełnie, objął ich i całą przesłonecznioną pracownię jednym zamaszystym *backhandem*. – Gdyby im armatę w gardziół wcisnąć i pod kosą postawić, nie wydusiliby z siebie jednego pachu prawdziwie nowego. Albo tak starego, że nowego. Czemu? Bo od urodzenia tuchują wszystkich naokoło, tak się uśredniają i dopasowują, docierają, dopełniają – tuchują i pachują, tuchują i pachują, i w końcu nie ma już żadnej różnicy. Nie ma granicy! Stopili się, skleili jak ameby czy inne robalątka bezskórne, krople życia-flegmy, jak kropla do siebie podobne. Pokój na wszystkich frontach, uczucia i wrażenia przepływają swobodnie. Co weszło, to wychodzi. Co wychodzi, to wejdzie. Nie wyśnią niczego nowego. Nie wniosą niczego do puli. Z wewnątrz, ze środka, spod ziemi. Choćby ich nakwasić wszystkimi prochami Filipa. Potrzebują moich artów.

– A ty potrzebujesz mnie.

Wyszczerył się do Laury maniacko, wielka dziura w masce gbura.

– Nie ucywilizowali cię. Nie do końca. Nietoty biegają wolne, niepochwycone. Pasą się na innych pastwiskach. Pod innymi Księżycami. – Kopnął porozumiewawczo fundament *Starego Zagreusa*. – I nie krzyw się, nie szartuj mi teraz. No co? Jakbyś nie znała żywotów mesjaszy pędzla, dłuta i pióra! Jakie kobiety mieli przy sobie? Albo sekretarki-pielegniarki, albo właśnie –

– Pozwolisz, że przedstawię –

Facet w cekinowej marynarce wyprzedził prezentację Konopnego, wężowym ruchem wciskając w garść Gustawa wizytówkę-błyskotkę.

– Jak to możliwe, do tej pory nie ma pan menadżera!

Rękę Laury ujął zaś z delikatnością manikiurzysty i zgiął się wpół na sztywnym kręgosłupie; przynajmniej wąsów nie miał.

– Motylski Rafał Przemysław, tuszę, że panna aprobeuje.

Zniosła dzielnie tę sarmacką figurę grzecznościową, choć pocałunek

Ciepły, lepki, śluzowaty, niczym wymiot rosiczki, zostawia teraz na grzbiecie dłoni Laury niepodrabialną pieczęć imago-manago RR.

– Wiedział, wiedział, że przyjdiesz, musiałaś przyjść!

Ewa spogląda pytająco. Totalnie rozkojarzona Laura przedstawia jej menadżera Raczyńskiego, wzrokiem jednakże skacząc już po sylwetkach i twarzach ludzi zgromadzonych w „Krakatau”. To on? Nie on. Tam więc – on? on? On. Nie on.

Oddały płaszcze. Laura chowa zaproszenie w torebce, sprawdza komórkę, natrafia na papierosy, tu oczywiście nie wolno palić, zgniata je w dziecinnym odruchu zaciśnięcia pięści przeciwko światu.

– Co się mówi?

Manago wykonuje gest fali.

– Plum, plum, plum. Od tryumfu do katastrofy, kołyszemy się.

– Zawsze powtarzałeś, że decyduje się w pierwsze pół godziny.

– Khm, tak, czekaliśmy na ciebie.

Laura nie rozumie. Powinna wytuszyć; coś tu jest nie tak; czuje przy tym, że sama do reszty zdradza się szartnymi matrykami konfuzji.

Ujmuje Ewę za łokieć.

– Mów! Co to jest? Co tuchujesz?

Coś tu jest nie tak. Bural zwalnia tempo, tak bije serce konającego lewiatana fabryk i dworców kolejowych. Koślawe słońca nagiej elektryki przepalają źrenice Laury, mruży oczy, oczy łzawią, i tak oto wokół drewnianych chitryn rozrastają się wełniste aureole miękkich barw, aureole, chmury, odwrócone jeziora, wszyscy tu tkwią z głowami zanurzonymi pod, czyli nad ich powierzchnię. Mruga, mruga.

– Ewa! Co to jest?

Ale Ewa wymknęła się tymczasem spod ramienia Laury, zniknęła gdzieś w labiryntach komchartu i wirach towarzyskich. Laura odtrąca dłoń manago, wstępuje między chitryny. To on? Nie on. On? On?

Toteż przegapiła moment, w którym opiłki zaczynają się orientować wedle magnesu – ciężki otuch stukrotny spadł na nią niczym szkwał na żaglowiec. Chwieje się Laura na nogach, przygryza język, zaciska palce na torebce. Nastąpiła inwersja zbiorowej uwagi. Oni może nie patrzą, ale obracają, przechylają, nastawiają głowy i tuchują – Laura to czuje, jest pewna – oni wszyscy tuchują bynajmniej nie arty RR, lecz ją, ją właśnie, zatrzymaną w pół kroku między jednym i drugim komchem rozłożystym. Dlaczego? Co się stało? Ktoś coś powiedział, dał im znak? Czy też wszystko rozegrało się na matrykach?

Nietota nie rozumie, nietota nie wie. Rozgląda się za Gustawem już w panice, sarna przestrelona reflektorami na środku asfaltu. On? On! On!

Na ramieniu Ewy, w kilwaterze jej biustu.

– ...że przyjdzie...

– ...jak obiecałem, przecież nie napiszę wam tej cholерnej autobiografii w tydzień...

– ...ale przysła, proszę!

Przysła, przysła. Mimo woli cofa się Laura pół kroku, jeszcze głębiej między jaworowe chitryny. Ale on, on ją stuszył bez pudła; nie ma ratunku. Nadciąga na skrzydle Ewy Chimery, przyjaciółki-zdrajczyni, nadciąga. Gustavo Rak-Raczyński: chłopska koszula biała, rozchełstana na owłosionym torsie, skórzane spodnie rockmana, na głowie grzywa-burza, na gębie rewia muskulatury mimicznej, w łapie prehistoryczne pachmodium z rogu kozła. Opiłki rozstępują się i ponownie zapętlają wokół magnesu. Wzbierający szkwał omalże przycisnął Laurę do chitryny.

Oni wszyscy wokół, w szumie rozmów gasnących, ze spojrzeniami rozedrganymi, oddychający do rytmu industrialnej melancholii basów, wszyscy zgromadzeni pod wyniosłymi ołtarzami maszyn – jakby chcieli wygryźć z niej płuco mózg szpik serce trzustkę wątrobę.

I wylewa się to z niej otwartym pachem, jak zawsze.

– Nie kłam! – odpowiada jej Ewa. – Sama chciałaś! Uwielbiasz to. Bierzesz na ochotnika – ćwiczenia ze studentami, konferencje, nagrania, tłumaczenia oficjeli. Żebyś nie mogła uciec, zasłonić się przed nimi.

Nie, nie, nieprawda! Wcale nie chciała tu przyjść! To Ewa ją zmusiła, zaciągnęła siłą-podstępem! Ewa, Ewa przeklęta, przekupiona przez Raczyńskiego obietnicą autobiografii ekscentrycznego geniusza, wblefowała w nietotę przyjaźń nieistniejącą, Ewa. A ja nie chciałam, nie chciałam!

Brakuje jej tchu, tętno karnawałowe podnosi do głowy gorączkę, drżą mięśnie fałgujące, pąguje lico i ramiona nagie, w glissach jaskrawych, symetrycznych z tą sukienką czerwoną, dziarną. Gdyby nie jawny absurd, wtłumaczyłaby teraz w sobie podniecenie tropikalne, erotyczną malarię zmysłów. Ale nie. Tylko krztusi się niemo. Co, co, co to jest, co to jest?

A Ewa, w odruchu drapieżcy dogryzającego krwawiącą już ofiarę, odpowiada znowu:

– Ty, ty, ty! Twoja dusza na fotelu ginekologicznym.

Gustaw Rak-Raczyński kłania się lekko

(w domu wariatów albo w Luwrze)

sinusoidując długim pachmodium kościanym, niczym dyrygent batutą, po całej swej orkiestrze otuchowej, tych bliższych i dalszych arche-komchartach, by spuentować pasaż symfoniczny na czole wardze piersi biodrze Laury. Rozlegają się nieśmiało oklaski, pstrykają aparaty fotograficzne i pachograficzne, ktoś się śmieje, ktoś wzdycha w uniesieniu, szepcze w podziwie. Imago-manago promienieje, jakby wstępował na witraże. Panie, panowie, *Front wewnątrzny!* Laura straciła dech; zawisła bezwładnie na gałęzi chitryny, z uniesioną łabędzio głową przełykając długi, gęsty orgazm. R o z p o z n a l i j ą p o m a t r y k a c h .

Nie nie nie nieprawda nie chciała nie ona nie nie ta postać ciemna z podziemi jej snów nie ona nietna nie nie nie.

Zarazem pewna, że nigdy więcej nie doświadczy tak totalnego prześwietlenia, takiej redukcji zmysłowej, przeanielenia w eteryczny byt rozpięty w całości na zmysłach cudzych – wyniesiona na ołtarze zwierząt i bogów – podźwignięta do granicy rozkoszy ponadcielesnej.

W zaciągniętych łzami oczach Laury faluje obraz RR opadającego przed nią teatralnie na kolano, pochylającego głowę-kamień węgielny

(cokolwiek stworzyłem – głask twego pachu w moim mózgu)

unoszącego ku Laurze rękę w geście, na który nie ma ona nazwy. Nie ma nazw, imion, słowników, nie ma języka, milczenie zapomnianych bóstw zakleiło jej usta. Co, co, co to jest? Przetłumacz!

Dzisiaj czy cztery tysiące lat temu. Dla mnie nie ma żadnej różnicy. Przetłumaczę!

Nie przetłumaczy. To, co wzięło ją w posiadanie, to nie jest strach, to nie jest gniew, nie wstyd i nie pożądanie, nie nienawiść i nie miłość, żadna z emocji danych człowiekowi. Pozna, przeżyje, ale nie wysłowi, nie ma takich słów, nie ma takich uczuć.

Którymi teraz pachuje obscenicznie przed tłumem nieznanym.

A oni tuszą ją

Masywnie, rzeźniczo, bezlitośnie, na wylot

– Racza.

– Tylko przy tobie, Lau.

Ledwo stoi. Zaraz upadnie. Stratują ją. Zjedzą. Nie uchylą się, nie odbije. Ledwo stoi, uwieszona na pustej chitrynie, plama purpury na tle czarnego monumentu przebrzmiałego przemysłu. Krwawiąc obficie nieistniejącymi namiętnościami, spływając snami nie do wypowiedzenia.

Podczas gdy lewiatan miasta wydaje ostatnie jęki przeciągłe.

Koneserzy sztuki opowiadają sobie na głos Laure, jakby była kolejną martwą instalacją, totemem drewna i stali.

Kobieta w prostej, białej sukni podaje jej kieliszek czerwonego wina.

Ciepła dłoń Laury spoczywa na pochylonej głowie artysty.

Stary Zagreus złowił zwierzę i stworzył człowieka. Nietota wydała na świat – co?

Ma na języku, ma na krańcu duszy, i nigdy nie wypowie. Lecz – sprzed tysięcy lat czy z nieujarzmionej wyobraźni Raczyńskiego, prawdziwe lub fałszywe, nowe lub stare – zanim upadnie, zanim ją spożyją – skądkolwiek pochodzi, czymkolwiek jest – uzmysłowiła to sobie.

październik – grudzień 2011

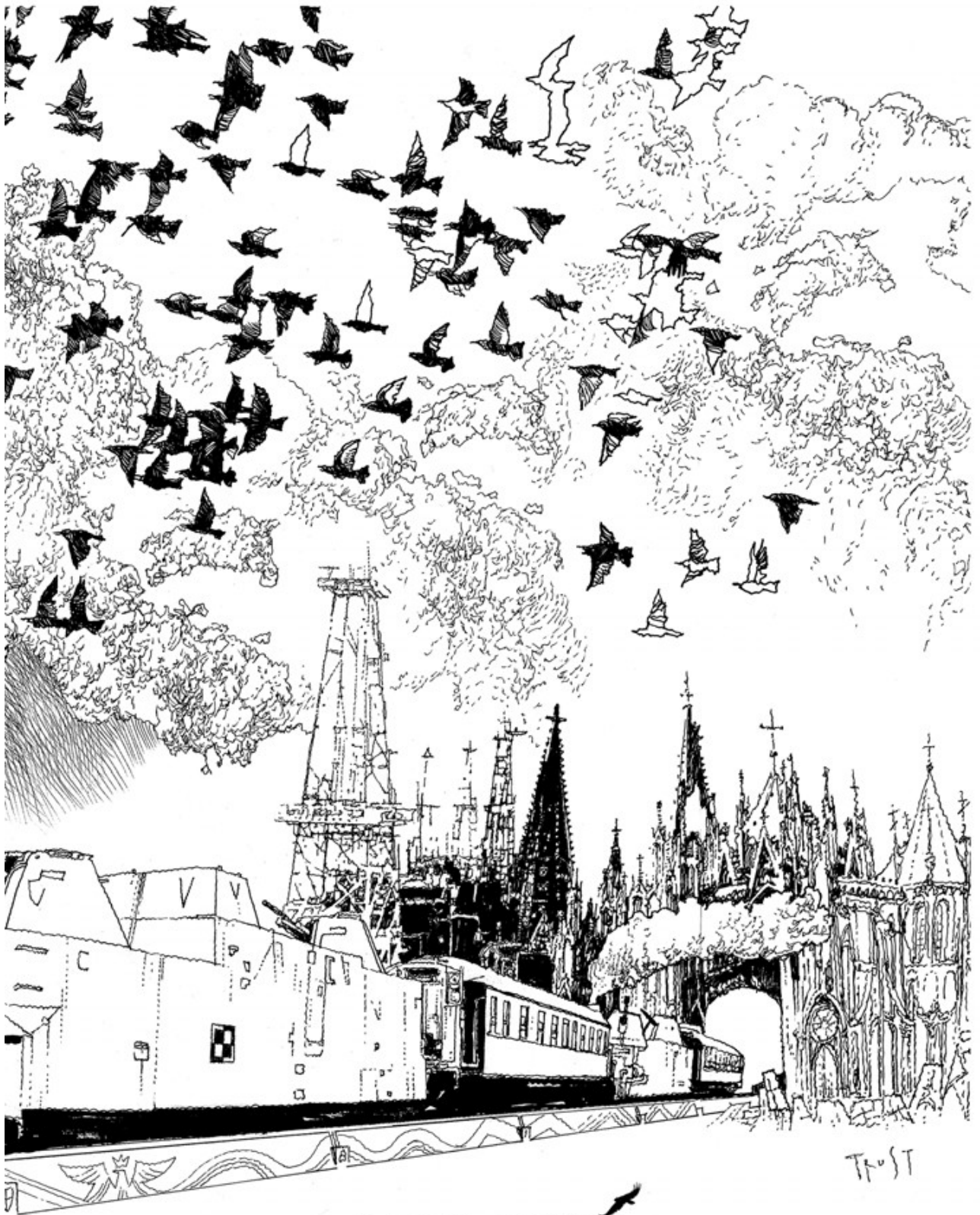
W opowiadaniu wykorzystałem fragmenty (odpowiednio przekształcone) *Sonetu CXLI* Szekspira (przekłady Stanisława Barańczaka i Macieja Słomczyńskiego), wiersza *Grudzień 1903* Konstandinosa Kawafisa (przekład Zygmunta Kubiaka), *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta (przekład Tadeusza Boya-Żeleńskiego) oraz *O zmysłach i ich przedmiotach* Arystotelesa (przekład Pawła Siwka).

TOMASZ

KOŁODZIEJCZAK



CZERWONA
M G Ł A



**CZERWONA
MŁA**



Tomasz Kołodziejczak

Czerwona mgła

*Fragment opowiadania pochodzi ze zbioru
Czerwona mgła, wydane go przez Fabrykę Słów*

Mgła wpełzła do miasta w przedświcie, na granicy nocy i dnia, snu i jawy, mroku i blasku. Zaczęło się zabijanie.

Ucieczka. Chłód noża. Przerwany sen. Wrzask.

Ten krzyk był najgorszy. Niósł się miastem, przepływał między domami, z ulicy na ulicę. Wyprzedzał Mgłę, gasząc eteralne latarnie strażnicze i wpuszczając magię do kolejnych zaułków. A tam budzili się urka-hai, mnożąc klątwę i niosąc śmierć.

Tak silnego ataku nikt się nie spodziewał. Miasto co prawda leżało na granicy świata – wcięte w Mgłę jak skalna ostroga w wody oceanu – ostatnia duża osada na linii kolejowej, niczym tętница pompująca na wschód elfią moc i ludzką władzę. Jednak wydawało się dostatecznie zabezpieczone, by nagłe przybory wrogiej magii nie okazywały się śmiertelnymi pułapkami. A jednak – ochronne światła zgasły, grający nieustannie kościelny kurant zamilkł, a oczy świętych wymalowanych na ścianach cerkwi pokryła czarna sadza. Miasto otworzyło się na Mgłę.

Urcy rodzili się wszędzie. W domowych sypialniach, w nocnych barach, w koszarach. Mordowali i krzyczeli.

Kiedy Mgła odpłynęła, gdy już żołnierze dopadli wszystkich przekształconych, a elfia magia i ludzkie modły na powrót postawiły wokół miasta ochronne bariery, zaczęto liczyć straty. Czternaście zwłok urków, którym śmierć przywróciła ludzki wygląd. Dwadzieścia trzy ciała ich ofiar. Najczęściej małżonków i dzieci, zabitych we śnie. Lub przyjaciół, z którymi przekształceni akurat spędzali czas. I żołnierzy stojących na tym samym posterunku. Nie doliczono się też sześciu innych osób, najpewniej urków, którzy umknęli w step razem z wycofującą się Mgłą.

Zarządzono pościg, ale nie przyniósł rezultatów.

Dowódca garnizonu poprosił o przeniesienie do jednostek liniowych, by odkupić swą winę, choć przecież nie popełnił żadnego zaniechania. Nie da się bowiem utrzymywać elfickich tarcz cały czas nad miastem, nawet zbudowanym przy linii kolejowej. Nawet gdy przekuwanymi mithrilem szynami nieustannie płynie do niego z Polski moc, a po torach suną kolejne eszelony z wojskiem i sprzętem.

Każdy, kto tu zamieszkał, wiedział, co ryzykuje.

I będzie ryzykował nadal, bo polskie i białoruskie flagi łopoczą już za linią Dniepru.

1.

Wielce Szanowny Panie!

Nazywam się Aleksandra Maciejewicka. Proszę wybaczyć, że zwracam się do Pana bezpośrednio, ale jest Pan moją ostatnią nadzieją. List ten przesyłam za pośrednictwem poczty wojskowej, bo nikt nie chciał mi podać pańskiego adresu, co oczywiście rozumiem. Wierzę, że do Pana dotrze i że zechce Pan mi pomóc. Bardzo Pana proszę. Jeśli nie udzieli mi Pan pomocy, trafię do obozu dla uchodźców, a mój mąż zostanie uznany za zdrajcę. Przepraszam, że ten list jest taki długi, ale chcę Panu jak najlepiej objaśnić moją sytuację.

Proszę też wybaczyć mi, jeśli gdzieś w tym liście znajdzie Pan błędy lub niejasne

sformułowania. Od wielu dni żyję w stanie wielkiego napięcia i czasami sama mam kłopot z uporządkowaniem myśli.

Zapewniam jednak Pana, że jestem uczciwym człowiekiem i ufam, że Pan mi uwierzy. Od tego zależy przyszłość i moja, i Alberta.

Na wstępie wyjaśnię może, kim jestem. Maciejewicka to nazwisko po moim mężu, w sprawie którego do Pana piszę. Panińskiego nazwiska nie znam, bo jestem sierotą ze stepu. Takich jak ja nazywają tu znaleźciami lub bezprizornymi. Znalaziono mnie trzynastcie lat temu, ale nie sądzę, aby ta liczba miała coś wspólnego z moim obecnym nieszczęściem. Prawdopodobnie miałam wtedy dziewięć lat, moi rodzice nie żyli, znalaziono mnie w małej wolnej wiosce. Wychowywałam się w sierocińcu w Słucku, mam obywatelstwo polskie i białoruskie. Pięć lat temu wyszłam za mąż za Alberta, również znaleźciami, a potem przenieśliśmy się do Nowego Bobrujska. Jak Pan pewnie wie, władze starają się systematycznie zasiedlać Wschodnie Kresy, a że nie ma do tego zbyt wielu chętnych z Polski i Wolnej Białorusi, mieszka tu sporo nas, bezprizornych. Budujemy tu naszą przyszłość i narażamy się na ataki tej przekłetej Mgły. Nie mamy łatwo, bo choć dużo przecierpeliśmy i staramy się żyć jak najlepiej, wielu patrzy na nas, jak to się u was w Polsce mówi, spode łba. Uważa się nas za element niepewny, co jest bardzo niesprawiedliwe. Rzeczywiście zdarzają się tu różne przykre przypadki, ale przecież nie tylko znaleźcom. Mój mąż na przykład jest leśniczym, opiekuje się brzoźami, a sady się ich wzdłuż Transsybu coraz więcej. Mój Albert to dobry człowiek, wspaniały mąż i bardzo pracowity, oddany swojemu zajęciu strażnik drzew. Jest starszy ode mnie o osiem lat, a do białoruskiej kolonii trafił już jako niemowlę. Świetnie mówi po polsku i uważa się za Polaka, chociaż też ma dwa paszporty.

Piszę to wszystko, żeby miał Pan jasny obraz naszej sytuacji i naszego życia w Nowym Bobrujsku, które to miasto razem z mężem uznaliśmy za nasz dom. Tu miały się urodzić nasze dzieci, wierzyliśmy, że kolej będzie budowana dalej, a miasteczko będzie bezpieczniejsze, gdy granica znów przesunie się na wschód.

Ale przydarzyło się nam tutaj wielkie nieszczęście, przekłeta Mgła zaatakowała, dużo ludzi zginęło, a niektórzy zaginęli. Wśród nich mój ukochany Albert.

Ludzie mówią tu różne rzeczy i krzywo na mnie patrzą teraz. Mówią, że mój mąż zamienił się w urka-hai i że uciekł razem z Mgłą, i że teraz będzie napadał na ludzi, i robił te wszystkie straszne rzeczy. Bo był znaleźcem i urkowy jad wciąż krąży w jego żyłach. Tak tu wierzą ludzie, choć przecież władze nie potwierdzają tych teorii. Pobito nawet dwóch bezprizornych, a władze szykują już listy do obozów internowania, ponoć dla naszego bezpieczeństwa. Ale ja wiem, że będą nas tam badać, ale to wielka niesprawiedliwość, bo przecież jesteśmy takimi samymi obywatelami jak wszyscy. Spędziłam już całe lata w sierocińcu, nie chcę wracać do takiego miejsca, nie chcę zostawiać naszego domu, bo Albert wróci, na pewno wróci, a już na pewno nie zostanie urką. Jest zbyt dobrym człowiekiem, dobrym patriotą, dawnym żołnierzem Korpusu Ochrony Pogranicza, odznaczonym orderami, i świetnym leśniczym.

Być może dziwi się Pan, dlaczego piszę ten list właśnie do Pana. Otóż dowódcą mojego Alberta w wojsku był kapitan Śledzieniewski, który służył z Panem w kilku misjach. I on dużo o Panu opowiadał, a mój Albert był Panem bardzo zachwycony. Popatrz, Olu, mówił mi zawsze, ten Kajetan Kłobudzki też jest znaleźcem, tak jak my, też przywieziono go ze złych ziem, tylko że na Zachodnich Kresach. I popatrz teraz, co osiągnął, jak go wszyscy szanują. To i nas muszą. Tak powtarzał mój Albert, a ja piszę do Pana z prośbą, żeby Pan mi pomógł. Żeby Pan zrobił coś, żeby mojego Alberta odszukać. Żeby pokazać, że on nie jest urką, bo nie wierzę, że był w nim jad. Żeby i ja mogła normalnie żyć w naszym wspólnym mieszkaniu, bo i we mnie zła krew nie płynie.

Bardzo Pana proszę o pomoc, Szanowny Panie Kłobudzki.

Z poważaniem, Aleksandra Maciejewicka, Nowy Bobrujsk.

Pociąg dojeżdżał już do Nowego Bobrujska, gdy Kajetan po raz kolejny wyjął list z kieszeni munduru. Wąska szara koperta, oklejona znaczkami poczty polskiej i białoruskiej, opieczetowana sygnetami kilku instancji wojskowej cenzury, zaadresowana jedynie: SZANOWNY PAN KAJTAN KŁOBUDZKI, GEOGRAF WJSKA POLSKIEGO, BOHATER, WOJSKO POLSKIE,

WARSZAWA.

Litery na kopercie, tak jak i w całym liście, wykaligrafowano pięknym, równym pismem o obłych literach, licznych zawijasach, starannie stawianych przecinkach i kropkach. Tak kreślili litery ludzie ze Wschodu, późno uczący się pisać, dla których korespondowanie oznaczało coś więcej niż tylko sposób przekazywania informacji i opinii. Którzy wiedzieli, że tu, w kraju pogranicznym, przesiąkniętym obcą magią, jedynie dokładne wykonywanie każdej czynności może przynieść dobry efekt. Że szybkość jest mniej istotna od pieczołowitości, a prosta efektywność długoterminowo przynosi gorsze skutki niż staranna, wręcz celebrowana procedura.

W świecie nasyconym magią obcych Planów moc tkwi w samych słowach, ale i w sposobie ich wypowiedziania, w stylu kreślenia liter, w papierze, na jakim się je stawia. O atramencie nie wspominając. Szczególnie tu, na Wschodzie, gdzie wroga moc atakowała inaczej, podstępniej, wolniej.

Koperta była szara, papier z recyklingu, bez wątpienia specjalnie preparowany dla mieszkańców kresowych miast z makulatury uzyskanej głównie z mielenia jakichś państwowych dokumentów – kart wyborczych, podręczników historii, certyfikatów. Każda cząstka materii z Polski wzmacniała ten świat, ku któremu jechał teraz Kajetan – bezkresnych przestworzy Mgły, stepu i tajgi, tajemnych przestrzeni, w głębi których rodziły się gargantuiczne monstra, hordy morderców i pływy nieznanych taumaturgii. I gdzie wciąż napotymano na miasta i wsie zamieszkałe przez zwykłych ludzi, od dziesięcioleci odciętych od reszty świata – znaleźców.

Nadany niemal pół roku temu list długo krążył pomiędzy biurkami kolejnych wojskowych instytucji, potem przeleżał blisko kwartał, czekając na powrót Kajetana z Zony, tak że do geografa dotarł ledwie przed trzema tygodniami.

Weryfikacja danych przebiegła gładko. Co prawda Śledzieniewski nie żył, pośmiertnie awansowany za obronę Szczecina do stopnia majora, ale Kajetan bez problemu uzyskał dane dotyczące małżeństwa Maciejewickich, zgodne z treścią listu.

Oczywiście nie mógł im pomoc w żaden sposób ani nie zamierzał się tą sprawą zajmować. Szczerze powiedziawszy, w ogóle nie wybierał się na Wschód, bo i po co.

Jednak kiedy w poprzednim miesiącu przyszły rozkazy z kancelarii hetmana koronnego nakazujące mu odbycie praktyki na Wschodnich Kresach, wyciągnął z szuflady list i zabrał ze sobą.

Pociąg zaczął hamować. Wizg i drzenie poszło po składzie, aż zatelepała się butelka z wodą leżąca na półce ponad Kajetanem. Poderwał się, złapał ją w ostatniej chwili. Współpasazerowie nie zwrócili jednak na to żadnej uwagi, bo i oni podnosili się już po swoje pakunki. Zaczął się zwykły w ciasnym przedziale taniec wyginania, ustępowania i przepuszczania, okraszony posapywaniem, wymrukiwanymi „przepraszamiproszębardzo”, a czasem i cięższym słowem, gdy zbyt gwałtownie ściągana z półeczki waliza walnęła kogoś w kolano.

Korytarzem wagonu przechodzili podróżni, najczęściej umundurowani wojskowi z małymi skórzanymi sakwożaczami, jedna tylko rodzina z dzieckiem, cywile wyglądający na urzędników, a nawet dwóch elfów. Wreszcie i przedział Kajetana zaczął się opróżniać i geograf wyszedł, kroczył za kroczeniem podążając ku wyjściu. Po chwili przypomniał sobie jednak, że ratując butelkę, porzucił na siedzeniu list, zawrócił więc, wzbudzając solidne korytarzowe zamieszanie. Z niejakim trudem dotarł do swojego przedziału, na powrót włożył kopertę do kieszeni, z rezygnacją konstatując, że aby ponownie wyjść na korytarz, musi poczekać, aż wszyscy opuszczą wagon. Poczul złość, a zaraz potem te nerwy sam sobie wypomniał – minutowe opóźnienie nie powinno wszak wpływać na emocje kogoś takiego

jak on. A jednak – w absurdalny sposób – wpływało.

Ogonek pasażerów przesunął się powoli, wciąż ich przybywało, jakby w przedziałach siedziało trzy razy tyle ludzi, ile było miejsc. W końcu jednak te, zdawałoby się, niewyczerpane zasoby poważnych mężczyzn oraz nie mniej groźnie wyglądających kobiet wyczerpały się i Kajetan ponownie wy dostał się na korytarz. Pięć minut później stał na peronie w Nowym Bobrujsku.

Było ciemno i chłodno.

Za plecami pojękiwał pociąg, pomalowana na biało-czerwono pancerna torpeda, aerodynamiczny pocisk, ozdobiony jednak zupełnie nieopływowymi, kutymi w brązie i stali

ochronnymi runami, z umieszczonymi na dachach wagonów pasażerskich gniazdami miotaczy kadabrowych. Szpaki ochronne właśnie obsiadały go zmęczone długim i szybkim lotem, gwizdały coś do siebie, plotąc z głosów ochronne sieci.

Przed sobą miał Kajetan jeszcze dwa perony, słabo oświetlone i niemal zupełnie puste, jeśli nie liczyć patroli wojskowych i kolejarzy. Jeszcze dalej rysowały się w mroku nocy niewyraźne kontury stacji, a za nią innych budynków dworcowych i wreszcie samego miasta.

Peron pustoszał szybko.

Kajetan głęboko wciągnął do płuc chłodne powietrze. Znał ten zapach – smród smaru, dymu, ludzkiego potu, ale i wypalonych nanokadabr, taki sam na wszystkich dworcach Polski. Ale tu było w powietrzu coś jeszcze, coś, czego nie pamiętał z Poznania, Szczecina, czy granicznych stacji Zachodnich Kresów. Nowa dla niego woń, oznaczająca wejście do świata, którego nie znał, do magii, którą nie władał, wiedzy, której nie miał.

– Porucznik Kłobudzki? – Wysoki, szczupły, wręcz chudy mężczyzna w długim płaszczu i filcowym kapeluszu, z okrągłymi okularami w drucianych oprawkach na nosie stanął przed zamyślonym Kajetanem. W ręku trzymał wielki parasol.

– Tak, to ja, witam. – Geograf dostrzegł, że przez szkła okularów przebiegł zielonożłoty błysk, a oprawki zamigotały nanokadabrowym wyładowaniem.

– Waław Szerniawski, wydział aklimatyzacji.

– Przed chwilą skanował mnie pan – bardziej stwierdził, niż spytał Kajetan.

– Sprawdzam fagi. Pan jest z Zachodu, poruczniku, pan jest nimi przesycony, nawet jeśli przeszedł pan dezynfekcję w Warszawie. U nas to może prowadzić do różnych dziwnych skutków. Mam pana zaprowadzić na kwaterę i zrobić pierwsze badania.

– Dziękuję za troskę – uśmiechnął się Kajetan.

– Robimy to dla pańskiego, ale i naszego bezpieczeństwa. To jest inna ziemia, to jest Wschód, panie poruczniku. – Waław Szerniawski otworzył swój bardzo duży parasol, stanął blisko Kajetana. – Nie sądzę, aby coś panu realnie groziło, ale na wszelki wypadek proszę się trzymać blisko mnie.

Kiedy geograf znalazł się pod osłoną, poczuł nagle, że otacza go gęsta zawiesina ochronnych nanokadabr, oddzielająca od świata zewnętrznego. Rączka parasola w dłoni Szerniawskiego wiała się niczym żywe stworzenie. Teraz dopiero Kajetan zobaczył, że czarna czasza pokryta jest wypisanymi cyrylicą zakłęciami.

Kajetan Kłobudzki, królewski geograf, przed którym Zachodnie Kresy niewiele miały tajemnic, przybył na Wschód.

I zapewne wielu rzeczy będzie się tu musiał nauczyć od nowa.

2.

Następnego dnia pozwolono mu się wyspać. Na szczęście.

Nocne badania skończyły się grubo po północy, a zanim ostatecznie trafił do łóżka w swojej kwaterze, minęła jeszcze godzina. Na szczęście nie musiał odprawiać żadnych ochronnych rytuałów, bo dostał pokój gościnny w wojskowym hotelu tuż obok budynku dowództwa garnizonu. W pełni ekranowany, zabezpieczony potężnymi pieczęciami, postawiony na tonach przywiezionej z Mińska ziemi, doskonale izolującej fundamenty od miejscowego podłoża.

Zwalił się do łóżka naprawdę zmęczony kilkunastogodzinną podróżą z Warszawy i niezbędnymi, ale nużącymi procedurami powitalnymi. Okręcił się kołdrą, zamknął oczy i niemal natychmiast usnął.

Śnił mu się ojciec. Nie Robert, nie. Pierwszy, prawdziwy, zapamiętany w strzępach dziecięcych wspomnień. Małomówny, mrukliwy wręcz, często niemiły dla matki, ale starający się zapewnić rodzinie bezpieczeństwo i przetrwanie, na ile w ogóle człowiek mógł mieć jakikolwiek wpływ na swój los pod władzą balrogów.

We śnie ojciec stał na odległym wzgórzu, tak daleko, że ledwie można było dostrzec jego zgarbioną sylwetkę, a jednak Kajetan nie miał najmniejszej wątpliwości, kogo ogląda. Mężczyzna

mówił powoli, wypowiadał jednak nie pełne zdania, lecz ciągi przypadkowych słów, z których tylko nieliczne w ogóle docierały do syna.

Kiedy obudził się rano, nie potrafił powtórzyć żadnego z nich, ale nie czuł się tym zaniepokojony.

Zegarek pokazał wpół do dziesiątej. Kajetan chwilę jeszcze powiercił się na łóżku, potem odrzucił koldrę, zaczął się rozciągać. Wreszcie zrzucił podkoszulek i zsunął się na podłogę – wąskie przejście między łóżkiem a ścianą pokoju. Sto pompek, kwadrans mantrowania, następna setka. Spocony poszedł pod prysznic, z pordzewiałego sitka wąskim strumieniem płynęła letnia woda. Znalazł kostkę szarego mydła, już używaną, starannie owiniętą kawałkiem przezroczystej folii. Szorując dokładnie skórę, przyglądał się dziwnym kafelkom, zupełnie niepasującym do surowego garnizonowego budynku – na różowych płytkach pucułowate amorki grały na różnych instrumentach, gitarze, flecie, lirze. Albo budowniczym coś się nieźle pochrzało w zamówieniach, albo po prostu brali towar z przeceny.

Kiedy Kajetan wsparty o ścianę pochylił się i pozwolił ciurkającej wodzie opłukać plecy, poczuł pod palcami delikatne mrowienie. Jeden z aniołków lekko drgnął, a jego błękitne oczka oznaczone kropką farby na moment ściemniały w granat. A więc to jednak nie dzieło szalonego intendenta o niewykształconym organie dobrego gustu. Barokowe cherubiny, wzorowane zapewne na malowidłach z jakiegoś kościoła, który stał na tych ziemiach w czasach potęgi Rzeczypospolitej, potrafiły bronić i atakować. A kabina prysznicowa ze strumieniem wody i ochronnymi figurkami na ścianach była zapewne kapsułą bezpieczeństwa na wypadek nagłego ataku wrogich emanacji.

– Sprytne... – mruknął, wypłukując mydło z oczu. Zakręcił wodę, wytarł się starannie szorstkim ręcznikiem, przy okazji oglądając bliznę na prawym ramieniu. Rana goiła się dobrze, a fagowy rumień już niemal zniknął. Tak że wczoraj w nocy w czasie badań tomizmograf nawet nie zapiszczał.

Założył mundurowe spodnie i bluzę, do której dopiął oznaczenia szarży. Prawo do nieregulaminowego stroju przysługiwało geografom, gdy przekraczali granice Polski. Zamierzał z tego przywileju korzystać także tu, w mieście.

Minutę przed dziesiątą opuścił kwaterę i wąskimi schodami wyszedł na dwór. Zapowiadał się słoneczny dzień. Wrzesień tego roku był naprawdę piękny.

Wacław Szerniawski już na niego czekał.

– Dzień dobry. – Wyciągnął rękę na powitanie. Teraz dopiero Kajetan mógł mu się przyjrzeć dokładnie. Mężczyzna ubrany był po cywilnemu, w szary, nienowy już garnitur, biała niegdyś koszula wypłowiała, ale była starannie wyprasowana, tak jak i kanty spodni. Buty robiły wrażenie – wyglansowane czarne lakierki o numerze co najmniej pięćdziesiąt, z brązowymi sznurówkami, na grubej podeszwie. Jasnożółty krawat, za krotki i wąski, nie pasował do reszty stroju. Szerniawski był wyższy od Kajetana, szczupły, wręcz chudy. Mocno zarysowana, dokładnie wygolona szczęka, wąski, garbaty nos i przycięte na jeża włosy nieosłaniające uszu tylko podkreślały ostrość rysów, nadając mężczyźnie niesympatyczny, drapieżny wygląd. Za to oczy pod krzaczastymi brwiami lśniły żywo, a zmarszczki w ich kąciakach sugerowały, że Szerniawski ma jednak poczucie humoru i śmieje się często. Mógł mieć równie dobrze trzydzieści pięć, jak i pięćdziesiąt pięć lat.

– Witam. – Kajetan uściśnął wąską, kościstą dłoń. – Parasol cały czas potrzebny?

– Nie sądzę, żebyśmy go musieli używać, pańskie testy wyszły bardzo dobrze, ale ostrożności tu nigdy dosyć. Jest pan głodny?

– Niespecjalnie, ale powinienem coś zjeść. I muszę napić się kawy.

– Jasne, pójdziemy coś przekąsić. O ile dobrze zrozumiałem informacje, które otrzymałem, w garnizonie musi się pan zameldować dopiero jutro, a dziś ma pan dzień wolny na rozejrzenie się po mieście?

– Tak, ale mogę to zrobić sam, nie chcę zużywać pańskiego... – zaczął Kajetan, ale Szerniawski przerwał mu gestem dłoni.

– Nie zużywa pan. To moja praca. Jestem adaptatorem. To co, może chodźmy? – Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył wzdłuż budynku. Mu sieli go obejść, by dotrzeć do bramy.

Kajetan poszedł za przewodnikiem.

– Badamy, jak magia Czarnych reaguje z Mgłą, ze Wschodem generalnie – kontynuował Szerniawski. – Więc nie marnuje pan mojego czasu, powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Stanowi pan dla mnie bezcenne źródło informacji. Nieczęsto trafi a tu do mnie ktoś, kto tak głęboko zapuścił się w Zonę. A z pańskich kartotek wynika, że penetrował pan też i Gehennę.

– Tak, kilkakrotnie. Pan jest żołnierzem?

– Ach, zapomniałem powiedzieć. Jestem.

Doszli do bramy garnizonu, stalowo-mithrilowych wrót w trzymetrowej wysokości murze otaczającym wojskowe budynki. Mur pokrywało graffiti – cherubiny podobne do tych z łazienki, tylko jeszcze tłustsze i bardziej różowe. Kilkanaście metrów obok dwóch młodych

hłopaków sprejowało właśnie na ścianie kolejnego pucułowatego blondaska ze złotą trąbką w dłoniach.

– Śliczne, prawda – uśmiechnął się Szerniawski i jego twarz na moment przybrała sympatyczny, wręcz miły wyraz. – Barok. Nie wiemy, dlaczego to działa tu najlepiej.

– Przez świat sławny, mój Polaku, dla wolności jedyńaku... – mruknął Kajetan.

– No, no, jestem pod wrażeniem. Cytaty z księdza Baki znajdzie tu pan w wielu miejscach.

– A stopień?

– Stopień?... Ach tak, no wie pan, jestem rezerwistą, pułkownik.

Pułkownik w stanie spoczynku. Dziwak. Naukowiec. Musiał mieć za sobą ciekawą przeszłość.

– Walczyłem w kampanii lwowskiej. Po kolana wlałem do Dniestru.

– Jestem pod wrażeniem, pułkowniku.

– Może przejdziemy na ty? Mamy spędzić ze sobą ten dzień, będzie prościej.

– Z przyjemnością.

Jeszcze raz uściśnieli sobie dłonie, co wywołało nieco dziwne spojrzenie strażnika, który właśnie do nich podszedł, by sprawdzić dokumenty. Obejrzał plastikowe ajdi obu mężczyzn, życzył miłego dnia, mruknął coś do mikrofonu przymocowanego do hełmu i po chwili brama zaczęła się rozsuwać. Wyszli na rozgrzewaną właśnie porannym słońcem ulicę Nowego Bobrujska.

Mimo że Kajetan wielokrotnie oglądał zdjęcia i nagrania z najdalej na wschód wysuniętego miasta wolnego świata, jednak widok nieco go zaskoczył.

Zbyt dużo czasu spędzał na zachodnich rubieżach Rzeczypospolitej, w umysł wkodowany miał obraz wojskowej surowości, bunkrów i umocnień, niskich, chronionych na różne sposoby budynków, składnic i koszar, czasem wręcz prymitywnych ziemianek, stajni, smrodu paliwa, końskiego łajna i wilgotnej ziemi.

Tymczasem trafił do zwykłego miasta, które – a przynajmniej jego centrum – wyglądało na spokojniejsze i bardziej zadbane niż niejeden ośrodek w wolnej Polsce.

Wyasfaltowane ulice przecinały się pod kątem prostym. Trzypiętrowe neosecesyjne kamienice sprawiały wrażenie zbudowanych sto pięćdziesiąt, a nie pięć lat temu. Pasy wypielegnowanej trawy biegły wzdłuż jezdnii, środkiem prowadziły szyny tramwajowe, po których regularnie przetaczały się błękitne, kanciaste pojazdy. Partery domów zajęte były przez liczne sklepy i restauracje, co w sumie nie powinno dziwić w mieście garnizonowym, gdzie liczba stałych mieszkańców stanowiła mniej niż trzydzieści procent wszystkich ludzi. Żołnierze polskich wojsk ekspedycyjnych, regularna armia białoruska, oddziały wolnych Rosjan, urzędnicy państwowi w delegacji, naukowcy z wysuniętych placówek badawczych, duchowni pięciu kościołów i muzułmańskiej gminy, budowniczy kolei transsyberyjskiej, sami kolejarze – wszyscy oni stacjonowali tu czasowo. Żołnierze i inżynierowie gotowi w każdej chwili do przemieszczenia dalej na wschód, wzdłuż budowanej trasy, do tymczasowych obozowisk i warownych obozów. Sotdaci bałachowcy wyruszający w Mgłę i step, by walczyć z hordami i ratować swych wciąż żyjących rodaków. I znaleźni, szykujący się do podróży na zachód, na badania, leczenie i naukę, które pozwolą im wrócić do ludzkiego, cywilizowanego świata.

Kajetan spodziewał się więc ruchu, wojskowych kolumn, wymęczonych zwiadowców w mundurach kilku armii, obdartych uciekinierów ze wschodu czy śpieszących za swoimi sprawami urzędasów.

Tymczasem większość mijanych dotąd ludzi stanowiły kobiety z dziećmi. Był też facet w

słomkowym kapeluszu, i drugi, prowadzący przed sobą zdalnie sterowany samochodzik, starszek karmiący gołębie. Kilku młodzieńców w szkolnych mundurkach przebiegło obok, pokrzykując do siebie mało parlamentarnym językiem. Wąsacz w granatowym fartuchu zamiatał chodnik.

W perspektywie ponad dachami domów pięły się ku niebu bobrujskie potężne stacje radiowe, zapewniające łączność z posterunkami na wschodzie, za doliną Dniepru.

Mężczyźni dłuższy czas szli w milczeniu. Skręcili kilkakrotnie, przecięli szeroką, dwupasmową ulicę i wtedy Kajetan poczuł jednak, że burczy mu w brzuchu. Szerniawski jakby odczytał jego myśli.

– To już niedaleko. Mogliśmy podjechać tramwajem, ale chciałem pokazać panu... znaczy tobie... miasto.

– Jakiś bar?

– Nie, idziemy do mnie do domu. Moja żona czeka ze śniadaniem.

– Nie chcę przeszkadzać.

– To będzie przyjemność, dla niej i dla mnie. Nieczęsto mamy gości.

– Mieszkanie służbowe?

– Pytasz, czy jesteśmy tu w delegacji? Nie, to nasz dom. Tu się osiedliliśmy.

– Skąd pochodzisz?

– Z Warszawy.

– Więc czemu...

– O tu! – Szerniawski wyraźnie zmienił temat. Niezbyt prawidłowo przecięli skrzyżowanie, przechodząc środkiem, z rogu na róg chodnika. – Tamten dom...

Ale Kajetan nie poszedł za nim. Zatrzymał się. Przed sobą miał kamienicę nieróżniącą się zasadniczo od pozostałych. Tyle że częściowo wybite i zasłonięte kawałkami desek szyby w oknach oraz wielka niebieska plama farby na ścianie szpeciły zadbany budynek.

Szerniawski zawrócił.

– Czy to jest... – Kajetan zawiesił głos.

– Tak. Mgła dopęła wtedy aż dotąd, spójrz na klosze lamp na tej ulicy. Są nowe, bo stare popękały. O ile dobrze pamiętam, przemienił się tu tylko jeden człowiek. Zabił sąsiadów, chyba trzech.

– A znak?

– On nie mieszkał sam, wynajmował wspólnie mieszkanie z dwoma innymi, też bezprizornymi. Tyle że ich wtedy tu akurat nie było, zdaje się, to pracownicy kolei. Wrócili po wszystkim. No i zaczęło się. Wybite okna. Obrażliwe malunki na ścianach. Groźby.

– Złapano sprawców?

– Nie wiem. Ale to pewnie jakieś głupie dzieciaki. Być może ci chłopcy, których widzieliśmy wcześniej na ulicy. Ludzie po prostu się boją. Tu nigdy nie było bezpiecznie, ale urków na ulicach nie mieliśmy, odkąd istnieje miasto. Wiesz, że po incydencie nie odnaleziono wszystkich zaginionych?

– Pewnie odeszli z Mgłą.

– Być może, być może. Ale musisz wiedzieć, że od tamtej nocy z Nowego Bobrujska wciąż znikają ludzie. Niektórzy sądzą, że teraz czają się w ciemności, że krążą wokół miasta, że tylko czekają na następną falę. Chodźmy.

Żona Szerniawskiego okazała się miłą i całkiem atrakcyjną kobietą około czterdziestki, o pełnej figurze, długich, wciąż kruczoczarnych włosach i łagodnej twarzy, z której dało się wyczytać i dojrzałą mądrość, i wesołe usposobienie, i ukrytą za tym wszystkim melancholię. Śniadanie było pyszne.

Przez całe spotkanie Kajetan nie odważył się spytać, kim jest młody, szczupły, jasnowłosy chłopak w mundurze wojskowym, którego zdjęcia w prostych drewnianych ramkach stały na kilku półkach w salonie gospodarzy. A oni nic nie mówili.

Po śniadaniu Anna – tak miała na imię pani Szerniawska – wstała od stołu i zaczęła zbierać naczynia. Mąż poderwał się z krzesła, by jej pomóc, ale pogładziła go tylko po ramieniu i z uśmiechem powiedziała:

- Ja to zrobię. Pogadajcie sobie sami. Kawy?
- Poproszę. – Kajetan przesunął swój talerz ku kobiecie.
- Ale jeśli to kłopot, to może...
- Żaden kłopot. Upiekłam też ciasto. Wacek mówi, że dobre.
- Pierwsza klasa.

Szerniawski pomimo protestów żony zaniósł do kuchni kilka naczyń. Ona zgrnęła resztę i wyszła z pokoju, zamykając drzwi.

– Ciasno tu trochę – mruknął gospodarz. – Mamy dwa pokoje, małą kuchnię i mikroskopijną łazienkę. A właśnie, jeśli chciałbyś skorzystać...

– Każdą łazienkę, gdzie z kranu leci coś ciepłego, postrzegam jako dobro luksusowe – uśmiechnął się Kajetan. – W dzieciństwie, jak się pewnie domyślasz, chodziłem do drewnianej wygódki, a teraz całymi tygodniami myję się zimną wodą – zawiesił głos. – O ile w ogóle się myję. Jak wracam z moich wypraw, to najlepsi przyjaciele nie zbliżają się do mnie bez absolutnie niezbędnej potrzeby.

– Tu też nie było lekko na początku. Teraz standard jest wyższy. Dwanaście metrów kwadratowych na osobę...

Zawiesił głos, a Kajetan nie zapytał, dlaczego Szerniawscy mieszkają we dwoje w mieszkaniu o powierzchni większej niż przydziałowy metraż. Zresztą w tej chwili do pokoju ponownie weszła Anna, wnosząc tacę z ciastem i dwoma kubkami parującymi gorzkim zapachem kawy zbożowej.

– Szarlotka, specjalność zakładu. – Rozstawiła naczynia na blacie, zabrała tacę i ponownie wyszła, nie czekając specjalnie na podziękowania ze strony mężczyzn.

– Niełatwo tu o dobre jabłka – mruknął Szerniawski, pakując do ust wielki kawał ciasta, a Kajetan poszedł w jego ślady.

– Pycha – powiedział, pieczołowicie nagniatając widelcem ostatnie okruszki z talerzyka tak, by nic się nie zmarnowało. Dopiero po chwili zorientował się, że gospodarz przygląda mu się bacznie, z lekkim uśmiechem, ni to życzliwości, ni pobłażliwej dezaprobaty. – Hm, przepraszam, ale... ale nie jestem człowiekiem zbyt dobrze wychowanym. I mam zwyczaj dojadania wszystkiego do końca.

– Często byłeś głodny?

– W domu, tamtym domu, często. Nie, nie zdarzało się, żebyśmy w ogóle nie jedli. Ale bywało, że tygodniami żywiłiśmy się chlebem, ziemniakami i zupą z trawy. Jajko było luksusem. Nie umieraliśmy z głodu, ale cały czas czułem ssanie w żołądku. W Warszawie po raz pierwszy zobaczyłem obiad z trzech dań i spróbowałem czekolady.

– Tu nie kupisz czekolady. Nawet kartkowe przydziały często nie dochodzą.

– Krakeny odcięły Gdynię, ale już chyba po problemie. Konwoje znowu zaczęły przyplływać.

– Jesteśmy na skraju, na samiułtkim końcu łańcucha. Zanim dowiozą do nas to, co przyplływa statkami, mija i kwartał. Są ważniejsze rzeczy do transportowania niż czekolada. – Wacław przechylił kubek, dopijając kawę do końca.

– Nie dla dzieci – uśmiechnął się Kajetan.

– Tak, masz rację... – Szerniawski wstał z krzesła, podszedł do regału, sięgnął po leżącą na półce kartonową teczkę. – No dobrze, co chcesz wiedzieć, jestem tu...

Przerwał mu dzwonek telefonu dobiegający zza zamkniętych drzwi. Ruszył w ich stronę, ale sygnał umilkł, słyhać było jedynie stłumiony głos Anny. Po chwili kobieta weszła do pokoju.

– Wacław, do ciebie. Chyba pilne. – Spojrzała na Kajetana przepraszająco, jakby to była jej wina, że zabiera mu rozmówcę.

– Masz, pooglądaj papiery. – Gospodarz położył teczkę na stole, sam wyszedł. Podniósł słuchawkę, do uszu Kajetana dobiegały tylko jego krótkie odpowiedzi.

– Tak. Jest tu. Nie skończyliśmy. Rozumiem. Myślę, że bez problemu. Tak, przekażę. Jasne, już się zbieram.

Wrócił po chwili.

– Niestety. Mamy alarm. Zarejestrowano horde, idzie z północnego wschodu. Nic wielkiego, o ile to nie forpoczta.

Żona spojrzała na niego pytająco.

– Nie, nie ruszam w teren, ale muszę natychmiast zjawić się w sztabie. – Spojrzał na gościa. – Taki to właśnie mam tu stan spoczynku.

Kajetan wstał, ale Szerniawski powstrzymał go ruchem dłoni.

– Nie. Nie jesteś tam potrzebny. Komendantura oczekuje, że najpierw zostaniesz wprowadzony w sprawę, że przekażę ci wszystkie niezbędne informacje. Gdyby okazało się, że cię potrzebują, dadzą znać.

– Co mam robić?

– Zostań tutaj. Obejrzyj te dokumenty. Wszystkie. Ania zrobi ci jeszcze kawy. A potem idź na spacer. Podobno chcesz się tu z kimś spotkać?

– Tak, ale to nic niezbędnego.

– Aha... Jak uważasz. Ania objaśni ci drogę, przy okazji zwiedzisz miasto. Takie ruchy hord mamy tu i dwa razy w miesiącu. Jesteśmy bezpieczni – zwrócił się do żony. – W mieście stanęli właśnie bałachowcy,

mamy sporo wojska. Nic się nie dzieje.

Znów odwrócił się do Kajetana, wyciągnął dłoń.

– No, muszę już ruszać. Sądzę, że po południu będziemy mogli kontynuować. Zbierz pytania. Ustal, co chcesz zwiedzić w mieście.

Wyszedł. Kajetan usłyszał jeszcze cmoknięcie i ciche: „Będzie dobrze”. Szczęknął zamek, trzasnęły drzwi, a po chwili Anna wsunęła się do pokoju.

– Mam pracę, nie pogniewasz się, że nie posiedzę z tobą?

– Proszę nie robić sobie kłopotu, ale... – zawiesił głos.

– Więcej szarlotki? – spytała, a na jej twarzy po raz pierwszy tego dnia zagościła niezmacona niczym radość.

– Hm... tak... jeśli można. – Próbował odwzajemnić uśmiech, ale chyba słabo mu to wyszło. Dziwnie się czuł w towarzystwie tej starszej przeciw kobiecie. Z jednej strony przypominała mu przybraną ciotkę, siostrę Roberta, matkującą opiekunkę. Z drugiej – była jeszcze niestara, całkiem atrakcyjna...

– Moj syn też ją bardzo lubił – powiedziała nagle i w jednej chwili spoważniała. – Nie przypominasz go w ogóle, ale cieszę się, że nas odwiedziłeś.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, wyszła, by wrócić po chwili z kolejnym kubkiem kawy i wielką porcją ciasta. A potem znów zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

Kajetan usiadł wygodnie przy stole, chapnął kawałek szarlotki, siorbnął gorącą jeszcze kawę i otworzył teczkę.

W środku znalazł plik papierów, zdjęć, wycinków prasowych, dokumentów, ułożonych bez większego ładu i składu. Wszystkie dotyczyły jednak Mgły, Transsybu, urka-hai i innych aspektów Wschodnich Kresów wolnego świata. Zapewne Szerniawski chciał je wykorzystać w swojej opowieści. Na dnie teczki leżała jeszcze koperta opieczetowana wysokimi klauzulami sekretności i mocnymi zabezpieczeniami magicznymi. Ale skoro Szerniawski wydał takie polecenie, Kajetan uznał, że może odtajnić dokument. Wypowiedział stosowne formuły, przełamał zamki, wyjął papiery. Był to wyciąg informacji z rozprawy dikszynerologicznej napisanej przez elfa, Moorena'An, który dokonał najgłębszych badań porównawczych kadabrowej magii elfów i fagowych mocy balrogów wobec zjawisk niesionych i wytwarzanych przez Mgłę. Rozprawa stanowiła podstawę edukacji ludzi pracujących na obu frontach i oczywiście Kajetan już dawno się z nią zapoznał. Na tych kartkach jednak przedstawiono tylko wycinek podręcznika, za to pogłębiony o najnowsze informacje, bez wątplenia tajne.

Wsadził papiery z powrotem do koperty i ponownie opieczetował sekretnością.

Dojadł resztkę ciasta, a korzystając z tego, że jest sam, bardzo niekulturalnie zgarnął palcem okruszki i wsypał sobie do ust.

Rozłożył dokumenty na stole. Spojrzał na zegar, dochodziła dwunasta. Uznał, że da sobie czas do czternastej, a potem ruszy na miasto. Pomyślał, że może jednak odwiedzi Aleksandrę Maciejewicką.

Na wierzchu pliku papieru leżała mapa. Kartka w formacie a3, zadrukowana czarno-biało, obejmowała wschodni obszar Rzeczypospolitej, Wielkie Księstwo Bałtów i Finów, Księstwo Białorusi i Królestwo Zachodniej Ukrainy, i znajdujący się na wschód od nich, nie w pełni opanowany obszar Żywierusi. Mapy używano wielokrotnie, zaznaczając zmiany terytorialne, zakładane osady i nowe odcinki linii kolejowej. Posługiwano się przy tym różnymi kolorami flamastrów i długopisów, ołówkami, ale też gumką i korektorem. Zamazano też niechlujnie niektóre wcześniejsze napisy. Lewy górny róg mapy był naddarty, prawy dolny zalany herbata, a środek zdobiły brunatne smugi, zapewne zaschniętej krwi. Nowy Bobrujsk znajdował się niemal na prawym marginesie mapy. Wiodła do niego z północnego zachodu czarna gruba kreska, przecinająca wcześniej kropki oznaczające Mińsk i Wilno. Do Mińska tory biegingy też z Polski, przez Brześć. Nowy Bobrujsk stanowił ostatnie na wschodzie duże miasto, tu tory rozdzielały się. Jedna odnoga skręcała na południe, przez Mozyrz do Kijowa. Druga linia, stanowiąca prawdziwy początek Transsybu, szła prosto na wschód, omijając dołem Mohylewskie Wypalenisko. Wraz z krotką linią homelską tworzyły deltę kolejowej rzeki, którą na wschód płynęła magia, ludzie i towary. Wzdłuż torów, niczym na brzegach Nilu, pleniło się życie – powstawały osady i miasta, warowne obozy, mniejsze odgałęzienia kolejowe, których sieć wyznaczała realną granicę kontrolowanego przez aliantów terytorium. Nowy Bobrujsk, leżący zresztą niemal dziesięć kilometrów na zachód od ruin zniszczonego w czasie Zaćmienia dawnego miasta, trzymał straż nad całą białoruską niziną, do której dostępu nie bronił już wyschły przed dekadami Dniepr.

Na wschód od miasta, jakieś trzydzieści kilometrów, nieznany kartograf delikatnymi pociągnięciami miękkiego ołówka wykreślił granicę Mgły, a czerwoną kredką wyrysował małe strzałki pokazujące stałe prądy i sezonowe wichury, którymi uderzała na zachód. Naprzeciw nich biegła z Nowego Bobrujska tylko jedna kreska. Błękitna, niemal idealnie prosta, cienka, jakby chciała się ukryć przed naporem czerwonych znaków.

Linię kolejową już dziś, dla nadania jej właściwej mocy, nazywano transsyberyjską. Nowy odcinek tłoczący na wschód ludzką moc prosto z Warszawy, Grodna, Lwowa, Wilna. Z potężnych stacji eteralnych budowanych w tych miastach przez elfy. Z kości poległych bałachowców, których grzebano w nasypie kolejowym, z modlitw popów prowadzących torami procesje wiernych. Siegał daleko, omijał ruiny starego Bobrujska, by upiorne cmentarzysko nie osłabiło jego siły. Szedł nad doliną wyschłego Dniepru wielkim wiaduktem, bo wierzono, że rzeka kiedyś się odrodzi. Wbijał się w Mgłę na niemal pięćdziesiąt kilometrów. Wzdłuż torów sadzono brzozy. Budowano cerkwie i kościoły. Stawiano małe warownie, wokół których zaczęły już powstawać pograniczne osady. Kiedyś jedna z nich urośnie i zastąpi Nowy Bobrujsk jako graniczne kresowe miasto. A kolej będzie budowana dalej, wciąż dalej, by odpędzać Mgłę, by przyciągać ocalałych ludzi, by w końcu za dwadzieścia, trzydzieści lat dotrzeć do wybrzeży Pacyfiku, ponownie otwierając do życia syberyjskie równiny i dając nowy kanał łączności z Ameryką.

Lecz przede wszystkim Transsyb powinien się stać bazą wypadową dla wypraw mających odkryć i zakorkować azjatyckie Przebicie, punkt otwierający przejścia do Planu, z którego na Ziemię wylała się Mgła.

Po torach wciąż przemieszczały się pancerne pociągi. Linia patrolowana była nieustająco przez 5. Dywizję Strzelców Polskich i kawalerzystów Ochotniczej Sprzymierzonej Armii, składającej się głównie z Rosjan i Białorusinów. Warowne forty zapewniały ochronę przed atakami Mgły i urkowych watah. Żołnierze chronili budowniczych linii kolejowej, same tory i osadników, którzy odważyli się zamieszkać na tej przeklętej ziemi.

Niektórzy Rosjanie wierzyli, że gdy pierwszy pociąg dojedzie do granic Moskwy, Mgła zniknie z całego kraju, a oni na powrót przejmą nad nim władanie. A przecież i samo określenie Mgła nie było precyzyjne. Rdzawa zaćma pokrywała północną Azję, czasem lokalnie tężejąc i zmieniając się w nieprzebytą tajgę dziwnych pokręconych drzew, pod których korony nie dało się zajrzeć ani za pomocą techniki, ani magii. Czasem przekształcała się w step – ocean traw wysokich na wiele

metrów – równie nieprzebyty i nieosiągalny. Bywała też pustynią z kłębiącymi się tumanami czerwonego pyłu. Była płaską równiną przykrytą kożuchem padającego nie wiadomo skąd śniegu o płatkach w kolorze krwi. Przyjmowała i inne postacie, na dzień, na miesiąc, na rok, czasem na obszarze kilku kilometrów kwadratowych, czasem na ćwierci kontynentu.

W tej zawierusze, w tym tajemnym lesie, trwało dziwne życie, przewalały się hordy urka-hai i wciąż można było natrafić na grupy wolnych ludzi, każdego dnia walczących o przetrwanie. Znajdowano nawet kilkutysięczne obwarowane wsie i miasteczka, których z jakichś powodów magia Mgły nie zaatakowała ostatecznie, nie zamieniła ludzi w monstra. Takich właśnie znalezieńców, zwanych też bezprizornymi, odsyłano do Polski na badania i rekonwalescencję.

Nigdy nie zarejestrowano fagowej magii balrogów w obszarze Mgły, a elfia moc działała tu tylko w ograniczonym zakresie, wymagała specjalnych konwerterów i translatorów. Polskie wojsko nie miało zbyt wielu własnych specjalistów, nie istniała formacja geografów Wschodu. Tę funkcję wypełniały armie sojusznicze. Służyli w nich ocalańcy z Ukrainy i Białorusi, a także potomkowie emigrantów, którzy w czasie Zaćmienia

zbiegli do Polski. Wspierała to wojsko diaspora z Ameryki, a moc płynęła też z Καυούριος Αγία Σοφία, kopii starożytnej świątyni stojącej na dwuwyspie Bosforu.

Pomiędzy papierami geograf znalazł jeszcze jedną opieczętowaną kopertę. Znajdowały się na niej tylko dwa słowa wykaligrafowane pięknie zielonym atramentem: „Kajetan Kłobudzki”. Opieczętowana wysokimi kodami tajności otworzyła się w dłoniach mężczyzny niczym kielich wielkiego kwiatu. Wrażenie tym mocniejsze, że papier, z którego ją wykonano, był dziwnie gruby i mięsisty, jak płatki żywej rośliny. Gdy Kajetan go ucisnął, poczuł pod opuszkami palców delikatne pulsowanie cienkich żyłek. Koperta była pusta.

Oto magia Wschodu. Nic, co zostało zapisane, wydrukowane, powiedziane na głos, nie jest bezpieczne. Co ma pozostać ukryte, musi płynąć z umysłu do umysłu albo być przekazywane na spotkaniach w wąskim gronie, maksymalnie trzyosobowym. Inaczej odciska się w rzeczywistości, zapisuje we Mgle, wraca w okrzykach bojowych urka-hai, nadpływa w snach, mnoży się samo w umysłach innych ludzi. Na Wschodzie żadna informacja nie jest bezpieczna. Więc choć Nowego Bobrujska strzegła potężna magia obronna, a w garnizonie

stosowano dodatkowe procedury zabezpieczające, nie bez kozery Szerniawski przyprowadził Kajetana do swojego mieszkania, a nie do sztabu. Dom, własny dom to najbezpieczniejsze miejsce do otwartych rozmów. Może jeszcze bania, wrząca łaźnia, gdzie nagość staje się znakiem nieuzbrojenia, a magia wody dodatkowo chroni przed szpiclami. Nie ludźmi, nie urka-hai, nie wysłannikami balrogów. Szpiegiem jest tu cały świat, Mgła, tajga, step, które przekształcają się nieustannie, ślą swoje hordy, opętują umysły, by zagarnąć przestrzeń i ludzi. Podczas gdy na Zachodzie Czarni ludzie zabijają, zamieniają w niewolników, żywią się ich strachem i bólem, to tutaj Mgła przekształca ofiary, wciąga, wypełnia, tak że same stają się jej żywymi emanacjami. Jęgrzy to nieszczęśni więźniowie balrogów, trwale przekształceni

w bezlitosne sługi, w gruncie rzeczy – w bezwolne narzędzia. Urka-hai to wolne istoty. Nikt im nie grozi bólem i śmiercią, mogą żyć, jak chcą. Ale – przesyleni Mgłą – zawsze dokonują wyborów przeciw swym dawnym braciom.

Tyle przekazano Kajetanowi na szkoleniach, w których brał udział przed przyjazdem na Wschód. Miał nadzieję, że na miejscu lepiej zrozumie całą tę sytuację.

Organiczna koperta zaczęła się zwijać w dłoniach Kajetana i po chwili przybrała kształt półokrągłej opaski na włosy. Imię i nazwisko geografą wciąż było widoczne.

Po chwili wahania założył ją na głowę. Przyłgnęła do ciała, przyjemnie chłodząc czoło. Odruchowo zamknął oczy.

Transmisja składała się z krótkiego filmu. Towarzyszył mu komentarz wypowiedziany mocnym, zdecydowanym głosem, w którym jednak pobrzmiwała miękka śpiewność, kresowe zaciągnięcie.

– Poruczniku Kłobudzki, witamy na Wschodzie. Mówi kapitan Krassodujski. Mam nadzieję, że trochę rozejrzał się pan po mieście i że pułkownik Szerniawski wprowadził już pana nieco w nasze życie tutaj – słowem tym towarzyszył obraz ulic Nowego Bobrujska zarejestrowany najpewniej kamerą wiezioną samochodem. Nazwisko kapitana nic Kajetanowi nie mówiło, ale skoro nie podał

swojego przydziału, zapewne był człowiekiem służb, więc i nazwisko mogło być fałszywe. – Mamy świadomość, że przybył pan tutaj na szkolenie i po nowe doświadczenia, które uzupełnią pańskie, proszę mi wierzyć, imponujące i szanowane także przez nas kompetencje. Sądzymy, że wiele się pan może od nas nauczyć, ale i my chętnie skorzystalibyśmy z pańskich umiejętności i wiedzy. Mamy jasne dyspozycje, że nie powinien pan ryzykować wyprawy w głęboki step. Jednak sądzą, że nie byłoby źle, gdyby oprócz szkoleń wziął pan udział w pracach praktycznych. Być może dysponuje pan wiedzą, która pozwoli nam rozwiązać pewną zagadkę.

Obraz zmienił się. Teraz Kajetan znalazł się w szpitalu, w pomalowanym na biało pomieszczeniu, na którego środku stało łóżko. Na nim zaś, opleciony przewodami aparatury diagnostycznej i gumowymi rurkami podajników, leżał nieprzytomny człowiek.

– Szesnastego marca tego roku sierżant Maksym Kammerer szedł w pięcioosobowym patrolu wzdłuż torowiska Transsybu. Na trzydziestym kilometrze zostali ogarnięci przez cyklon Mgły. W zawierusze stracili orientację i nie zdołali się zakotwiczyć mimo bliskości torów. To się zdarza. Najprawdopodobniej sam cyklon przerzucił ich w inny punkt. Mgła znajdowała się wtedy w fazie stepu, mam nadzieję, że wie pan, o co chodzi. Nie jesteśmy w stanie dokładnie podać jego położenia, sądzymy, że było to nie więcej niż sto kilometrów od torowiska. Nasi żołnierze zdołali określić azymuty i ruszyli w powrotną drogę. Są zawodowcami, doceni pan ich postawę, nie wątpię. Tydzień później inny nasz patrol natknął się tylko na jednego z nich, właśnie sierżanta Kammerera, wycieńczonego, rannego i umierającego. Niósł nieśmiertelniki dwóch ze swoich kolegów. Miał złamaną rękę i żebra, dziury w piersi po nożach urków, ciętą ranę głowy. Jad Mgły wsączył się w jego krew. Ale wrócił. Nie udało nam się go uratować.

Obraz znów się zmienił. Kamera pokazywała krótkie migawki z wojskowej ceremonii pogrzebowej w cerkwi – popa, kobietę w czerni, nerwowo bujającą dziecięcy wózek, twarze żołnierzy w mundurach bałachowców.

– Kammerer nie opowiedział nam zbyt wiele, tylko na chwile odzyskiwał przytomność. Sondując jego pamięć, znaleźliśmy wiele wspomnień z marszu oddziału. Początkowo szło im dobrze, zazymutowali położenie, ruszyli w drogę powrotną. Jednak na ich trop wpadła wataha urkhai. Do pierwszej walki doszło już w kilka godzin po transferze, w mgłostepie. Chyba wtedy zginął pierwszy żołnierz. Patrol odparł atak, ale musiał zmienić trasę. Zaganiany ze wszystkich stron zaczął się oddalać od Transsybu. I wtedy tam, w stepie,

natknęli się na to.

Kajetan zobaczył nowy obraz – komputerową, wielozmysłową symulację, zbudowaną zapewne na strzępkach wspomnień zwiadowcy.

...step otaczał go ze wszystkich stron. Wysokie na cztery metry źdźbła trawy miały szerokość nawet i pół metra, a ich ostre krawędzie mogły przeciąć mundur i skórę żołnierza. Falowały powoli, poruszane komputerowym wiatrem, ale twórcom symulacji nie zależało na precyzji – każde źdźbło było takie samo, zginały się nienaturalnie, nie wydawały dźwięków i nie pachniały. Kamera, a za nią wzrok Kajetana, przejechała kawałek pomiędzy roślinami, by wychynąć na małą polankę. Tu z ziemi wyrastały trzy obłe kształty, bąble przypominające wielkie purchawki, albo raczej – betonowe kopuły bunkrów. Miały metr wysokości, ze dwa metry średnicy. Wirtualna kamera objechała je – z każdej strony wyglądały tak samo.

Za to trawa wokół bunkrów wyglądała inaczej niż zwykły mgłostep. Źdźbła opadły na ziemię, zmieniając się w cienkie, długie pnącza porośnięte krótkimi wypustkami. Wiły się i napinały, poruszane jakąś wewnętrzną energią.

– Wiemy, że obiekty te w dotyku przypominały kamień i że nie dały się rozwalić granatem – kontynuował Krassodujski. – Być może zresztą właśnie próby ich nadkruszenia ściągnęły chłopakom na kark urków. Trawa wokół bunkrów zmienia się w coś jakby... – zawahał się na chwilę – organiczny drut kolczasty. Ze wspomnień wycisnęliśmy też to. Proszę uważać.

Kajetan wzdygnął się. Symulacja uderzyła jego zmysł zapachu. W jednej chwili poczuł organiczny smród – krwi, potu, zgnilizny, ostrą woń moczu, a chyba i kału.

– O ile dobrze zrozumieliśmy wspomnienia, to właśnie odczuli nasi żołnierze, gdy zbliżyli się do tych obiektów. Kammerer mamrotał też coś o krzykach, ale nie mamy jasności w tej sprawie. Na

pewno natomiast bliskość bunkrów wpłynęła na psy. Mówiłem już, że patrol miał dwa psy? Świetne, tresowane w Polsce owczarki. Zapewne to one pomogły chłopcom znaleźć drogę powrotną. No więc co do psów mamy jasność. Zamieniły się w sobakkuby i zaatakowały ludzi. Zabiły jednego żołnierza, zanim udało się je zlikwidować. Oddział odskoczył więc od obiektów, słusznie przeczuwając, że to one wpłynęły na zwierzęta. Potem znów mieli styczność z urkami, no a potem Kammerer jakoś zdołał przejść kolejne kilometry. Był półprzytomny, majaczył, być może dlatego horda nie namierzyła go w stepie.

Powrócił obraz z miejskiej kamery podróżującej po Nowym Bobrujsku.

– Nie wiemy, czym są te obiekty. Nie wiemy dokładnie, gdzie się znajdują. Ale mogą stanowić nowe, nieznane zagrożenie. Proponuję panu, żeby w czasie pobytu u nas oprócz szkoleń poświęcił pan nieco czasu tej kwestii. Może pańskie doświadczenia z Zachodu dadzą nam jakieś wskazówki czy nowe interpretacje. Oczywiście proszę się nie czuć zobowiązanym do poświęcenia się wyłącznie tej sprawie. Wiem, że nie ma pan po temu ani czasu, ani możliwości. Ale liczymy na wszelkie pomysły i sugestie, nawet najbardziej szalone. Pułkownik Szerniawski jest wprowadzony w temat i on pozostaje pańskim kontaktem. Z góry dziękuję za pomoc.

Obraz zgasł wraz z ostatnim słowem Krassodujskiego. Opaska na czole Kajetana nagle straciła swoje ciepło i sprężystość, a kiedy odruchowo jej dotknął, rozkruszyła się na drobne fragmenty, niczym liść wyschniętej rośliny.

Starannie włożył do teczki wszystkie dokumenty. Dopił kawę, pożegnał się z gospodynią i ruszył na spacer.

Pobyt w Nowym Bobrujsku zapowiadał się jeszcze ciekawiej, niż sądził, gdy zgodził się na to szkolenie.

4.

Czekała na niego, gdy wrócił na kwaterę. Siedziała w fotelu naprzeciw wejścia, wpatrzona w stojącego za kontuarem recepcjonistę, jakby był Adoniszem, a nie tłustawym łysołem we flanelowej koszuli, najpewniej od wielu smutnych dekad nietkniętej żelazkiem. Kiedy Kajetan wszedł do holu, mężczyzna oderwał wzrok znad ipada z krzyżówką, po czym porozumiewawczo spojrzał na dziewczynę i kiwnął głową. Wstała z fotela powycieranego tak, jakby przesiadywano w nim co najmniej trzydzieści godzin na dobę od momentu, gdy wyjechał z zakładu tapicerskiego. Niepewnie ruszyła ku Kajetanowi.

Wysoka, szczupła, chuda wręcz, o nieco zbyt dużych oczach i lekko garbatym nosie. Białe włosy miała równo przycięte na wysokości ramion, długą grzywkę zaczesła na bok i zabezpieczyła błękitną spinką. Ubrana skromnie i praktycznie – w dżinsowe spodnie, luźny tiszert, na który narzuciła płócienną kurtkę, na nogach znoszone adidas na rzepy. Trudno by było nazwać ją atrakcyjną czy wręcz ładną, a jednak sposób, w jaki się poruszała i mówiła, sprawiał, że wielu mężczyzn musiało na nią patrzeć z zainteresowaniem.

Zresztą przyszła do Kajetana z powodu miłości.

– Pan Kłobudzki? – spytała, wyciągając jednocześnie rękę. Głos miała ciepły, lekko schrypnięty, ale geograf nie potrafił ocenić, czy to naturalna barwa, czy efekt przeziębienia. Mówiła o pół tonu ciszej, niż powinna, zważywszy na miarowy szum wentylatorów. I bardzo szybko. Nie czekając na odpowiedź, zaczęła wywód. – Przyszłam do pana porozmawiać o moim mężu, on potrzebuje pomocy, a ja już nie mam siły...

– Zaraz, chwileczkę. – Teraz dopiero podał jej rękę. Miała suchą dłoń o wąskich, kościstych palcach, nawet przy lekkim dotyku dało się wyczuć stawy i, nie miał wątpliwości, ślady dawnych złamań. Na jednym palcu brakowało paznokcia. – Z kim mam przyjemność?

– Aleksandra Maciejewicka, no tak, przepraszam, ale czekałam na pana tak długo i w ogóle...

– Proszę się uspokoić, pani Aleksandro, tak, jestem Kajetan Kłobudzki i dostałem pani list. Może usiądziemy? – Wskazał dłonią fotel, z którego przed chwilą wstała, a sam zajął miejsce na drugim, nie dość, że powycieranym, to upstrzonym jeszcze kilkoma wypalonymi papierosowymi dziurami i niepokojącą brunatną plamą na oparciu, na wysokości serca siedzącego człowieka. – Jak

się pani dostała do garnizonu? I skąd pani wie, że zostałem tu zakwaterowany? – ostatnie słowo wypowiedział tylko nieco wolniej i głośniejszym głosem niż poprzednie, ale to wystarczyło, by portier oderwał się od krzyżówki i zmierzył go spojrzeniem dobermana, który właśnie przestał cię lubić.

– Och, to Andrzej... to znaczy... – nagle zrozumiała, że nie powinna wiedzieć nie tylko, gdzie nocował Kajetan, ale być może i tego, że w ogóle pojawił się w Nowym Bobrujsku. – Proszę się nie denerwować, naprawdę, to chyba nic złego, to chyba nie jest tajna informacja...

– Jest – przerwał jej, a w pamięci zanotował imię informatora.

– W szczególności dla cywilów.

– To może ja jednak pójdę. – Poderwała się z fotela, a po jej twarzy przemknął grymas beznadziejnego smutku. Odruchowo odgarnęła włosy z czoła, poprawiła spinkę. Teraz dopiero dostrzegł ślad starego, niestaranego szwu, biegnący wzdłuż lewej skroni, niemal do ucha, którego małżowina była postrzępiona. Opanowała się jednak zaraz, spojrzała na mężczyznę z góry, już otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Nie ruszyła jednak ku wyjściu, tylko patrzyła, bez złości, raczej ze smutkiem.

„Wiedziałaś, wiedziałaś, że mi nie pomożesz, ty bohaterze, ty żołnierzu, ty Polaku” – zdawały się mówić jej zacisnięte wargi, wilgotne oczy i przykurczone bezwiednie palce.

Kajetan usłyszał za plecami gniewne, nieartykułowane pomrukiwanie portiera.

– Proszę usiąść. – Też wstał i teraz patrzył jej prosto w oczy. – Otrzymałem pani list i zamierzałem się z panią skontaktować. Ale pani, zdaje się, nie rozumie, czym są procedury wojskowe. To kwestia bezpieczeństwa.

– Rozumiem, proszę pana. Doskonale rozumiem. Moj mąż był żołnierzem. I wiem wszystko o bezpieczeństwie. I o niebezpieczeństwie.

– Chyba jednak nie. – Spróbował się uśmiechnąć, ale nie wyszło mu to najlepiej. Odwrócił się do flanelowego pomrukiwacza. – Czy mogę prosić o dwie herbaty?

– Ja nie... – zaprotestowała.

– Proszę nie odmawiać. Herbata uspokaja. Skoro już mnie pani tu znalazła, to proszę jeszcze raz opowiedzieć mi, o co chodzi. List od pani nie wyjaśniał wszystkiego. A skoro Jędrzej Śledzieniewski dobrze się o mnie wypowiadał, powinienem potwierdzić jego opinię.

– A co u niego słychać? – nagle zmieniła temat. – Mąż tyle o nim mówił...

– Nie żyje, pani Aleksandro. Zginął rok temu w czasie bitwy o deltę Odry.

– Och... – jęknęła cicho, choć Kajetan podejrzewał, że wielu ludzi, których znała lub o których słyszała, nie żyło. – Czy zdążył pan...

– Nie. Pani list przyszedł już po jego śmierci. Muszę pani powiedzieć szczerze, w ogóle nie pamiętałem Jędrzeja. Zapewne byliśmy razem w jakiejś akcji, ale nie jestem w stanie powiedzieć, czy zamieniłem z nim choć jedno słowo.

– No tak, oczywiście... Ale on tyle o panu mówił mojemu mężowi, jakbyście byli dobrymi przyjaciółmi, no, co najmniej.

– Niestety, nie potwierdzam tego. Po otrzymaniu listu od pani sprawdziłem jego dane i wtedy właśnie dowiedziałem się, że już nie żyje. I że przez kilka tygodni rzeczywiście stacjonowaliśmy w tej samej twierdzy na Zachodnich Kresach. Był dzielnym żołnierzem, odznaczonym *Virtuti Militari*. Skoro dobrze o mnie mówił, przynosi mi to honor. Ale to wszystko, pani Aleksandro. Teraz proszę mi dokładnie powiedzieć, kim pani jest i czego pani ode mnie oczekuje.

Opowiedziała. Zaczęła krótkimi, urywanymi zdaniami, jakby musiała sięgać po fakty do jakichś głębszych zasobów pamięci, otwierać neuronowe skrytki, w których zamknęła najdawniejsze wspomnienia – tak by pomimo tego, co przeszła, mogła żyć zwykłym życiem.

Urodziła się w Mgle. Z wczesnego dzieciństwa pamiętała słońce, płaskie pola, jakieś ciemne, wychudzone twarze. Pochodziła z wolnej wsi, jakich wiele jeszcze znajdowało się na obszarze dawnej Rosji. Wspominała kobietę, wiecznie zmęczoną i utyskującą, chyba matkę. Potem był ogień, jakieś wrzaski, martwe ciała pomiędzy domami. Śnieg. Ktoś ją stamtąd zabrał, przekazał komuś innemu, a ten jeszcze innemu. I dalej. Niektórzy byli dla niej dobrzy, inni źli. Niektórzy bili. Inni współczuli. Uciekano. Pomieszkiwano gdzieś przez rok czy dwa. Znowu uciekano. Pamiętała trupy kilku osób, do których już zdążyła się przyzwyczaić. Widziała, jak jej młodszy przybrany

braciszek zamienia się w urka i siekierą zarąbuje przybraną matkę. Widziała ludzi przybitych do ścian swych domów. I zjedzonych żywcem. Wpadła w łapy urków, nie była pewna, dwa czy trzy razy. Ale ocalała, choć rany goiły się długo, a połamane ręce źle pozrastały. Przez jakiś czas sama błakała się w stepie. Jadła robaki. Jadła dziwne rośliny. Sądzi, ale nie jest pewna, że raz zjadła mięso padłego zwierzęcia, a potem dopiero się zorientowała, że to zwłoki okaleczonego człowieka.

Step by ją zabił. Albo urcy. Albo popełniłaby samobójstwo. Tak, było już bardzo blisko...

I wtedy znalazła kolejną wolną wieś. Trafiła tam, jak sądzi, jako siedmioletnia dziewczynka. Dwa lata później na wioskę natknął się patrol polskiego wojska. Większość mieszkańców ruszyła na zachód, ku bezpieczeństwu i wolności. Nie wszyscy. Słyszała, że kilka lat potem, kiedy tory były już całkiem blisko, a wieś mogła się stać zarodkiem przykolejowej osady, nadeszli urcy i zamordowali wszystkich.

Wśród żołnierzy, którzy ją odnaleźli, był Albert. Miał wtedy siedemnaście lat, właśnie zaczął służbę. Sam był bezprizornym. Nie miał nikogo bliskiego. Zaopiekował się małą Olą. Kiedy trafiła do obozu filtracyjnego, odwiedzał ją w czasie każdej przepustki. Przywoził ubrania i słodycze.

Już jej nie brakowało słów, o nie, opowieść płynęła pełnymi zdaniami, rozrastała się w boczne wątki, budowała piętrowe dygresje, ale zawsze wracała do jednego słowa. Do imienia. Albert. Albert. Albert.

Kochała go. Najpierw tak jak mała dziewczynka kocha starszego brata. Obrońcę, pierwszego prawdziwego, jakiego miała w swym strasznym i samotnym życiu. Przewodnika w nowej rzeczywistości, której przecież musiała się tak szybko nauczyć.

Obozy filtracyjne zapewniają znaleźniom dach nad głową i przygotowują do życia w wolnym kraju. Leczą, uczą, wychowują. Ale przecież ich nazwa nie jest przypadkowa. Tu nowo przybyłych się też bada, poddaje różnorodnym testom i ciężkim próbom. Wyzwoliciele muszą jednak mieć pewność, że bezprizorni – żyjący przez lata w oparach Mgły, w cieniu tajgi, w poszumie stepu – są prawdziwymi ludźmi. Że jad nie krąży w ich żyłach, by objawić się w najmniej spodziewanym momencie i przemienić nosiciela w urka-hai.

Niektórzy spędzali w obozie rok, inni dekadę. Byli tacy, którzy znikali. Szeptano wtedy, że jad ich pożarł.

W obozie działał szpital, szkoła, był dom kultury, porządna biblioteka, kościoły kilku wyznań, nawet hala sportowa pod ogromnym balonem. Dorośli pracowali, dzieci uczyły się. Młodzież – najczęściej szkolono, by wcielić potem do jednostek frontowych.

Jednak obóz nie był przyjemnym miejscem. Otoczony trzema liniami drutu kolczastego pod napięciem, obwarowany strażniczymi wieżami, położony z dala od ludzkich siedzib. Pełnił funkcję stacji tranzytowej do przyszłego życia, ale swoim mieszkańcom wydawał się po prostu więzieniem. Państwo polskie starało się zapewnić znaleźniom pozory normalnego życia i dobrą opiekę. Ale państwo było biedne, wyniszczone wojną, obóz znajdował się na Wschodnich Kresach, w zasadzie już na terytorium Wolnej Białorusi, a bezprizorni pochodzili z jeszcze dalszego Wschodu, głównie terenów

dawnej Rosji. Pieniądzy na pomoc, na porządną żywność, nowe ubrania, książki zawsze brakowało.

– Mieszkaliśmy w salach po dziesięć, dwanaście dzieciaków. Same sieroty. Takie jak ja, trochę starsze, ale i maluchy trzyletnie. Ciągłe płakały. Ciągłe się bały. Małżeństwom przydzielano komunałki, jedna izba na rodzinę, trzy metry kwadratowe na człowieka. To było dobre, lepsze od wszystkiego w stepie. Ale nie pozwalało normalnie funkcjonować. Dochodziło do konfliktów, bojek. To jednak był tylko obóz.

Zamilkła na chwilę, jeszcze raz obracając w głowie obrazy z przeszłości. Włosy znów zsunęły się, odsłaniając dawne blizny, ale nie zauważyła tego. Kajetan czekał w milczeniu. Spotkał wcześniej kilku ludzi ze stepu, którzy przeszli filtrację, ale to byli żołnierze, twardzi, zdeterminowani, nieskorzy do wzruszeń. Jedno tylko wspominali ze zgrozą – rzadko, ale zdarzające się jednak przypadki, gdy w obozie dochodziło do przemiany. Pomimo zabezpieczeń, badań i rytuałów. Sąsiad, kolega, przyjaciel. Ciołkowskoidalny starzec z siwą brodą albo młody chwyt tuż przed zwolnieniem, albo Matuszka czwórki dzieci, tłusta i sympatyczna. Mgła, przez lata sącząca

się do ich żył, zmieniała krew w jad. Przekształcała ciała i dusze. I zaczęli mordować. W cerkwi, na hali ćwiczeń, w kołyszce.

– Albert odwiedzał mnie często, czasem nawet raz w miesiącu. Specjalnie starał się mieć przydziały w okolicy. Moj kochany Albert... Ola stawiała się Aleksandrą. Nauczyła się poprawnie mówić po rosyjsku, białorusku i polsku. Opanowała podstawy księgowości i szycia. Potrafiła korzystać z komputera. Fascynowała się siatkówką. Lubiła pływać. Chuda, koścista dziewczynka zaczęła dojrzewać i rok po roku przemieniła się w szczupłą młodą kobietę. Stwierdzono też ostatecznie, że jest czysta, że jad nie płynie w jej żyłach. Ale nie miała dokąd pójść, więc nadal mieszkała w obozie, zaczęła zarabiać jako opiekunka nowo przybyłych dzieci, praktykując jednocześnie w biurze, jako asystentka księgowego. W dniu, w którym skończyła siedemnaście lat, Albert przyjechał do obozu, taki przystojny, taki elegancki, taki kochany, i poprosił ją o rękę. I podarował to. Piękny, prawda?

Podsunała Kajetanowi pod nos szczupłą dłoń, by mógł dokładnie obejrzeć cieniutki złoty pierścionek z oczkiem z małego bursztynu.

Prawda, jak bardzo piękny?

Przeprowadzili się na Wschód, Albert skończył służbę i został leśniczym. Kochał drzewa, a one kochały jego. Sadził je i doglądał. Opiekował się blisko trzykilometrowym odcinkiem brzoźowego lasu, którym obsadzono tor kolei transsyberyjskiej.

– To odpowiedzialna praca, to zaszczyt. Drzewa chronią Transsyb. Odpędzają Mgłę i urków. Albert miał order, był leśniczym, walczył za Polskę, a teraz oni... oni... – głos jej się załamał. Zamilkła. Pokręciła głową z niedowierzaniem, jakby spierała się z kimś obecnym tylko w jej myślach.

– Co oni? Jacy oni?

– Ludzie. – Nagle odzyskała kontrolę nad sobą. Spojrzała prosto w oczy Kajetana. – Zwykli ludzie. Kiedy Mgła ogarnęła Bobrujsk, wielu przeurkowało. I wielu zniknęło. Moj Albert też. Nikt nie widział, żeby zrobił coś złego. Nikt nie widział, że się przekształca. Ale

zniknął. Więc ludzie mówią, że stał się zły i odszedł razem z Mgłą. Że wrócił na step. Bo, powiadają, znaleźienicy nigdy nie są czysti. To śpiochy, agenci w letargu, a ich prawdziwa natura może się objawić nawet po wielu latach. Jad zawsze krąży w ich żyłach. Obóz filtracyjny nie jest w stanie sprawdzić wszystkiego.

– To bzdura przecież – zachnął się Kajetan. – Bełkot. Wszelkie badania pokazują, że...

– A pan sam wierzy naukowcom bez zastrzeżeń? Po tym wszystkim, co pan widział tam, daleko. Po tym, co pan sam przeżył? Z miasta wciąż znikają ludzie, co miesiąc jedna, dwie osoby. Niektórzy oskarżają o to nas, bezprizornych. Szepeczą. Pokazują. Na moim domu pojawiają się napisy.

– Jakie napisy? – spytał, bo znowu zawiesiła głos.

– Straszne. Bardzo straszne, proszę pana. O mnie. O Albercie. A on był... on jest dobry. Moj Albert jest dobry. Jest kochany. Dlatego musi pan...

– Niczego nie muszę, pani Aleksandro – przerwał jej ostro. – Przyjechałem tu w określonym celu i po zrealizowaniu zadań wracam do Polski.

Nie odpowiedziała od razu. Najpierw poszukała wzrokiem gdzieś za plecami Kajetana, jakby oczekując wsparcia. I dostała je. Portier wylaźł zza kontuaru i posapując, podszedł do nich.

– Panie poruczniku – powiedział – panie poruczniku. Bardzo proszę. Bardzo prosimy. Pan może nam pomóc.

– Wam?

– Moj syn. Moj syn jest policjantem. Też zniknął. Nie mamy pojęcia, gdzie on jest.

– Tym się powinny zająć lokalne władze, na pewno jest prowadzone śledztwo...

– Tak, jest, i daj Bóg, coś przyniesie.

– Ale pan, pan jest bohaterem. – Aleksandra zerwała się z fotela, przypadła do Kajetana, chwyciła go za dłonie. – Pan na pewno zdoła wyjaśnić tę sprawę! Odnaleźć mojego Alberta!

– I mojego Grzegorza. – Stary mężczyzna w zniszczonej flanelowej koszuli zaczął płakać.

– Ale dlaczego ja? Czemu sądzicie, że ja się tym zajmę?

– Bo i pan, panie poruczniku... – dziewczyna wciąż nie puszczała jego dłoni – bo pan nas lepiej rozumie. Pan wie, jak to jest. Pan też jest przecież znaleźcieniem.

5.

Oddziały BAN-u wychodziły z miasta. Pułk piechoty załadowany na kolumnę ciężarówek. Dwanaście czołgów, sanitarki, cysterny.

Helikoptery wystartowały wcześniej, pułk kawalerii też poszedł przodem.

Kolumnę osłaniało kilkudziesięciu jeźdźców, najlepszych i najbardziej doświadczonych żołnierzy Białoruskiej Armii Narodowej. W mundurach polskiego kroju, jednak z lokalnymi dystynkcjami, metalową Pogonią na czapkach w miejscu orzełka i biało-czerwono-białą flagą na rękawach. Niektórzy nosili czarne oficerki, inni sztyblety i sztylpy, jedni i drudzy wyglansowali buty tak, że można się w nich było przejrzeć. Zadbali też o konie, budionnowskie kasztany, łagodne i wytrzymałe, gotowe nieść swojego jeźdźca w wir bitwy i grozę. Wierzchowce były wyszczotkowane, w ich ogony i grzywy powplatano ochronne sploty, naczółki pokryto maleńkimi wizerunkami świętych. Buty i konie były czyste.

„Bez dobrego konia i dobrych butów nie ujdiesz ze stepu” – mawiali żołnierze. „Bez konia i butów nie wrócisz do matki i ojczyzny”.

O siebie samych i mundury dbali już mniej. I widać było na pierwszy rzut oka, że nie mają na to czasu i sił. Z poprzedniej akcji wrócili ledwie przedwczoraj, po sześciu potyczkach, dwóch pogoniach i jednej rzezi. Przez niemal miesiąc żyli otoczeni przez Mgłę, słuchali jej dźwięków, natrafiali na zrodzone w stepie potwory, polowali na urków i sami byli obiektem łowów. Dotarli daleko na wschód, odnaleźli ruiny kilku wsi i dziwne miasto, gdzie wciąż żyli ludzie, przekształceni w bezmyślne zwierzęta magią Mgły. Ludzie czytający książki, pracujący w polu, rozmawiający. Niereagujący na nikogo i na nic z zewnątrz. Gdy któryś zdesperowany żołnierz, młodziak z ostatniego naboru, nie wytrzymał i zaczął jednego znaleźcienca bić do krwi, ten tylko padł na ziemię, ale nawet nie osłaniał się przed razami. Przyjmował je bez jęku nawet, błękitnymi oczami wpatrując się w swego prześladowcę. Wojsko wycofało się stamtąd, nie zabierając na zachód nikogo. Teraz pewnie pójdzie do dziwnego miasta podjazd z naukowcami i magami, by spróbowali opisać, co stało się z mieszkańcami, i może znaleźć jakąś receptę na ich chorobę.

Tym razem bałachowcy ruszali na północ, by osłonić torowisko i obozy budowniczych kolei przed dużymi hordami urków, z którymi chłopcy z Korpusu Ochrony Pogranicza sami mogli nie dać sobie rady. Więc choć właśnie wrócili z akcji, choć nie odpoczęli nawet, a wielu nie zdążyło wyprać mundurów – ruszali znowu.

Nie mieli żalu. Ponurzy brodaci mężczyźni, pewnie siedzący w siodłach, bez krzty nonszalancji czy chęci popisania się przed żegnającymi ich ludźmi. Nie dlatego przyszli pod sztandary z wyhaftowaną twarzą generała Stanisława Bułak-Bałachowicza, te sztandary, które zawsze wracają z pola bitwy, o ile wraca choć jeden żołnierz. Byli krwawym bractwem, towarzystwem, z którego wyjść można tylko na jeden sposób – umierając. Stanowili najgroźniejszą formację sprzymierzonych na północno-wschodnich kresach. Mścili się i ratowali.

Mieli kiedyś rodziny, które im odebrano. Magią, ostrzem, ogniem, złotym urkowym pazurem. Wielu widziało śmierć bliskich. Urcy kazali im patrzeć na to, co robią z małymi dziećmi, ciężarnymi kobietami, starcami.

Większość sama przeszła tortury. Niektórzy uciekali. Innych urka-hai puszczało wolno, wedle niezgłębionej przez nikogo logiki.

Znajdowano ich w stepie. Przychodzili ze wsi ogarniętych niespodziewanym atakiem Mgły. Odkrywano ich – w czasie zwycięskich kampanii – zakopanych żywcem, przybitych do drzew, przywiązanych do trupów swoich żon i córek.

Wielu naprawdę wariowało. Niektórzy urkowali. Zdarzali się samobójcy. Inni, i było ich bardzo dużo, nie chcieli mieć już nic wspólnego z wojną. Złamani i przerażeni żyli w obozach filtracyjnych albo w socjalnych koloniach w głębi Polski.

Niektórzy zostawali. Składali przysięgę na Orła i Pogoń, przechodzili szkolenie wojskowe i

dołączali do bałachowców, jak na cześć patrona nazywano żołnierzy tej armii straceńców. Przyjmowali nowe, dobre nazwiska, które dodatkowo chroniły przed przykazami Mgły. I walczyli.

Bez odpoczynku, bez wytchnienia, bez wahania. By zabijać wrogów. Pomagać sojusznicznym armiom. Ratować ludzi wciąż żyjących we Mgle.

6.

Kajetan na swoją pierwszą wyprawę w step ruszył dzień później.

Pod nogami snuła się czerwona Mgła. Delikatne pasma różu podnosiły się z ziemi, pełzły wzdłuż łodyg roślin, gromadziły się na liściach w pierzaste kłaczki. Z nich, niczym z nasion, pięły się półprzezroczyste nici, łączące się w coraz intensywniej purpurowe kłębki. Na

wysokości piersi człowieka Mgła stawała się jednorodną masą, dało się w niej dostrzec obiekty odległe najwyżej o kilka kroków. Dalej było już tylko czerwone kłębowisko.

Trzej jeźdźcy przesuwali się przez ten tuman niczym podmorscy podróżnicy zamknięci w przezroczystej kapsule okrętu. Prowadził elf. Jechał posepny, nieustająco mamrocząc – odmawiając jakąś swoją mantrę, a może modlitwę.

Niewiele elfów służyło na Wschodzie, a tylko nieliczni poddali się przetworzeniu. Goliuon'as'Marazi przybył tu dawno, jeszcze przed rzezią Orszy i utratą Dniepru. Ponoć spędził samotnie rok w stepie i odprawił rytuały, których szczegółów nie znał żaden człowiek. Za to słyszano o ich konsekwencjach. Bezpłodność, zakaz powrotu do rodzinnego Planu, nowe imię. Nie wiedziano tylko, który efekt był dla elfa najbardziej dotkliwy.

Ale to nie wszystko. Zmieniał się także wygląd. Goliuon'as'Marazi był tak wysoki jak pozostali przedstawiciele jego rasy, ale ważył dwa razy tyle co przeciętny elf. Smukłe ciało obrosło warstwy tłuszczu, pojawił się drugi podbródek, a piękne elfie oczy zapadły w dwie jamy nalanej twarzy. Wargi obrzmiały, a w kącikach wiecznie półotwartych ust perliła się ślina. Był łysy, jeśli nie liczyć trójkąta ciemnych włosów rosnących nad czołem, niczym znamię kłątwy. Nosił polski mundur z elfickimi dystynkcjami, lecz walczył mieczem, a nie szablą. Rzadko jednak wyciągał broń. Nikt, elf ni człowiek, nie ważył się żartować z jego tuszy czy łysiny. Dzikie potwory stepu wyczuwały, kim oraz czym się stał, i też omijały go z daleka. Czasem zbyt blisko podchodzili urycy ogarnięci gorączką albo pachani nadmiernie pewni swej siły. Głupi pachani.

Goliuon'as'Marazi był najpotężniejszą znaną istotą na wschód od Bugu. Władał elfią mocą, wchłonał i przetworzył Mgłę, jego rozdęte ciało konwertowało nanokadabrową magię na przykazy stepu. Zapłacił cenę, na jaką zdecydowało się tylko kilku jego towarzyszy. Elfy z Warszawy śpiewały o nich pieśni. Wykuwały ich imiona w salach Pałaców Kultury. Kłaniały się na dźwięk ich imion.

I nie zbliżały się do nich bardziej niż na trzy kroki. To cena.

Lecz kiedy elf Wschodu umierał lub ginął w walce, jego ciało odwożono do stolicy. Król brał je na ręce. Odmawiał modlitwy. Oddawał dni swego życia. Leczył. Z brzydoty, z dawnego bólu, ze zła, które wsączyło się do duszy elfa Wschodu w ciągu twardej, samotnej egzystencji. I z tęsknoty. Kiedy król kończył swe rytuały i modlitwy, ciało na powrót stawało się piękne, smukłe, jasne.

Potem palono je na stosie w warszawskiej Cytadeli, a prochy ponownie odwożono na Wschód i sypano w korzenie brzoź ochraniających transsyberyjską kolej.

Goliuon'as'Marazi nie zamierzał umierać. Jechał z przodu, wciąż mamrocząc słowa swej modlitwy. Czasem tylko zwalniał, a gdy wierzchowce się zrównywały, cichym głosem, szeptem niemal, objaśniał Kajetanowi różne aspekty otaczającej rzeczywistości.

– Pocę się tym. – Pomachał przed twarzą człowieka wielką dłonią o tłustych, serdelowatych palcach. Srebrne pierścienie bojowe wydawały się niemal wrośnięte w ciało, tak że rzeźbione w herby ziem Rzeczypospolitej bursztyny ledwie było widać. – Od dwudziestu lat nie miałem suchej skóry. Zobacz!

Podetknął Kajetanowi dłoń pod samą twarz, poruszał palcami. Geograf nie zawahał się ani chwili, złapał wielkie łapsko, ścisnął. Rzeczywiście, poczuł wilgoć, nieprzyjemną lepkość potu i choroby, ale jednocześnie głębiej, pod skórą, pod tłuszczem i mięśniami, odczytał puls krwi, mocne

uderzenia ciepła i życia, witalność i potęgę.

Przytrzymał dłoń elfa dłużej, niż to było potrzebne. Spojrzał z bliska w jego twarz.

Nie, nie przyzwyczaił się jeszcze do tego, że ta nalana gęba, obwisły podbródek, płaski, zapewne wielokrotnie łamany nos, małe oczka niemal bez rzęs i brwi, pomarszczone czoło, po którym spływają krople potu, należą do przedstawiciela pięknej rasy.

Goliuon'as'Marazi patrzył na Kajetana uważnie. Nie używał mocy, a jednak człowiek czuł, że przestrzeń wokół niego zamyka się, że zaraz coś z łatwością może wedrzeć się do jego mózgu i odczytać myśli. Nie puścił dłoni elfa i nie odwrócił wzroku.

– Byłem tam – powiedział powoli – gdzie nigdy nie byłeś i gdzie już nigdy nie dotrzesz. Pokaż mi swój świat. powiem ci o moim.

Elf parsknął, rozbryzgując krople śliny. Wyszarpnął dłoń, poluzował ucisk.

– Nie chcę słuchać o twoim świecie. Moj świat mam we krwi, w kościach, w sadle. podzielę się nim z tobą, bo jest wielki. Można go rozdać tysiącowi ludzi. Milionowi ludzi. Miliardowi ludzi. Elfom nie polecam. Brzydą tutaj. – Zaśmiał się cicho. – Kazałem zlikwidować wszystkie lustra w komendanturze. Zostały tylko te w damskim kiblu.

Elf! To też jest elf!

Kajetan przypomniał sobie swoich towarzyszy broni, nauczycieli, przyjaciół. Annę Naa'Maar, kobietę z zakonu Łabędzia, której każdy ruch nadawał światu sens i piękno. To był ich brat.

Jak bardzo Goliuon'as'Marazi musiał kochać ludzi, by zgodzić się na to, co Mgła uczyniła z jego ciałem.

Elf przestał się śmiać, spojrzał na Kajetana uważnie, a potem skinął mu głową w geście szacunku, a może podziękowania.

– Mówili mi o tobie prawdę, człowieku. Cieszę się, że tu jesteś. – Przyśpieszył konia, przesuając się do przodu i nie dając Kajetanowi czasu na odpowiedź. Za to z tyłu podjechał Szerniawski.

– No, masz to już za sobą, jak widzę.

– Przywitanie?

– Zaakceptował cię. Bywa kapryśny, uwierz mi. Niektórych odrzuca. Jest wtedy dość... złośliwy, jak na elfa.

– Zamienia delikwentów w zające.

– Bywa gorzej. – Szerniawski wyraźnie zamyślił się w związku z jakimś wspomnieniem. – Tak, naprawdę zając nie wydaje się najgorszym rozwiązaniem.

– A ciebie lubi?

– Mnie? – Szerniawski wydawał się zaskoczony tym pytaniem. – Znamy się długo, bardzo długo. Jest mi winien przysługę, tak to mogą chyba ująć.

Kajetan zrozumiał, że nie powinien zgłębiać tej kwestii. Zmienił więc temat.

– Zgodnie z wytycznymi przetworzyłem kilka swoich amuletów. Kiel rezonuje dobrze. – Odruchowo dotknął rękojeści miecza. – Tnie Mgłę jak powietrze.

– Z tego, co czytałem, Kiel wszystko tnie jak powietrze. Stal, fagowe zbroje, cielska balrogów...

– Powinieneś go oddać królowi, kiedy cię o to poprosił – do rozmowy niespodziewanie włączył się elf. – Ja bym oddał.

– Król mi nie rozkazał. Poprosił.

– Dlatego trzeba było oddać.

– Ten miecz wiele razy uratował mi życie.

– Kiedyś może ci odebrać coś więcej niż życie. Wziąłeś go z Planu, do którego ludzie nie powinni chodzić. Elfy zresztą też.

– Były tam przede mną. Znalazłem ich kości. Szkielety zmienione w złoto.

– Przekłęte miejsce, mówię ci, geografie, niepotrzebnie tam polazłeś. A teraz pchasz się tutaj.

Czemu to robisz?

– Mam sprawy do załatwienia. A ty... – zawahał się jednak.

– Dlaczego to zrobiłem? – dokończył elf. – I zmieniłem się w to coś?

Milczenie, tak, milczenie czasem jest bardzo hałaśliwe.

– Miałem sprawy do załatwienia. – Elf znów się zaśmiał. – No, już zaraz jesteście. Chciałeś lekcji, to ją będziesz miał, poruczniku Kłobudzki.

Trawa przed nimi rozstąpiła się, otwierając przestrzeń hen po horyzont. Znaleźli się na skraju gigantycznego skalnego pola, pofałdowanego i postrzępionego, pokrytego gładką skorupą zastygłej mag'my, która przed laty zalała miasto. Gdzieniegdzie z pagórkowatej równiny wyrastały ostre konstrukcje – szkielety budynków, długie ściany, bryły po bliższych oględzinach przypominające samochody czy kioski nieproporcjonalnie rozdęte w różnych kierunkach.

– Kiedy nadeszło Zaćmienie, było tu dwudziestotysięczne miasto. Mieli fabrykę traktorów i jakieś zakłady chemiczne. Nieżyły teatr i jednego znanego w całym kraju pisarza – elf mówił spokojnym, beznamytnym tonem, jakby objaśniał atuty nowego samochodu. – Ale zakotłowało się. Odszpuntowały się przejścia. Gdzieś tam dalej na wschodzie wylała się Mgła. Ale było więcej Przebić, także z innych Planów. Tu na przykład przyszły golemi.

– Przypląnęły golemi – poprawił elfa Szerniawski.

– Słusznie, słusznie, pułkowniku – pokiwał głową elf. – Ale z golemami to sobie już umiemy dawać radę od jakichś... – zawahał się, by policzyć na tłustych palcach – trzech tysięcy waszych lat. Zaczopowaliśmy dziurę, tylko że... za późno.

– Czemu tu przyjechaliśmy? – spytał Kajetan, ale elf nie odpowiedział, znów coś mamrotał. Spojrzał na Szerniawskiego, a ten natychmiast zaczął informować:

– To teren skażony Planem innym niż Mgła, więc jej magia jest tu osłabiona. Sądzę, że tu łatwiej i bezpieczniej dokonasz konwersji. Sprawdzisz się na słabszej mocy. Stwory, na które zapolujesz, są tu słabsze.

– Nie zwykłem polować na słabe stwory.

– I nie będziesz. Jak może zauważyłeś, nie powiedziałem „słabe”, tylko „słabsze”.

– Aha... A jaki jest prawdziwy powód? – Znów spojrzał na elfa.

Goliuon'as'Marazi nie usłyszał pytania. Z zamkniętymi oczami siedział na koniu, dłońmi wykonywał w powietrzu znaki skomplikowanego modlitewnego kata. Szeptał.

– Jaki...? – zaczął znowu Kajetan, ale Szerniawski powstrzymał go, kładąc rękę na ramieniu. Dopiero po kwadransie elf przerwał rytuały i znów spojrzał na geografa.

– To ja dowodziłem obroną tego miasta, rozumiesz? Popeliłem błąd. Zginęło dwadzieścia tysięcy ludzi. Znany pisarz. Robotnicy w fabryce traktorów. I wszyscy inni. Znam ich nazwiska na pamięć. Dwadzieścia tysięcy imion i nazwisk. To moja litania. Powtarzałem ją przez rok w stepie. Powtarzam teraz. I będę powtarzał do śmierci. Teraz już wiesz?

– Tak – odpowiedział Kajetan. – Wiem.

Wjeżdżali do martwego miasta powoli, ostrożnie. Kajetan odpalił swoje zaklęcia ochronne. Zbudował egidy, obudził enpisy, uaktywnił ryngraf. Poczuł, jak jego ciało mości się w kokonach bezpieczeństwa rozpinanych przez magię defensywną. Na razie wszystko działało jak trzeba. Czuł obce drgania, nieznaną pływę, uciski dziwnych emocji. Ale władał swą magią i kontrolował nanokadabry. Może i był nowicjuszem tu, na Wschodzie, ale wciąż pozostawał królewskim geografem, który odwiedził wiele Planów i wędrował po Gehennie.

– No to działaj – powiedział elf.

Kajetan wyjął z przytroczonej do boku konia płaskiej sakwy arkusz papieru czerpanego. Na Wschodzie nie używano zadrukowanych mechanicznie karteczek kadabrowych. Moc zaklino długim pismem, pełnym ozdobnych sformułowań i zawijasów, zawsze podbitym kilkoma stemplami. W Nowym Bobrujsku pracowały nawet dwie kancelarie wyłącznie generujące dokumenty, których używano potem na polu walki. Ta akurat instrukcja precyzowała zasady budowy czaru widusłuchowego. Kartkę zapisaną ręcznie zielonym atramentem ozdobiono dwiema wielkimi pieczęciami: okrągłą z polskim Orłem i prostokątną z wypisaną po białorusku zgodą na użycie na terenie Żywierusi. Z tego, co Kajetan się zorientował, sama treść stempla nie miała większego znaczenia, ważne, żeby przystawił ją właściwy urzędnik Królestwa, wedle stosownej procedury. Atrament sprowadzano aż z Ameryki, nie wiedzieć czemu, działał najlepiej.

Kajetan zgął kartkę kilkakrotnie, składając samolocik. Poślinił jego dziób, wypowiedział zaklęcia i puścił zwiadowcę do lotu. Papierowy szpieg pomknął przed siebie i po chwili zniknął z

oczu. Ale zaraz też w umyśle Kajetana otworzyła się widusłychowa linia i zaczął odbierać nowe obrazy.

Próbował kiedyś wyjaśnić swojej ciotce, jak działa taki przekaz.

– Oglądasz telewizję od czasu do czasu, prawda?

– „Od czasu do czasu” to właściwe określenie, Kajtek – uśmiechnęła się Łucja. Zwracała się tak do niego nawet w trakcie poważnych spotkań. – Jedyne telewizor na piętrze ma ten Krasucki spod piątki.

– Ten bucowaty, o ile dobrze pamiętam z dzieciństwa?

– Teraz jest jeszcze gorszy. Wiesz, mam wrażenie, że u mężczyzn poziom bucowatości zwiększa się z wiekiem. – Spojrzała na niego bacznie. – Tak, tak, Kajtek, musisz bardzo uważać... No więc chadżam czasem na telewizję do Zośki, pamiętasz ją, taka brunetka?

– Ta, którą od dziesięciu lat swatasz z ojcem?

– Ta właśnie. Miła, zadbana, całkiem atrakcyjna... – zawahała się. – Nie, bez tego „całkiem”.

Po prostu atrakcyjna czterdziestka. I ma telewizor. Ha, przydałaby się taka mojemu braciszкови.

– Bo bucowacieje?

– Udam, że nie słyszałam, i nie powtórzę. No więc co z tą telewizją, Kajtek?

– To się odbywa podobnie. Siedzisz w pokoju, rozmawiasz z ludźmi, myślisz o różnych sprawach, albo nawet czytasz gazetę. A jednocześnie oglądasz telewizję, widzisz obraz, słyszysz dźwięk, śledzisz akcję. Twój mózg bez problemu percepuje i oddziela dwa ciągi informacji. Dokładnie tak samo jest z czarami widusłychowymi. Ja potrafię jednocześnie kontrolować czterech zwiadowców, a wyszkolone elfy śledzą ich nawet

do dziewięciu.

– Ty naprawdę czytasz książki w czasie oglądania telewizji, Kajtek? Dziwny zwyczaj, chłopcze.

Papierowy, opieczętowany samolot mknął między ruinami, a Kajetan mógł przyjrzeć się dokładniej temu, co zostało z miasta.

Najbardziej chyba przypominało plastelinową makietę zbudowaną przez średnio uzdolnionego sześciolatka, któremu gdzieniegdzie pomagał ojciec, równie mało plastycznie utalentowany. Pierwsze, co zwracało uwagę, to kolory. Od czerni i brejowatej burości po czysty pomarańcz i jaskrawą zieleń – pasy barw przebiegały przez całą przestrzeń w bezładnej harmonii, łącząc się i zapętłając, gdzieniegdzie tworząc niemal regularne ornamenty, ale częściej pokrywając grunt stochastyczną paciją. Kajetan poderwał samolocik wyżej, chcąc sprawdzić, czy z większej odległości chaos plam i smug nie zamieni się, jak dzieło impresjonisty, w czytelny obraz, a przynajmniej w jakiś kod czy symbol. Z wysokości stu metrów niczego takiego jednak nie dostrzegł, a poderwanie widusłycha wyżej było niemożliwe. Znow więc skoncentrował się na kolorystycznych szczegółach i teraz dostrzegł prawdziwie niepokojące detale – obszary w kolorze krwi i skóry; migotliwe, pokryte cętkami plamy, niczym ludzkie tęczówki; białozółte struktury przypominające kości. Obiekty te różniły się wielkością, choć zdecydowanie pozostawały poza ludzką skalą, oto na przykład owal wyglądający jak piwna tęczówka miał średnicę kilkunastu metrów. Jednak groźne wrażenie pozostawało. W kilku miejscach układ barw tworzył wyraźne struktury, formując się w kształty zwierząt, przedmiotów codziennego użytku, fragmentów ciał czy wręcz organów wewnętrznych. Ale geograf nie był w stanie powiedzieć, czy to odwzorowanie rzeczywistych obiektów, czy zwykłe złudzenie, w którym wzrok przypisuje desygnaty przypadkowemu układowi barw i cieni.

Na razie nie chciał pytać o nic swoich przewodników.

Równie trudno było zidentyfikować ruiny. Skorupa kolorowej lawy pokrywała teren po horyzont. Dawało się dostrzec zarys dawnego miasta – linie ulic i rzędy budynków. Teraz przypominały pokrzywione kopce termitów albo piaskowe zamki stawiane przez dzieci na plaży, już opłukane przez fale. Niektóre wciąż pięły się na wysokość kilkunastu metrów, inne oklapły i ledwie wystawały ponad powierzchnię.

Mag'na przekształcała także inne obiekty w zaatakowanym mieście.

Widusłych szybował teraz nisko nad jedną z dawnych ulic, z obu stron wyznaczoną przez rzędy

wcale wysokich ruin. Przesyłał do umysłu Kajetana obrazy tworów, które kiedyś były zapewne samochodami. Teraz blokowały ulicę – obłe, bezkształtne, jakby rozdęte,

ale nieproporcjonalnie, pokryte chropowatymi naroślami. Niektóre musiały się zderzyć ze sobą tuż przed przemianą, bo wyglądały jak bliźniacze ofiary procesu jakiejś potwornej ewolucji.

– Wielkość bryły, domu czy samochodu zależy od tego – odezwał się niespodziewanie elf, jakby sam był podłączony do zwiadowczego samolociku – ilu ludzi było w środku w momencie ataku. Spójrz na ten pagórek tam, domyślasz się, co to jest?

– Tak, chyba tak – odparł Kajetan po chwili wahania.

– Autobus.

– To nie jest potwierdzona teoria – powiedział jeszcze elf i tak jak nagle się włączył, tak ponownie zamilkł i wrócił do odmawiania litanii.

Kajetan nałożył na odbierany obraz dawny plan miasta, teraz mógł precyzyjniej kierować widusłychem. Sunął przez wąwozy ulic, zbliżał się do brył, które kiedyś mogły być kioskami, budkami telefonicznymi, ławkami. Kilka wyglądało jak drzewa, sygnalizatory świetlne czy słupy ogłoszeniowe.

Papierowy ptak poderwał się w górę, bo na jego drodze wyrósł kopiec – szczególnie wysoki i rozplaszczony, rozlewający się na boki jezorami mag'ny. Pagórek pokrywały wielobarwne smugi, nieregularne plamy we wszystkich chyba możliwych kolorach. Ostra żółć towarzyszyła kručzej czerni, chabrowy błękit śnieżnej bieli, jaskrawa czerwień wyblakłej szarości. Kopiec był największym wzniesieniem w mieście i znajdował się w jego ścisłym centrum. Przed katastrofą mieścił się tu wydział mechaniczny mińskiej politechniki. Zagłada przyszła w środę o 11.37, kiedy zdecydowana większość studentów i profesorów była na miejscu.

I właśnie tam, na stoku wzgórza, widusłych zarejestrował ruch – cztery czające się w cieniu sylwetki.

Cetnarowski Ćwiek Dębski Janusz
Kosik Małecki Orbitowski
Paliński Skalska Szmidt Wegner

Herosi



powergraph

Robert M. Wegner

Jeszcze jeden bohater

Opowiadanie pochodzi z antologii Herosi, wydanej przez Powergraph

Niebo na wschodzie przyniosło pierwszy zwiastun ataku. Nisko zawieszona chmura wydeła się, odkleiła od horyzontu, tworząc szczelinę, przez którą wdarł się pojedynczy promień światła. Promień rozszerzył się, urósł na boki, jakby chciał raz na zawsze odciąć skłębioną masę od ziemi, jakby był gigantycznym nożem, którym jakiś szalony cukiernik rozkrawa warstwy piekielnego tortu. Dolną stanowiła równina – porwana wybuchami, poznaczona chorymi plackami zeszkłonej ziemi i lejami, w których zalegało brudne błocko; górną – czarne jak sen grabarza, matowe, pożerające światło chmury, składające się z sadzy, pyłu po eksplozjach i trujących dymów. „Chmury”, nazywane tak tylko dlatego, że w języku żołnierzy nie było słowa, którym dałoby się określić to coś, co od lat wisiało nad tym globem.

Tort Lucyfera. Smacznego.

Świetlny promień odciął wreszcie barokowe cumulusy od ziemi i znikł, tak jak się pojawił.

A potem w ziemię uderzyła błyskawica. Oderwała się od podniebnego kłębowiska i na chwilę rozświetliła chmurzyskom brzuchy. Po niej następna, i kolejna, coraz szybciej i szybciej. Jedna obok drugiej, pięć, dziesięć, pięćdziesiąt na sekundę. Przez chwilę cała wielka, rozciągająca się od horyzontu po horyzont warstwa chmur wyglądała niczym olbrzymimi balonami, uwiązany do ziemi milionem ognistych węży. Pioruny uderzały jeden obok drugiego, jakby wszyscy pogańscy bogowie urządzili sobie popijawę, zakończoną zawodami, w których chodziło tylko o to, kto szybciej i mocniej rąbnie błyskawicą w ziemię.

Minęła prawie minuta, zanim siostra Weronika Amanda Redglowe usłyszała pierwszy pomruk. Liczyła. Atmosfera gęstsza, więc sześćdziesiąt razy cztery, dwieście czterdzieści dodać dwa zera, równa się dwadzieścia cztery tysiące. Dwadzieścia cztery kilometry. A pioruny wyglądały, jakby były na wyciągnięcie ręki. Musiały być gigantyczne.

— Sierżancie — stuknęła pancernego kolosa w ramię — gdzie on jest?

Góra żelaza obróciła się powoli w jej stronę. Oczywiście wiedziała, że to nie metal, tylko skorupa, przy której zwykła stal prezentuje się jak ołów przy diamencie, ale co z tego, jeśli w dotyku materiał do złudzenia przypominał żelazo? W zakonie nie uczyli ich ksenometalurgii.

Sierżant był dwumetrowym Murzynem, który w pancerzu miał dwa dwadzieścia, musiał się więc pochylić, żeby spojrzeć na nią znad dolnej kryzy.

— W bunkrze.

Zabrzmiało to, jakby jego głos wydobywał się z wnętrza stalowej beczki. Uśmiechnęła się w duchu, miała trochę racji co do tego żelaza.

— Sam?

— Pilnuje go dwóch ludzi.

— Dobrze. — Skinęła głową, zadowolona. — Czy reszta jest gotowa?

— Za dwadzieścia pięć minut bierzemy ogłupiacze. — Wzruszył ramionami, ale widząc jej minę, dodał — to trzecia linia, nie dojdą tu. A gdyby doszli, zdążymy się wybudzić.

— Widziałam już żołnierzy, którzy byli pewni, że *kalehowie* do nich nie dojdą albo że zdążą się, jak pan to ładnie ujął, wybudzić. Proszę mi wierzyć, sierżancie, nie zapomnę tego do końca

życia.

Zmierzył ją wzrokiem, a w jego ciemnych oczach zabłysło pytanie: „Czyli jak długo, co? Jak długo masz zamiar żyć, pętając się po linii frontu w habicie i z różańcem w dłoniach?”

Widziała już to pytanie niejedną raz, także w oczach żołnierzy, którzy potem strzelali sobie w usta lub otwierali żyły. Zamykała później te oczy, modląc się za dusze tych chłopców. W takich przypadkach Kościół pozwalał na odprawienie wszystkich sakramentów, nawet jeśli chodziło o samobójców.

— Kto was wspiera?

— Kto? — Wyglądało na to, że nie zrozumiał pytania.

— A, ten, no... z czternastego... Zawisza z oddziałem niezapisanych. Zostało mu siedemnastu.

Po raz pierwszy dzisiejszego ranka uśmiechnęła się szczerze. Zawisza. Znała go. Raz nawet widziała, jak umierał.

— Świetnie. Proszę mnie zaprowadzić do kaprała.

Bunkier odznaczał się brzydotą wszystkich betonowych schronów wszechświata. Najpewniej pochodził z czasów pierwszej wojny, gdy stawiano jeszcze takie konstrukcje, wierząc, że pół metra żelbetonu wzmocnionego kryształowymi przerostami alluwalu dadzą żołnierzom większe szanse. Po pojawieniu się pierwszych *maghostów* szybko z tego zrezygnowano, bo wystarczyło, że u jednego z załogi schronu zawiodły ogłupiacze, a po bitwie można było wyciągać wszystkich wiaderkami. Ale umocnienia linii Howarda pozostały: niskie, paskudne w swojej praktyczności budynki z otworami strzelniczymi wyglądającymi jak wściekle zmrużone oczy maniakałnego zabójcy. Pełniły teraz głównie funkcję magazynów amunicji i tymczasowych lazaretów.

Szli obok siebie – on, posepny zakuty w zbroję olbrzym stukający buciorami po ażurowej kracie leżącej na dnie okopu, i ona, drobna, ledwo metr pięćdziesiąt osiem, w ciemnym habicie przewiązanym białym sznurem. Kilku żołnierzy uśmiechnęło się na ten widok, jeden czy dwóch skinęło jej lekko głową, ale mina dowódcy powstrzymała ich od zagadywania. Sierżant nie odzywał się, wyraźnie zły, a ona nie pytała o powód tej złości, bo było to aż nazbyt oczywiste. Prosił o grawa, żeby odesłać rannego kaprała na tyły, a przysłali mu zakonnicę. Jak następnym razem zażąda wsparcia ogniowego, to dostanie książeczkę z psalmami!

Nie wierzył w takie rzeczy, nie wierzył w modlitwę i siłę wiary. Zbyt wiele już widział, zbyt wielu kumpli wyciągał z pancerzy po tym, jak *kalehowie* przerobili im umysły na papkę.

Doszli do wejścia, żołnierz sięgnął do olbrzymiego stalowego koła i zakręcił. Grube na dziesięć centymetrów drzwi zaskrzypiały i zaczęły się powoli uchylać, ukazując zalany zimnym światłem przedsionek.

— To tu. — Wyglądało na to, że nie miał zamiaru jej towarzyszyć. — Wiedzą, że siostra przyjdzie.

— Dziękuję, sierżancie. Będę się modlić i za pana.

Wyraźnie wzruszył ramionami, choć pancerz ukrył ten gest. Przez chwilę wydawało się, że ma zamiar powiedzieć coś uszczypliwego, ale zrezygnował. Skinął tylko głową i postukał w pancerz. Oto, w co ja wierzę – zdawał się mówić tym gestem, choć nie wiadomo było, czy chodzi mu o trzy centymetry inteligentnej zbroi, czy o ukryty pod nią pojemnik z ogłupiaczami.

— Dwadzieścia trzy minuty do snu — rzucił z ręką na kole zasuwy.

Weszła do środka, drzwi zazgrzytały i zaczęły zamykać się z powrotem.

— I jeszcze jedno — podoficer zaszeptał, nie przerywając walki z mechanizmem — lepiej żebym po wszystkim nie znalazł w środku żywej zakonnicy owiniętej flakami mojego kaprała.

Zmierzyli się wzrokiem przez gasnącą szczelinę. Nie pierwszy raz słyszała podobny tekst. Na froncie obowiązywały jasne zasady.

— Proszę zaczekać chwilkę, siostró — usłyszała głos nie wiadomo skąd, gdy sierżant podjął przerwana pracę. — Wewnętrzne możemy otworzyć dopiero wtedy, gdy zewnętrzne się zamkną.

Skinęła głową, choć nie miała pewności, czy ją widzą. Przesionek był krótki i wąski, a drzwi z obu stron wyposażono w stalowe koła. Najwyraźniej pneumatyczne siłowniki poddały się już dawno temu.

Za jej plecami szcęknęły potężne blokady, światło zamigotało, jakby przestraszone.

Zza drugich drzwi dobiegło stęknienie, kilka sapnięć i cichych przekleństw. Otwierały się powoli, niechętnie, najwyraźniej mechanizm odpłacał za lata zaniedbywania, kurzu i rdzy zzerającej przekładnie. Minutę trwało, zanim uchylły się wystarczająco, żeby mogła wejść.

— Uff. — Żołnierz błysnął uśmiechem i otarł pot z czoła. — Mówiłem, żeby draństwo nasmarować, ale tu jest wszystko poza olejarką. Strzelec Klawenson.

— Siostra Redglowe. Nie byłoby łatwiej użyć siłowników pancerza?

— Ależ używam, używam. Inaczej we trzech nie ruszylibyśmy tego dziadostwa. Ale egzozskielet i tak wymaga używania mięśni. Sierżant uprzedził, ile czasu zostało do zastrzyku?

— Dwadzieścia trzy minuty, teraz już pewnie dwadzieścia.

— Osiemnaście — poprawił. — Duchy są już niemal na pierwszej linii. Idą szybciej, niż sądziliśmy.

Osiemnaście minut. To znaczyło, że fala jest dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć minut od nich. Zamknęła oczy. Pan poddawał ją próbie, a ona nie miała zamiaru zawieść.

— Gdzie ranny?

Zaprowadził ją bez słowa. Przygotowali dla kaprała pomieszczenie w samym środku bunkra, pozbawione okien, z jednym tylko wejściem. Bóg raczył wiedzieć, do czego projektant je przewidział, w tej chwili jednak znajdowało się w nim tylko połowe łóżko, wojskowy automed, taboret i kilka lamp, podpiętych do przenośnego generatora i do baterii akumulatorów na dodatek. Sama o nie prosiła, to ważne, żeby światło nie zgasło ani na chwilę.

— Będziemy musieli was zostawić — wyjaśnił Klawenson, kierując się ku wyjściu. — Rozkazy sierżanta. Proszę się nie martwić, zamkniemy drzwi i na wszelki wypadek pokażę, jak zablokować je od wewnątrz. Nic się tu nie dostanie.

Machnęła tylko ręką na tę niezgrabną próbę uspokojenia jej. Patrzyła na rannego. Edward Nowak, dwadzieścia osiem standardowych lat, katolik. W sumie miał szczęście, gdyby był Żydem, zostałby sam, bo rabin Glewstein wyleciał rano do dwóch żołnierzy z linii Eddginsa.

— Jak się pan czuje, sierżancie? — spytała łagodnie.

Popatrzył wzrokiem na wpół oszalałym ze strachu i zaśmiał się krótko, na granicy panicznego chichotu.

— Sierżantem to ja zostanę pośmiertnie. Teraz jestem kapralem i lepiej niech siostra to zapamięta.

Przypomniała sobie jego dane medyczne: uraz kręgosłupa, połamane nogi, pęknięte trzy żebra. Efekt upadku z sześciu czy siedmiu metrów na betonową płytę. Nie miał wtedy na sobie pancerza. Pech. Najgorsze jednak kryło się pod czaszką, rozległy krwiak powstrzymywany teraz tylko przez наносiatkę wstrzykniętą do tętnicy. Siatka była bardzo delikatna, więc żeby miał szansę przeżyć, farmakologicznie obniżono mu ciśnienie. Tylko że z tego powodu nie mógł jak reszta żołnierzy dostać ogłupiaczy, gdyż ich składniki weszłyby w konflikt z przyjmowanymi lekami. Ot, i wszystko. Doskonale wiedział, że bez ogłupiaczy nie przeżyje fali psychoschizoidalnej, zwanej falą *maghostów*, a z nimi zabije go wylew krwi do mózgu. Powinien zostać ewakuowany na tyły, o tak, z pewnością wolałby podjąć ryzyko tańca z polami anty-g, nawet jeśli miałyby rozerwać наносiatkę, lecz zamiast tego przysłali mu tę pierdolniętą zakonnicę.

Pech.

Och, ludzkie oczy nadal potrafią przekazywać tyle informacji. Zwłaszcza takie, w których nienawiść miesza się z paniką.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko.

— Czuję się lepiej, siostro. Chłopcy tak się martwią, że zadbali nawet, żebym z łóżka nie spadł. — Napiął mięśnie, pokazując pasy krepujące mu ręce i nogi.

— Nie zrobili tego sami, ja ich poprosiłam — wyjaśniła spokojnie. — Doświadczenie.

Przestał się uśmiechać.

— Jakie doświadczenie, co? Jakie, kurwa, doświadczenie!? — Szarpnął się tak, że pasy zaskrzypiały, a łóżko prawie podskoczyło.

Podwinęła prawy rękaw i pokazała mu. Zamilkł, wpatrzony w paskudną, postrzępioną bliznę ciągnącą się od nadgarstka po sam łokieć. Jakby wygryzło ją zwierzę.

— Paznokcie i zęby — wyjaśniła. — Takie rany nie goją się ładnie.

Nie odzywał się, wpatrzony w jej przedramię.

— A ten, który to zrobił? — powiedział wreszcie.

— Tłukłam go krzesłem, aż zaczął się bardziej bać mnie niż tego, co *maghosty* zostawiają mu w głowie. — Opuściła rękaw i uśmiechnęła się spokojnie. — Ale zazwyczaj wolę modlitwę. Kiedy ostatnio byłeś w kościele?

— Dwa... nie, trzy lata temu.

Westchnęła ciężko, trudno przypadek.

— Więc dobrze, zaczniemy od podstaw. Pamiętasz Ojciec nasz?

Głośnik przekazał wycie syreny. Dwadzieścia minut do kontaktu, piętnaście do wzięcia ogłupiaczy.

Trzydzieści kilometrów dalej pułkownik Stanley Kon-Kawawa wpatrywał się w napięciu w ekran. Linia ataku wyglądała jak fala eksplozji nadciągająca z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę od wyrwy w murze chmur. Przełała się już przez pierwsze okopy i ze stałą prędkością zbliżała do drugich. Komputery w sztabie dławiły się, próbując określić, gdzie i kiedy fala depresyjna się załamie, lecz jak dla niego nie miało to znaczenia. Jeszcze żadna z nich nie dotarła dalej niż trzydzieści kilometrów od punktu wyjścia i widział już, że ta też nie będzie wyjątkiem.

Pierwsza linia umocnień rozbłysła nagle światłem. Taktyczne głowice plazmowe o mocy kilku kiloton wyżarzyły parę kilometrów kwadratowych terenu przed okopami, znak, że nadchodził właściwy atak. *Paschodery*, *migoracze* i *patykołapy* sunęły za falą *maghostów*, żeby zetrzeć w pył oszołomionych ogłupiaczami żołnierzy. Dopiero po nich nadejdą sami *kalehowie*. Tak to przynajmniej miało wyglądać w teorii – w praktyce wojsko w okopach nie było osamotnione.

— Kto jest na pierwszej?

Kon-Kawawa prawie podskoczył w miejscu. Dowodzący linią Howarda generał porucznik John Mannis poklepał go po ramieniu.

— Proszę się uspokoić, panie pułkowniku. Kto wspiera pierwszą linię, pytam?

— Musashi, panie generale. I dwudziestu trzech niezapisanych.

— Dobrze. A drugą?

— Szalony Koń. I dwadzieścia dwa pustaki.

— Trzecią Zawisza?

— Zgodnie z rozkazem. Plus siedemnastu.

— Dobrze. Rezerwy?

— Siódma Pancerna i Trzydziesty Drugi Pułk Grenadierów. Nie sądzę jednak, żebyśmy musieli ich ruszać, panie generale.

Nie patrzyli sobie w oczy, żeby ukryć to, co obaj doskonale wiedzieli. Nie: „nie sądzę”, ale: „mam rozpaczliwą nadzieję, że do tego nie dojdzie”. Siódma Dywizja Pancerna miała stan niepełnego pułku, Trzydziesty Drugi Pułk Grenadierów – niepełnego batalionu. Jedna trzecia pierwotnej liczebności. Oczywiście można ich ruszyć, byli w pełnej gotowości bojowej. Tylko że wtedy, jeśli za kilka godzin lub dni nadejdzie następny atak, nie będzie kogo rzucić do walki, żeby zatkać ewentualną dziurę w linii frontu.

Generał klepnął go jeszcze raz w ramię, odwrócił się, zrobił trzy kroki w stronę swojego biura i zamarł.

— Jak to dwudziestu dwóch przy Szalonym Koniu? — Spojrzał przez ramię. — Wczoraj miał dziewiętnastu.

W mgnieniu oka był z powrotem przy stanowisku pułkownika i jego dłonie już tańczyły pomiędzy ekranami. Obrazy pokazywane w czasie rzeczywistym zmieniały się, pierwsza linia, żarzące się przedpole, skulone w pozycjach embrionalnych sylwetki żołnierzy, ciemny, jakby wykuty z nocy zarys jednego z pustaków Musashiego. Humanoidalna sylwetka, dwa i pół metra

wysokości, ostre krawędzie płyt pancerza, byle jak zaznaczone kontury twarzy. To ostatnie tylko po to, żeby żołnierze lepiej się czuli i lepiej reagowali na obecność automatów. Maszyna uniosła ramiona i z obu wystrzeliły strumienie ognia. Na kilka sekund ekran stał się jaskrawobiały, potem ze światła wyłonił się zarys trzymetrowego jeżowca, toczącego się przez zeszkloną równinę. Miał setkę czy dwie długich, cienkich odnóży, które teraz dymyły. Seria z lekkiego działka trafiła w środek stwora, zatrzymując go w miejscu. Generał machnął zniecierpliwiony i obraz znikł, zastąpiony przez widok z kamer drugiej linii.

Piechota już się szykowała, żołnierze przygotowywali sobie stanowiska oddalone co najmniej kilka metrów jedno od drugiego i kładli się wprost na ziemi. Egzoszkielety zmuszały ich do przyjęcia pozycji embrionalnej, bo jakiś mądrała stwierdził kiedyś, że najbardziej kojarzy się ona z bezpieczeństwem i spokojem. Właściwie nie miało to znaczenia, po standardowej porcji ogłupiaczy przeciętnego piechura można by powiesić do góry nogami, zmusić do stania na palcach albo umieścić w wirówce. I tak najważniejszą bitwę musieli stoczyć we własnych głowach.

Jakaś ciemna sylwetka poruszała się za linią okopów. Szalony Koń.

— Pokaż mi jego dziennik taktyczny.

Pułkownik posłusznie wywołał odpowiedni ekran. Linia umocnień, stanowiska automatycznych działek i miotaczy, czołgi i bojowe wozy piechoty oraz zaznaczone na bładoróżowo sylwetki ogłupionych już żołnierzy. Do tego kilkanaście zielonych punktów rozstawionych w najważniejszych miejscach. Algorytmy taktyczne Szalonego Konia działały bez zarzutu, wszystkie niezapisane automaty zamaskowały się i czekały na wroga.

Ale mniej więcej pośrodku linii widniała większa zielona kropka.

— Zbliżenie.

Kropka rozdzieliła się na trzy mniejsze.

— Jeszcze. Widok z najbliższej kamery.

Na ekranie pojawiło się połowe lądowisko oświetlone dwoma zamontowanymi na wysokich słupach reflektorami. Ciężki transportowiec klasy Loki grzał właśnie silniki.

— Kto to jest i co tam robi?

Numer maszyny wyjaśnił wszystko. Przez ekran płynęły informacje, a pułkownik Stanley Kon-Kawawa czytał je półgłosem.

— Porucznik Malendof z Ósmego Dywizjonu Transportowego i kapral Hanako. Ładunek: trzy korpusy typu Samuraj, sześć jednostek centralnych, części zamienne. Wymieniano uszkodzone pustaki na nowe, nadpisywano oprogramowanie, uzupełniano uszkodzone części. Taktyczny tymczasowo przypisał korpusy do Szalonego Konia, stąd różnica w ilości pustaków.

— Dlaczego jeszcze tam są?

— Awaria silnika, naprawili ledwo dwadzieścia minut temu. Właśnie startują, panie generale.

— Gdzie jest fala?

— Dwie minuty przed nimi. Trochę za blisko, żeby ogłupiacze osiągnęły maksimum skuteczności... Poza tym mają ewakuować automaty z linii walk za wszelką cenę. Te pustaki to...

— Rozumiem. — Dowódca przerwał mu łagodnie. Racja, po co ogłaszać to, co wszyscy i tak wiedzą. Że każdy pustak jest na wagę złota. Że nie będzie posiłków. Że Ziemia wstrzymała już dostawy i liczy się tylko ucieczka. — Niech lecą wprost ku trzeciej. Najkrótszą trasą.

— Tak jest!

Właściwie nie musiał przekazywać tych rozkazów, bo w tej samej chwili maszyna plunęła ogniem z dysz i utonęła w tumanie dymu.

— Jezus Maria...

Szept dochodził z boku, od strony stanowiska obserwacji strategicznej. I właściwie trudno powiedzieć, jakim cudem przebił się przez gwar centrum dowodzenia, bo oficer, który go z siebie wydusił, miał głos, jakby ktoś zaciskał mu na gardle rękawice bojowego pancerza.

— Co znowu?

Pułkownik nie miał cierpliwości do panikarzy, zwłaszcza gdy dowódca patrzył mu na ręce, ale zerknąwszy na sztabowca, zrezygnował z reprimendy. Porucznik wyglądał na jakieś dwadzieścia lat, najwyraźniej był świeżo po akademii. Odkąd skrócono kursy oficerskie do czterech miesięcy,

przysyłali mu coraz młodszych.

— Wrzuć to na główny ekran, chłopcze. Obraz strategiczny. Dobrze. Wyostrz... och...

Przez chwilę dwóch najstarszych rangą oficerów w centrum wpatrywało się w szary, monstrualny kształt wypełniający wiszący na ścianie ekran.

— *Abandalakh*. Matko Przenajświętsza, przecież go zabiliśmy — szept porucznika wypełnił pomieszczenie. I było w nim takie poczucie niesprawiedliwej krzywdy, że miało się wrażenie, iż młody oficer zaraz się rozplacze.

Zabiliśmy go, pomyślał pułkownik wpatrzony hipnotycznie w przelewające się na ekranie mackowate kształty. Zabiliśmy to kłębowisko ciemności, ten piekielny pomiot, szeroki na sto metrów rzyg z alterświata. Groza, jaką budził, była tak wielka, że porucznik, którego pewnie nie było jeszcze na świecie, gdy pierwszy raz starliśmy się z najpotężniejszą bronią obcych, rozpoznał go bezbłędnie, widząc te kształty zapewne tylko na jakimś szkoleniowym filmie. Potrzebowaliśmy trzech dywizji, dziesięciu bohaterów i dwustu pustaków, zanim wreszcie jeden z automatów przedarł się na tyle blisko, że zdołał podłożyć pod to gówno pięćdziesięciokilotonową głowicę. Trzydniowa bitwa kosztowała nas piętnaście tysięcy zabitych i stratę całego Korpusu Maweryjskiego. A teraz pojawił się znowu.

Abandalakh. Szaleństwo odziane w kształt. Kłębowisko powstałe w miejscu, które nie powinno istnieć, nie tyle przesuujące się, ile przelewające z jednej formy w drugą, mackowate, amorficzne, pożerające wszystko na swojej drodze i wypuszczające w zamian hordy bestii. Stałe pole psychoschizoidalne otaczało go na odległość trzystu metrów, a wszystko, co w niego wystrzeliliśmy, rozmazywało się na płaszczu prawdopodobieństwa. Pociski rozpadały się w locie lub wybuchały dużo przed celem, strumienie plazmy gasły albo odbijały się w stronę strzelających, promienie laserów zdawały się go tylko łaskotać. Trzy dywizje ledwo wystarczyły, żeby powstrzymać to, co z siebie wypuszczał, a przecież mieliśmy tam najlepszych z najlepszych. Od tego czasu minęło dwadzieścia lat, więc uznaliśmy, że *kalehowie* mieli tylko jednego *Abandalakha*.

To było tak cholernie niesprawiedliwe, że gdyby porucznik wybuchnął tu i teraz płaczem, Stanley Kon-Kawawa nie zrugałby go jak psa.

Zwłaszcza że właśnie stracili pierwszą linię – żołnierze na niej nie zdążą się wybudzić, zanim on ich zabije.

Szczęściarze.

Mimo wszystko ktoś musiał tu dowodzić.

— Zawiadomić dowódcę Siódmej i Trzydziestego Drugiego, co na nich idzie. Niech ktoś nawiąże kontakt z dowództwem bombowców strategicznych. I wysłać meldunek do sztabu głównego. I... — Pułkownik zawahał się. — I dajcie znać trzeciej linii. Zabrać stamtąd ludzi, zanim wezmą ogłupiacze. Szalony Koń i Zawisza niech spróbują go zatrzymać tak długo, jak się da.

Jasna Pani pojawiła się jak zwykle poprzedzana muzyką, która łamała mu serce. Walczył ze łzami, najszczęśliwymi łzami bezbrzeżnego wzruszenia, jakie kiedykolwiek popłynęły z oczu śmiertelnika, wreszcie poddał się i zapłakał. Niegodny, niegodny, niegodny, tłuło mu się po głowie wraz ze wzbierającą falą miłości i oddania. Jak można było utrzymać się na nogach wobec takiego cudu?

Zamknął więc oczy i czując na policzkach łzy, padł na kolana, zanim przebrzmiały pierwsze takty.

— Królowo...

Tylko tyle zdołał szepnąć, zanim wrażenie obecności stało się tak wszechobecne, że wiedział, iż Ona już przed nim stoi.

— Rycerzu...

Głos. Ten głos. Jak szept najukochańszej matki, czulej, kochającej, pełnej miłosierdzia. Głos jedynej pani, której warto służyć. Ciałem i duszą.

Otworzył oczy. Unosiła się nad ziemią, ledwo kilka stóp przed nim.

— Rycerzu...

Patrzyła tak, że serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

— Rycerzu — szepnęła jeszcze raz — nadszedł czas.

Zamknął oczy, porażony niezgłębionym smutkiem w Jej głosie.

— Dziś staniesz przeciw największemu mojemu wrogowi, wężowi, któremu moja pięta zgniecie głowę, i jeśli okażesz się godzien, bramy nieba otworzą się przed tobą.

Pochylił tylko twarz, niezdolny do wyrażenia przepelniających go uczuć. Szansa. Nareszcie szansa na odkupienie win. Na zmazanie hańby.

— Pani. Będę twoim mieczem. Będę przedłużeniem Twojej woli i Twego sprawiedliwego gniewu. Będę — na moment brakło mu tchu ze szczęścia — będę pięta, która w Twym imieniu zgniecie wężowi głowę.

Uśmiechnęła się słodko.

— Dobrze, mój rycerzu. A zatem ty i twoi giermkowie staniecie w moim imieniu naprzeciw Nieprzyjaciela. Reszta ustąpi wam miejsca.

Wykonała gest i szeregi ciężkozbrojnych zaczęły się cofać w karnym szyku. Ominął je obojętnym wzrokiem, już się nie liczyły. Rozpościerająca się przed nim rozległa, okryta tumanami pyłu równina Czyścica wypełniała się wojskami piekieł. Pomniejsze demony i sukkuby sunęły już przez nią, wyjąc i wymachując płonącymi ostrzami. Zignorował je, przenosząc wzrok dalej. Tam, gdzie z dymów i siarczanych oparów wylaniała się Bestia. Nieprzyjaciel Świata we własnej osobie.

— Pani, przysięgam na mą nieśmiertelną duszę, że pokonam twego wroga lub polegnę, próbując tego dokonać.

Przysłoniła oczy rękami, składając dłonie do modlitwy, i znikła.

— Siostrze? Czy siostra mnie słyszy?

Głos dobiegł znikąd, przerywając jej *Zdrowaś Maryjo*. Powtarzali je dopiero trzeci raz, ona spokojnie, bez trudu wpadając w odpowiedni rytm, on płacząc się i jękając, z oczami utkwionymi w zegarze odliczającym czas do nadejścia fali *maghostów*. Nie przepadała za zegarami, w takich chwilach bardziej przeszkadzały, niż pomagały, lecz później mogą się okazać jedyną nadzieją. Fala nigdy nie trwała dłużej niż kwadrans, choć zazwyczaj był to najdłuższy kwadrans, jakiego człowiek może doświadczyć w życiu. Dlatego zaczęli już teraz, aby dać się pochłonąć modlitwie, znaleźć w niej oparcie i pomoc. No i oczywiście musiała go czymś zająć. Odmówili *Credo*, *Ojciec nasz* i zbliżali się do końca trzeciego *Zdrowaś Maryjo*, gdy głos znikąd oderwał ją od różańca.

— Siostrze? Proszę podejść do drzwi, to pilne.

Dopiero teraz go poznała. Czarnoskóry sierżant. Mocno, bardzo mocno zdenerwowany. Spokojnie dokończyła *Zdrowaś Maryjo* i uśmiechnęła się do rannego.

— Zaraz wrócę i zaczniemy od nowa, bo sierżant nie da nam spokoju. Powtórz jeszcze raz *Ojciec nasz* i *Chwała Ojcu*. Wrócę, gdy tylko znajdę i zepsuję pewien głośnik.

Wstała i ruszyła do wyjścia. Sierżant musiał ją jakoś lokalizować, bo tym razem jego głos rozległ się tylko w głośniku nad drzwiami.

— Siostrze, odlatujemy. Proszę się szykować do wyjścia. — Poleceniu towarzyszyło sapanie i zgrzyt otwieranych zewnętrznych drzwi.

Zamrugnęła, zaskoczona. Więc jednak przysłali grawa po rannego. A jednak zaryzykowali, żeby nie zostawić ich *maghostom*. Cóż, i tak będzie się za niego modlić. Sięgnęła do blokady, którą pokazał jej Klawenson.

— Dobrze, sierżancie. Proszę otworzyć drzwi, idę po kaprała.

Głośnik zatrzeszczał, potem dobiegło z niego głośne westchnięcie. Zamarła, z dłonią na dźwazku, bo wiedziała, co usłyszy, zanim sierżant otworzył usta.

— On nie poleci, siostrze. Przysłali po nas skoczki.

Skoczki. Małe kilkuosobowe pojazdy desantowo-szturmowe. Gdy odpalały silniki, przeciążenie sięgało dziesięciu g. Używano ich głównie do błyskawicznych kontrataków i szybkiej ewakuacji z

porzucanych rejonów. Nowak nie przeżyłby startu.

Te myśli przepłynęły jej przez głowę jedna za drugą, jak żołnierze defilujący przed trybuną honorową. Oczywiście poprzedzały główny wniosek.

— Przed czym uciekacie?

Zgrzyt ustał.

Koło otwierające drzwi można było zablokować od wewnątrz banalnie prosto. Krótki stalowy trzpień przechodził przez jedną ze szprych i zagłębiał się w niewielkim otworze. Dopóki nie został wyciągnięty, drzwi nie można było otworzyć żadną siłą poza plazmowym palnikiem albo kilkudziesięcioma kilogramami materiałów wybuchowych. Patrzyła na swoją dłoń zaciśniętą na blokadzie, na łańcuszek różańca, trzymany wciąż w tej dłoni, i czekała.

— *Abandalakh* — wyszeptał wreszcie i prawie poczuła jego bezradność. — *Abandalakh* się pojawił i idzie na nas. Fala *maghostów* będzie tu za osiem minut. On za dwie albo trzy godziny. Nie zatrzymamy go sami. Dostaliśmy rozkaz — dodał, nie wiadomo po co. To oczywiste, że dostali rozkaz, inaczej nie ewakuowaliby ostatniej linii obrony.

Abandalakh. Gdy była młodsza, ledwo po złożeniu ślubów, opiekowała się żołnierzami, którzy przeżyli pierwszą bitwę z tym czymś. Wielu nigdy nie doszło do siebie.

Zewnętrzne drzwi ponownie zaskrzybiały, a ona nie mogła oderwać wzroku od dłoni, w której trzymała różaniec. Maleńki srebrny krzyżyk kołysał się hipnotycznie.

— Sierzancie — zaczęła, gdy drzwi zgrzytnęły po raz ostatni i usłyszała kilka ciężkich kroków. Metalowe koło zamykające drzwi drgnęło i zatrzymało się, zablokowane. — Sierzancie — powtórzyła głośniejszym głosem. — Nie skończyłam się modlić.

— Siostró...

— Obiecałam kapralowi, że wrócę i zaczniemy różaniec od nowa. Zostało panu tylko kilka minut, zanim dotrze tu fala. Proszę iść.

— Siostró, dostałem rozkaz...

— A więc nie wykona go pan. Ja, siostra Weronika Amanda Redglowe, w pełni władz umysłowych, z własnej i nieprzymuszonej woli zdecydowałam się zostać na linii frontu, aby zaopiekować się rannym kapralem Edwardem Nowakiem. Odmawiam opuszczenia stanowiska i odblokowania drzwi bunkra — z każdym słowem oddychała swobodniej i głębiej. — To pańskie zabezpieczenie, sierzancie. Na pewno nagrało się na czarną skrzynkę pancerza. Nikt nie będzie miał pretensji.

Szarpięcie niemal wygięło stalowy trzpień.

— To nic nie da. Nie otworzę drzwi. Proszę iść. Czas ucieka.

Przez kilka długich chwil milczał, jakby oczekując, że jednak zmieni zdanie. Wreszcie bez słowa odwrócił się i ruszył do wyjścia. Zdumiało ją, gdy zewnętrzne drzwi zaczęły zgrzytać. Poświęcał bezcenne sekundy, żeby je zamknąć. Uśmiechnęła się.

— Będę się za pana modlić, sierzancie.

Nie odpowiedział. Zresztą nie spodziewała się tego.

— Pierwsza linia padła.

— Straty?

— Ośmiuset sześćdziesięciu ośmiu zabitych. Czteryestu osiemnastu zaginionych. Musashi i wszystkie pustaki.

— Ile czasu go zatrzymali?

— Osiemnaście minut, pięćdziesiąt dwie sekundy.

Obaj, generał i pułkownik, wiedzieli, że to nieprawda. Pierwsza linia zatrzymała *Abandalakha* na mniej niż dwanaście minut. Pozostałe siedem to tylko powolne i systematyczne dorzynanie resztek niezapisanych i masakra wśród otumanionej ogłupiaczami piechoty. Nieszczęście polegało na tym, że żołnierze zażyli narkotyki, zanim zauważono prawdziwe niebezpieczeństwo i nie dało się już ich ewakuować, a bestia sunęła szybciej, niż zwykle poruszali się obcy, i dotarła do linii

umocnień, nim zadziałały wybudzacz. Zamroczeni, pogrążeni w narkotycznych snach żołnierze nie mogli ani uciekać, ani walczyć. Nim zniszczono kamery, cały sztab mógł zobaczyć, co idący tuż za *Abandalakhem kalehowie* robią z ludźmi. Pytanie, czy da się powyrywać kończyny żołnierzowi ubranemu w najnowszy bojowy pancerz, znalazło wreszcie swoją odpowiedź.

Da.

I to tak, że ofiara nie umrze zbyt szybko, bo pancerz będzie robił wszystko, żeby utrzymać swoją zawartość przy życiu.

Sojusz technologii z obłędem.

Fala *maghostów* minęła już drugą linię i zaczęły się procedury wybudzania żołnierzy. Przynajmniej ci zdążą się ewakuować na tyły. Szalony Koń szykował się do swojej ostatniej bitwy.

Potem była jeszcze najbardziej oddalona, trzecia linia i osiemdziesiąt kilometrów za nią – port. Port, który co godzinę zasysał na orbitę setki uchodźców. Ludzie przegrywali wojnę o ten świat, i to przegrywali od wielu lat. Zostało im wszystkiego kilkaset tysięcy kilometrów kwadratowych, resztę zakrywały już chmury. Chmury, których obecność zignorowano dwieście lat temu, gdy planetę odkryto. Chmury, które znikły, rozwiały się jak zły sen, gdy pięćdziesiąt lat później zaczęli lądować pierwsi koloniści. Chmury, które trzydzieści lat temu pojawiły się znikąd, pożerając pewną małą miejscinę i rozlewając się niepowstrzymanie na całą planetę. A spod tych chmur wyłonili się oni, *kalehowie* i ich armie. Nie było żadnego formalnego rozpoczęcia konfliktu, żadnego wypowiedzenia wojny, które dawałoby jakąś nadzieję, bo konflikt formalnie zaczęty można w którymś momencie formalnie zakończyć. Bo żeby wypowiedzieć wojnę, trzeba znaleźć wspólny język, w którym da się to zrobić. Tu nawet nazwę dla obcych wzięto od miejsca, gdzie ich po raz pierwszy spotkano. Nowa Kalehia – górnicza dziura, która przeszła na zawsze do historii ludzkości. Tak jak jej stu trzydziestu dwóch mieszkańców.

Pułkownik Stanley Kon-Kawawa zamknął na chwilę oczy i kciukiem oraz palcem wskazującym nacisnął mocno nasadę nosa. Teorii na temat obcych było mnóstwo, od tych najbardziej oczywistych, że są to rodzimi mieszkańcy planety, którzy ukryli się przed ludźmi, a teraz próbują ją odbić, po takie, które twierdziły, że otwarły się wrota piekieł i nadciąga sam szatan ze swoją armią. Teoria o rodzimym pochodzeniu *kalehów* padła po pobieżnym zbadaniu pierwszych ciał. Mieli po sześć kończyn, w swych pseudochitynowych pancerzach przypominali trzymetrowe skorupiaki, a co najważniejsze, potrzebowali tych pancerzy, żeby przeżyć na powierzchni planety. Bez nich umierali w kilka minut. Więc, do ciężkiej cholery, nie mogli być stąd.

Twierdzenia, że walczą z zastępami upadłych aniołów, pułkownik w ogóle nie brał pod uwagę. I nawet fakt, że fala depresyjna często musiała ustąpić przed modlitwą, czy to był różaniec, recytowanie Tory, czy buddyjskie mantry, guzik go obchodził. Obcy to obcy i można było ich pokonać nawet mimo ich samobójczej taktyki. Zapomnijcie o kreślonych na mapach planach, skomplikowanych strategiach, ustalaniu celów drugo- i trzeciorzędnych. *Kalehowie* po prostu wybierali sobie kawałek frontu i wylewali się zza swoich linii. Nigdy się nie cofali, nigdy nie próbowali manewrów, taktycznych odwrotów czy podstępów. Po prostu parli naprzód i albo udawało się ich wszystkich zabić, albo zdobywali kolejny fragment planety, nad którym po kilku godzinach pojawiały się nieprzebyte chmury, oślepiające wszystkie detektory, które ludzie posiadali. A robili to już tyle razy, że wydawali się mieć nieprzebyte, nieskończone rezerwy. Lecz mimo wszystko udawało się ich od czasu do czasu zatrzymać.

Chyba że mieli po swojej stronie *Abandalakha*. Jeden z poruczników chrząknął.

— Druga linia. — Monitory pokazywały widok z następnej linii okopów. — Fala przeszła, *Abandalakh* dotrze tam za trzydzieści osiem minut, *kalehowie* trzymają się blisko niego, mamy więcej czasu, panie pułkowniku. Wybudzanie piechoty w trakcie.

Dzięki niech będą Bogu pod wszystkimi imionami za to, że obcy najwyraźniej sami byli wrażliwi na falę *maghostów*, pomyślał Kon-Kawawa, patrząc na podnoszące się z ziemi sylwetki. Obcy nigdy nie szli razem z nią, tylko zostawiali sobie co najmniej pięć minut rezerwy. Pięć minut, żeby postawić na nogi ludzi, którzy pogrążeni w narkotycznym odrętwieniu musieli zmagać się z własnymi demonami. Ta zabawa – zamień kogoś w warzywo, a po kwadransie, w kilka chwil przywróć mu funkcje maszyny do walki – robiła żołnierzom z mózgow gąbki. Z nerek, wątroby,

szpiku i innych organów również. Po roku na froncie żaden nie miał szans na zostanie dawcą.

Ani ojcem.

Co właściwie nie miało znaczenia, bo średnia długość życia piechociarza wynosiła trzydzieści sześć dni.

— Skoczki na miejscu. Zaczynamy ewakuację.

Trzecią linię ewakuowano wcześniej, druga musiała poczekać, bo część żołnierzy wzięła już ogłupiacze. Ale wyliczyli, że będą mieli dość czasu, żeby wybudzić i zabrać ludzi w czasie między przejściem fali a przybyciem bestii.

Włączył się głośnik z pokoju dowódcy.

— Status Szalonego Konia? — Głos generała był cichy i spokojny. Albo dostał ze sztabu naprawdę pocieszające wieści, albo walnął kilka głębszych.

— Systemy stabilne. Sytuacja taktyczna rozpoznana. Zaakceptowany poziom ryzyka.

— Plan?

— Obrona obozu. Walka aż do zwycięstwa. On plus dwudziestu dwóch wojowników.

Na mgnienie oka zapanowała cisza. Pułkownik potrzebował tego mgnienia, żeby przypomnieć sobie, co jest nie tak z liczebnością pustaków. Jego dowódca też.

— Widok na lądowisko. — Kon-Kawawa usłyszał znów cichy i spokojny głos starego, brzmiący niby tak samo, a jednak inaczej. Prawie tak, jakby generał ćwiczył właśnie komendę dla plutonu egzekucyjnego.

Niepotrzebnie. Porucznik Malendof, kimkolwiek był wcześniej, już został zredukowany do kilku ochłapów zakrwawionego mięsa. Kapral Hanako – jeśli to był on – tańczył właśnie półnagi wokół leżącego przed transporterem ciała i wymachiwał zakrwawioną saperką. Zdaje się, że owinął sobie jelita porucznika wokół szyi.

— Podgląd z ostatnich dwudziestu minut.

Ekran wypełnił odpalający silniki transportowiec. Tuman dymu zasłonił go na chwilę i wtedy właśnie, jak usłudźnie podpowiedziała pamięć pułkownika, zauważyli *Abandalakha*, a wszystkie monitory wypełniły się bestią.

— Przyspieszcie to. — Spokój i opanowanie generała zaczynały budzić grozę.

Tuman znikł w przyspieszonym tempie. Drzwi kabiny otworzyły się i dwie małe figurki wyskoczyły na lądowisko. Wyglądały prawie śmiesznie, gdy tak biegały tam i z powrotem wokół maszyny, podskakując i wymachując rękami. Wreszcie dopadły do silnika i otworzyły pokrywę.

W tym momencie zegar w rogu ekranu zmienił kolor na czerwony. Przypuszczalny czas przybycia *maghostów*.

Pułkownik mrugnął i jedna z figurek zniknęła mu z oczu. Druga wciąż tkwiła z połową tułowia w silniku. Po spodniach i butach nie dało się rozpoznać stopnia.

Rzut oka na zegar, cztery minuty po przybyciu fali. To było zdumiewające, że mechanik tyle czasu wytrzymał, naprawiając usterkę. Chyba że się modlił jednocześnie. Jego towarzysz, teraz widać było, że to porucznik Malendof, pojawił się, trzymając w ręku ciężką saperkę. Zamach i uderzenie – na kadłubie maszyny pojawia się rysa, nie więcej niż odprysk farby, Loki to bydlę opancerzone jak czołg, byle co go nie zadrasnie. I wtedy kapral wyskakuje spod pokrywy silnika. Znow goniłwa wokół transportowca, jeden biega, waląc saperką w co się da, drugi go ściga, a potem ucieka, uchylając się przed chaotycznie wymierzonymi ciosami. Wszystko w przyspieszonym tempie, ale bez dźwięku, gdyby dodać fortepianowy akompaniament, byłaby z tego niezła slapstickowa komedia. Salwy śmiechu padałyby nawet wtedy, gdy obie figurki zwały się wreszcie w śmiesznym niby-tańcu wokół obściskiwanego spoconymi dłońmi trzonka. Zapewne chichoty umilkłyby dopiero wraz z pierwszą fontanną krwi, tryskającą z boku rozrąbanego potężnym, pełnym furii uderzeniem. A z każdym następnym salwą wypełniałyby coraz to głośniejsze okrzyki grozy. Bo pełzanie, osłanianie głowy kikutem odrąbanej dłoni i ciągnięcie za sobą flaków w ogóle nie jest śmieszne. Nawet oglądane w sześciokrotnym przyspieszeniu.

Gdy kapral owijał sobie szyję jelitami dowódcy, czerwone cyfry pokazywały dziesięć minut, pięćdziesiąt osiem sekund.

— Wystarczy. — Obraz wrócił do pierwotnej pozycji, to znaczy do kaprała tańczącego wokół

krwawych szczątków na lądowisku. — Pułkownikowi Kon-Kawawa, proszę zawiadomić dowódcę odcinka, że sierżant Miller ma wystartować transportowcem i skierować się za trzecią linię na lądowisko Merido. Reszta ewakuacji bez zmian.

Sierżant Miller. Nawiązując łączność z dowódcą drugiej, Stanley Kon-Kawawa mimowolnie zerknął za matową szybę oddzielającą stanowisko generała od reszty sztabu. Ten sukinsyn Mannis jednym okiem obserwował przebieg wydarzeń na lądowisku, a drugim sprawdzał, który z żołnierzy na drugiej linii ma licencję pilota. Bo te nowe pustaki były zbyt cenne, by je porzucić. Ziemia nie przyśle więcej sprzętu, więc nie było mowy o zostawieniu ich na drodze *Abandalakha*.

— I niech ktoś zajmie się kapralem. Szybko.

Tylko tyle. Niech się zajmie. Kon-Kawawa też znał niepisane prawo frontu. Jeśli *maghosty* wyżarły ci mózg i wsadziłeś sobie lufę w usta, byłeś superfacetem. Ale jeśli zacząłeś rozwalać kumpli, to nie ma zmiłuj. Dostajesz kulkę, nawet jeśli fala już przeszła. Pożytku na froncie z ciebie nie będzie, a w porcie nikt nie ma czasu, żeby ewakuować furiatów.

Żegnaj, kapralu Hanako, pomyślał pułkownik, przekazując rozkazy. Dzielny sukinsynu naprawiający silnik nawet wtedy, gdy obce demony gryzły cię w pięty. Mam nadzieję, że ci się udało.

— Siostrze? Słyszałem, że otwierają drzwi.

Popatrzyła na kaprala i od razu wiedziała, że był przekonany, iż do niego nie wróci. Że jakimś dziwnym, żołnierskim instynktem wyczuł, co się święci, i słysząc otwierane drzwi, spodziewał się, że zostawi go tu samego, na pewną śmierć. W oczach miał coś pomiędzy nadzieją a zdumieniem. Dlaczego wróciłaś? pytał wzrokiem, więc powiedziała mu to, co wymyśliła, stojąc przy żelaznym kole i słuchając odchodzącego podoficera.

— Sierżant zaproponował, że jednak przyśle mi tu kogoś, na wszelki wypadek. Ale nie wpuściłam go, choć wspominał coś o sędzie wojennym. Całe szczęście zakonnice mu nie podlegają. — Uśmiechnęła się szeroko i zaraz spoważniała. — Nie potrzebuję tu kogoś w pancerzu i z bronią, komu ogłupiacze mogą nie pomóc.

— Był zły? — Nowak odwzajemnił uśmiech.

— Nie wiem. — Zatrzepotała niewinnie powiekami. — Nie zrozumiałam połowy tego, co do mnie mówił. Co to znaczy „pierdolony pingwin”?

Żołnierz zaśmiał się na całe gardło i jakby ubyło mu lat. Rzuciła okiem na zegar. Trzy minuty. Zaczyna bardzo późno.

— Wystarczy, kapralu. Jesteś gotów?

— Tak. Tak, siostrze.

Przymknęła oczy, zacisnęła dłonie na sznurze różańca.

— Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego Jedynego...

Credo popłynęło z jej ust, a kapral Edward Nowak dołączył po trzecim słowie, już bez jąkania się i przerw. Znała jego dane, był wychowany w rodzinie katolickiej, bardzo przeciętnej, lecz od wybuchu wojny z *kalehami* większość religii przeżyła swoiste odrodzenie. Dla niego skończyło się to zapisaniem do ministrantów – bo wszyscy chłopcy w klasie zostali zapisani – i przyspieszonym bierzmowaniem – bo rodzice wszystkich dzieci wymusili na proboszczu pośpiech. W końcu jeśli można było odeprzeć atak psychoschizoidalny, zwracając się wprost do Boga, to On musiał istnieć i poprowadzi swoje dzieci do zwycięstwa.

Proste jak drut.

— Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... — Pierwsza modlitwa zawsze była dla niej ważna, narzucała rytm całemu różańcowi.

I oczywiście budziła wspomnienia.

Potem odkryto, że fala depresyjna wywoływana jest przez dziwaczne maszyny wojenne *kalehów*, przypominające olbrzymie ślimaki skrzyżowane z parowozami. Mówiło się o

zaburzeniach w pracy płatów skroniowych i potylicznych, o modyfikacji bodźców docierających do śródmózgowia i takie tam bzdety. Bo tak naprawdę nikt nie potrafił przekonująco wyjaśnić, jakim cudem fala przechodzi przez osłony osobistych zbroi, pancerze wozów bojowych, tarcze radiacyjne i mury bunkrów, zdolne przetrwać bliską eksplozję jądrową. Nikt też nie wiedział, dlaczego żołnierze zaczęli mówić na nią „fala *maghostów*”. Ale nazwa była krótka, łatwa do zapamiętania i nośna. Idą *maghosty*, *maghosty* go dopadły. Krótka, zwięzłe i przerażająco. I na pewno lepiej, niż „pustaki musiały go zastrzelić, bo próbował wymordować pół plutonu”, „wrzucił odbezpieczony granat pod pancerz, wrzeszcząc, że musi zabić robactwo, które go oblaźło”, „odgryzł sobie język i uduślił się własną krwią”.

Zaburzenia pracy jednostki centralnej potrafią doprowadzić do takich właśnie skutków. A skoro nie można zapobiec atakowi na nią, to trzeba ją na czas ataku wyłączyć. A jeśli jednostka centralna jest wodnistą breją, trzeba to zrobić farmakologicznie.

Frontowa legenda mówiła, że pierwszym ogłupiaczem była butelka sześćdziesięcioprocentowego bimbru.

Po naukowych objaśnieniach fenomenu fali *maghostów* religijność wśród kolonistów spadła. Żołnierze wciąż nosili krzyżyki na piersi lub zakładali na czoła zielone opaski, ale wojna straciła posmak krucjaty. Stała się najpierw zwykłym dążeniem do pokonania wroga, potem do zatrzymania go, a przez ostatnie kilka lat – walką o choćby szansę ucieczki.

— Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą...

Modlitwa jednak pozostała. Modlitwa, mantra, cytowanie sur Koranu. Niektórzy mówili o wprowadzaniu mózgu w stan zbliżony do fazy NREM, w której *maghosty* nie potrafiły zaburzyć jego pracy. Inni o sile wiary. Mało kto wspominał o desperatach, takich jak ona, siedzących w nieczynnym bunkrze, żeby spróbować pomóc bliźniemu w potrzebie.

Przesunęła koralik w dłoni.

— Zdrowaś Maryjo, łaski pełna...

Nazywali ich posłańcami snu. Ksiądz, dwóch pastorów, trzy zakonnice, rabin i dwóch mułłów. „Oddział religijny” linii Howarda. Dowództwo patrzyło na nich jak na bandę nieszkodliwych szaleńców, którzy uzbrojeni tylko w Biblię, Torę czy Koran, pchają się na front. Ale bywały takie chwile, gdy ktoś musiał zostać z ciężko rannym lub umierającym żołnierzem. Więc ich tolerowano. Nic więcej.

— Zdrowaś Maryjo...

Żołnierz zająknął się i wlepił w nią uważne spojrzenie. Zmrużył oczy, delikatnie napiął mięśnie, jakby sprawdzał, czy da radę zerwać więzy. Czekala na ten moment, z jakichś powodów mężczyźni szybciej od kobiet reagowali na falę *maghostów*. Jak to słabsze umysły – tak zawsze twierdziła siostra Klara.

— ... między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus... — Nie dała mu szansy. Zaakcentowała mocniej słowa, aż ich rytm wciągnął go znów, przypomniał czasy dzieciństwa, gdy jako ministrant odmawiał różaniec przed ołtarzem.

Trzy *Zdrowaś Maryjo*. Trzy prośby. O wiarę, nadzieję i miłość.

— Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

Kapral wziął głęboki oddech, jakby wszystkie te słowa wymówił na jednym tchu. Uśmiechnęła się w myślach. Ważne, żeby nie zobaczył na jej twarzy żadnych emocji, żadnych uczuć, niczego, czemu jego rozdygotany umysł mógłby nadać kształt, na czym mógłby zbudować sprowadzaną przez obcych psychozę.

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Była ciekawa, czy jak będzie po wszystkim, to jej chociaż podziękuje, nie tak, jak ten ostatni, który gdy tylko uwolniła go z pasów, obrócił się na bok, puścił bąka i zasnął. I nie jak ten, który obrzucił ją stekiem wyzwisk, mimo że chwilę wcześniej wzywał jeszcze imienia Pańskiego. I nie tak jak ten, któremu koledzy nie za mocno zapięli pasy, żeby było mu wygodnie. Blizna na ręce zaswędziała ją okropnie i poczuła coś, jakby strumyk gorącej, lepkiej krwi ściekający wzdłuż przedramienia. Spod opuszczonych powiek zlustrowała więzy mężczyzny. Wyglądały bardzo

solidnie, sama je sprawdziła, ale nigdy nie wiadomo...

Kiedyś znalazła ukryty w łóżku nóż.

Widziała, jak oczy kaprała błędzą po jej twarzy i sylwetce, a mięśnie jakby mimowolnie napinają się, testując wytrzymałość pasów. Mimo to usta wypowiadały słowa zapamiętane z dzieciństwa.

— Zdrowaś Maryjo...

Podniosła nieco głos, nic wielkiego, o pół tonu, tyle tylko żeby skupić jego uwagę na modlitwie. Tylko modlitwie.

Maghosty – słudzy szaleństwa, przybywali niezauważalnie, bez trąb i chórów, nawet bez diabelskiego chichotu. Nie ma ich, i nagle są, a wraz z nimi wszystko, czego się boisz. Tylko ty i lęki twoje.

Dzięki Bogu bunkier był dobrze izolowany akustycznie, więc nie słyszeli ryku silników startujących skoczków. Inaczej nie miałyby szans, żeby powstrzymać kaprała od poddania się strachowi. A tak, w błogiej niewiedzy, mogą przetrwać atak.

Po to tylko, żeby zostać żywcem pożarci przez bestię.

Słyszała opowieści o tym, co płaszcz prawdopodobieństwa otaczający *Abandalakha* robił z ludźmi, którzy znaleźli się w jego zasięgu. Ich kości zamieniały się w proszek, krew gotowała w żyłach, skóra odchodziła od ciała lub przeobrażała w dziwną, jakby skamieniałą powłokę, pod którą dusili się, nie mogąc oddychać.

— ... błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus...

Nawet bohaterowie i ich pustaki, wtedy jeszcze strasznie proste maszyny bojowe, podlegali zmianom, jakie zachodziły wokół bestii. Ich pancerze rozpadały się, obwody traciły spójność, broń eksplodowała lub przestawała działać. I nikt nie wiedział, czy to była forma obrony, czy też obcy próbowali zmienić ten świat na zawsze, bo tego potrzebowali do życia.

Wtedy po raz pierwszy pojawiła się teoria, że *kalehowie* pochodzą z alterświata, z miejsca, gdzie panują inne parametry fizyczne. Nic wielkiego – nie znała się na tych wszystkich naukowych mądrościach – ale wystarczy odrobinę zmienić siłę przyciągania między dwoma cząsteczkami, żeby na przykład woda zaczęła się gotować w temperaturze trzydziestu pięciu stopni. Czyli w temperaturze ciała. Rzecz jasna dało się z nimi walczyć, pociski ich rozrywały, lasery przecinały w pół, a plazma paliła, ale ten cały arsenał pozwolił ludziom zyskać tylko trochę czasu. Sama broń, pociski i głowice jądrowe, to było widać za mało.

— Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą...

Ich świat jest inny, ale nie na tyle, żeby nie pokusili się o próbę podbicia tego, pomyślała. I to jest problem nas wszystkich.

Demon nadchodził niespiesznie. Tak niespiesznie, że musiał całą siłą woli powstrzymać się od szarży. Jeśli bestia nie ruszy szybciej, zetrą się najwcześniej za godzinę.

Zamknął oczy, odmawiając po raz kolejny modlitwę dziękczynną. Nie miał innych słów na wyrażenie przepelniającej go radości. Żaden inny rycerz nie dostał tego zaszczytu, by w imieniu Miłosiernej Pani stanąć do walki z największym Jej wrogiem, porazić go mocą świetlistej lancy, rozplątać ognistym mieczem. Żaden.

Tylko on.

Fala skruchy nadeszła gdzieś od strony serca, wraz ze skurczem to serce ściskającym. Pycha, największy wróg każdego rycerza, znów wypełzała z zakamarków duszy i wbijała zatrute zęby w myśli. To przez pychę tu trafił, to pycha – gdy okazało się, że bramy Nieba każdy rycerz, nawet Zawisza z Garbowa, musi przejść na klęczkach – kazał mu żądać – ŻĄDAĆ – wpuszczenia z odstąpieniem od tej zasady.

Pamiętał dobrze, jak brama zamknęła się przed nim, a potem trafił tu, na przedpoła Czyśćca, gdzie w nieustającej wojnie ścierały się siły Nieba i Piekła i gdzie rycerze tacy jak on szukali odkupienia win.

Odmówił kilka *Ojczy nasz*, szukając ukojenia w modlitwie, i rozejrzał się jeszcze raz po przedpolu, wypatrując swoich giermków i strzelców. Byli tam, tak jak rozkazał, żaden nawet nie drgnął, żaden nie okazał strachu. Większość, uzbrojona w kusze i hakownice, czekała, aż wróg znajdzie się w zasięgu strzału; dwóch niosło beczułki prochu, poświęconego przez samą Panią, jeśli będzie okazja, podłożą je pod demona i wysadzą go w powietrze. Reszta szykowała topory i miecze. To byli najlepsi towarzysze, z jakimi kiedykolwiek stawał do walki, odważni, lojalni i zdyscyplinowani. Cóż z tego, że żaden nie nosił pasa, był dumny, że to z nimi przyjdzie mu zmierzyć się z Bestią.

Błysk!

Zielone przedpola Czyścica znikają, a na ich miejsce pojawia się samo Piekło. Czarne niebo, czarna, wypalona i martwa równina, okopy, dziwaczne budowle, rozrzucone tu i ówdzie sterty żelaznych blach, drągów i szpikulców, giermek, na którego patrzy, rozpływa się i zamienia w stalowego potwora, wielkiego i masywnego jak jakiś posąg, jego zbroja wygląda dziwacznie, płyty nie zachodzą na siebie, zasłona na twarzy nie ma wizury, ręce...

Błysk!

— *Maghosty* na trzeciej. Załamanie fali za około osiem minut.

Tu przynajmniej komputery wysiliły się i podały przybliżony czas, pomyślał kwaśno Stanley Kon-Kawawa. Strata mocy obliczeniowej, sam mógł ocenić, kiedy fala się załame. Poza tym taka informacja po przejściu trzeciej linii była psu na budę, równie dobrze mógłby usłyszeć prognozę pogody dla jakiejś ziemskiej wioski.

Patrzył, jak druga linia strzela serią krótkich błysków, gdy skoczki odpalają silniki. Były szybkie, ewakuowały żołnierzy z trzeciej i wróciły po tych z drugiej, zanim *maghosty* przebyły pole śmierci za pierwszymi umocnieniami. Dobra robota pilotów i logistyków pułku transportowego. Setka maszyn wznosiła się jedna za drugą w górę z przyspieszeniem 10 g, a potem zataczając na niebie szerokie łuki, mknęła w stronę punktu koncentracji za trzecią linią. Nikt rozsądny nie zazdrościł żołnierzom rozplaszczonym na podłogach. Pułkownik patrzył, jak skoczki przelatują nad zieloną kropką oznaczającą oddalający się transportowiec. Sierżant Miller nieźle się spisał, w dwie minuty uruchomił silniki i poderwał maszynę z lądowiska, a teraz pełną mocą sunął jak najdalej od *Abandalakha*. No, może tylko on zazdrościł kolegom, bo będą we względnie bezpiecznym miejscu, zanim Loki przeleci połowę odległości między drugą a trzecią linią. Lepiej tracić przytomność przy dziesięciokrotnym przeciążeniu, niż czuć na plecach oddech potwora.

Dwa skoczki eksplodowały bez powodu.

— Mamy przebiecie! Używa płaszczu prawdopodobieństwa!

Pułkownik nie rozpoznał tego przestraszonego głosu, a w tej chwili główny ekran wypełnił się rzutem satelitarnym. Na tym obrazie *Abandalakh* wyglądał jak olbrzymi obwarzanek w kolorze zgniłej szarości, niespójny i kleisty. Pułkownik nie wiedział, dlaczego ten widok kojarzy mu się właśnie z kleistością, może miało to coś wspólnego z tym, że bestia jakby przeciekała z miejsca na miejsce, zamiast uczciwie pełznąć.

— Nałożyć radarowy! — rzucił krótko.

Płaszcz prawdopodobieństwa najlepiej widoczny był na radarach, zmieniał fale elektromagnetyczne, tak że wokół potwora widzieli brudnofioletowy nimb, wirujący powoli i majestatycznie. Miejscami płaszcz miał mniejszą spójność, był jakby rzadszy, więc całość przypominała ramiona cyklonu lub obracającą się galaktykę.

I nagle, na oczach całego sztabu, jedno z ramion wyprostowało się i wyciągnęło przed siebie. Fioletowa macka, wyglądająca teraz jak cieniutka niteczka wysuwająca się z kłębka wełny, wystrzeliła w przód, sięgnęła nad drugą linią umocnień i leciuteńko, pieścotliwie wręcz, musnęła kolejne trzy skoczki.

Ktoś kiedyś powiedział, że te maszyny nie powinny w ogóle latać. Potężne silniki, pracujące zawsze z pełną mocą, o krok od eksplozji, obok nich pusta puszka ładowni, a na samej górze

maleńka kabina, naładowana elektroniką do tego stopnia, że niemal nie było tam miejsca dla pilota. Jeśli zawodziło choć jedno urządzenie, żywot skoczek był skończony – całość nieustannie poddawana była potężnym przeciążeniom, pracując na granicy wytrzymałości ludzi i materiałów. A płaszcz prawdopodobieństwa przeciągnął obwody skoczków poza tę granicę.

Pierwszy eksplodował, drugi rozpadł się na kawałki, trzeci nagle stracił ciąg i runął w dół.

— Rozproszyc się!!! — Pułkownik ryknął to na całe gardło, choć macka już opadała w dół, ku okopom trzeciej linii. Uderzyła w nie kilka razy na oślep i zaczęła się cofać. Skoczki złamały szyk i bezwładnie runęły przed siebie. Byle dalej i szybciej.

— Alarm u Zawiszy. — Ten głos znał, kapitan Klausen, specjalista od pustaków.

— Co się stało?

— Uszkodzenie obwodów kontroli sensorycznej.

— A po ludzku, kapitanie?

— Przez chwilę zobaczył prawdę, panie pułkowniku.

— Kurwa mać! Zablokujcie mu to, do ciężkiej cholery! Co jeszcze pójdzie nie tak?!

Chyba nie powinien dawać upustu swojej frustracji, bo odpowiedź nadeszła szybciej, niż naprawdę tego pragnął. Cofająca się macka skręciła nagle w bok, po czym owinęła wokół Lokiego. Przynajmniej tak to wyglądało na radarach. Maszyną nagle zatrzęsło, silnik – ten, który próbował naprawić kapral Hanako – sypnął iskrami i zadławił się, a ciężki transportowiec przechylił się w bok, tracąc wysokość. Sierżant Miller nie był aż tak dobrym pilotem, żeby utrzymać go w powietrzu na jednym silniku.

Jeżeli jeszcze żył, rzecz jasna.

Ale utrata trzech niezapisanych pustaków i ich części zamiennych nie miała już właściwie żadnego znaczenia. Nie wobec tego, co pokazał właśnie *Abandalakh*.

Głośnik zazgrzytał.

— Rozkazy do dowództwa bombowców strategicznych — głos generała nadal był spokojny i opanowany. — Niech grzeją silniki, ale nie podrywają maszyn. Ustalcie, jak daleko sięgnął polem, bombowce mają się trzymać dziesięć kilometrów poza tą strefą. I...

Zawahał się.

— I jeszcze jedno, pułkowniku Kon-Kawawa. Proszę przesłać do centrum portu hasło „Błękitny Chłopiec”. To wszystko.

Przerażenie może mieć swój własny smak. To truizm, nadużywany na sto sposobów, ale prawdziwy do bólu. Gdy w ustach robi ci się sucho, gdy kubki smakowe informują, że przed chwilą ktoś nakarmił cię parą starych skarpet owiniętych wokół kawałka nieswieżego mięsa, to choćby milion tabletek i zastrzyków utrzymywało cię po właściwej stronie paniki, już wiesz. Twoje ciało, jego pierwotna część, zawsze gotowa do ucieczki lub walki, boi się. I to tak, że gdybyś był zwierzęciem schwytanym w potrzask, odgryzłbyś sobie łapę, byle tylko uciec jak najdalej.

Albo rozbił głowę o ścianę klatki.

Siostra Weronika przełknęła ślinę, usiłując pozbyć się obrzydliwego smaku z podniebienia. Modlitwa pomagała, kolejne *Zdrowaś Maryjo* i *Ojcze nasz* wypływały z jej ust nieprzerwanym strumieniem, modlili się w duecie, on nie odrywając wzroku od jej twarzy, i ona, skupiona na przesuwanych w dłoni koralikach różańca.

Nie podobało jej się to, że kapral tak patrzy. Nieruchomo, niemal nie mrugając, a jego usta mamrocą słowa mechanicznie, zupełnie nieświadomie. Modlitwa bez udziału świadomości, klepana jak jakiś bełkot, który trzeba odbębnić, myśląc o innych rzeczach, jest obrazą dla Pana. Zresztą, o czym on może w tej chwili myśleć? Jak się uwolnić? Są tutaj sami, żadnych świadków, mógłby zrobić, co zechce, zgwałcić, okaleczyć, zamordować, a potem stwierdzić, że to ona poddała się *maghostom* i sama to sobie zrobiła. W przypadku śmierci na linii frontu nikt nie będzie przeprowadzał szczegółowego śledztwa.

Nie teraz.

— ... między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża...

Zaakcentowała mocniej kilka ostatnich słów, po rytmie oddechu kaprała, po sposobie, w jaki leży, starając się dociec, czy modlitwa do niego dociera. Nie drgnął nawet, nie zmienił pozycji, jego usta wciąż mamrotały zdrowaśki. To właśnie robił, zrozumiała nagle, nie modlił się, nie oddawał pod opiekę Matki Boskiej, tylko mamrotał zdrowaśki, mamrotał je bezmyślnie, jak całe stado pseudochrześcijan, tłoczących się co niedzielę przed ołtarzem i uważających, że dziesięć, pięćdziesiąt czy sto odklepanych byle jak modlitw otworzy im bramy Nieba. Nadal nic się nie zmieniło, ludzie sprowadzali religię i wiarę do wizyty w kościele, najlepiej dwa, trzy razy w roku, najlepiej, żeby kazanie było krótkie i zabawne, najlepiej, żeby po spowiedzi ksiądz nie zadawał zbyt ciężkiej, a już Boże broń długiej pokuty. A potem wracamy do swojego życia, kłamstw, zdrad, oszustw i robienia wszystkiego, żeby bliźnim żyło się gorzej. Nawet teraz, nawet gdy rozwarły się bramy piekieł i *kalehowie* ruszyli na podbój świata, niewiele się zmieniło. Początek wojny wypełnił kościoły po brzegi, fakt, że modlitwa może ocalić ci duszę przed *maghostami*, nawrócił więcej niedowiarzków niż objawienia z Fatimy. A potem przyszła nauka, ten nowy bożek, i rozpoczęła własną ewangelizację. To nie demony, tylko obcy, to nie dusza, tylko zaburzenia w funkcjonowaniu mózgu, i wreszcie: to nie wiara, ale działa i automaty bojowe was ocalą.

Wkrótce ostatni ludzie uciekną z tej planety, pokonani na równi przez obcych i własną niewiarę, ale i wtedy nic się nie zmieni. Ludzie nadal będą z przyzwyczajenia klepać zdrowaśki, myśląc o meczu, obiedzie albo kochance.

Tak jak ten tutaj – mimowolnie zerknęła na rannego. Leży i próbuje się modlić, ale na pewno nie wkłada w to serca.

— ... Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Kolejny koralik przesunął się między jej palcami.

Ciekawe, jak długo ten żołnierz jest na froncie? Ile tygodni albo miesięcy. Dochrapał się kaprała, więc na pewno nie pochodzi ze świeżego poboru, choć to akurat nie musiało wiele znaczyć. Teraz żołnierze przeskakiwali czasem po dwa stopnie w ciągu dnia. Wystarczyło, że ich dowódca skończył, podrygując na kolcach *patykołapa*. Z danych wiedziała, że Nowak służył w armii od roku, ale to też nic nie znaczyło, mógł ostatnie jedenaście miesięcy spędzić w intendenturze albo być czymś adiutantem w sztabie, teraz nawet szeregowcy zostawali adiutantami, a do okopów trafił, bo kawa była za zimna albo mundur źle wyprasowany.

Ciekawe, jak długo już jest na froncie? Ile czasu siedzi na ostatniej linii obrony, spędzając osiemdziesiąt procent czasu w pancerzu bojowym, jedząc w nim, śpiąc i odpoczywając. Od jak dawna... to pytanie wreszcie przebiło się na zewnątrz, od jak dawna nie miał kobiety?

Byli tu sami, sami w opuszczonym bunkrze, on – przywiązany do łóżka żołnierz, i ona – zakonnica. Ciekawe, ile filmów dla dorosłych zaczynało się w ten sposób?

Jego prawa ręka przestała napinać pasy, dłoń wsunęła się między materac a ramę łóżka. Zauważyła to spod na wpół opuszczonych rzęs, choć ten ruch był tak ukradkowy, że niemal krzyczał, iż coś jest nie tak. Nie sprawdziła dokładnie łóżka, nie miała na to czasu, a jak zna życie, on na pewno coś sobie zostawił. Nóż? Pistolet? Paralizator?

— Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu... — Zamknęła oczy tak, by uznał, że całkowicie pograżyła się w modlitwie.

Łóżko skrzypnęło inaczej niż do tej pory. Rzuciła się w bok, w stronę najbliższego stolika, ciężka, metalowa taca z lekami była jedyną rzeczą, która nadawała się na broń, środki przeciwbólowe i bandaże sypnęły się na wszystkie strony, zakręciła się na pięcie, unosząc tacę nad głowę, gotowa do ciosu. Wąska krawędź mogła z łatwością złamać kość, a cios w głowę ogłuszyłby każdego mężczyznę.

Patrzył na nią, wytrzeszczając w przerażeniu oczy. Nie w złości, panice czy nienawiści, ale w zwykłym, ludzkim, całkowicie bezbronnym przerażeniu.

— ... jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

Dokończyli razem, a potem on modlił się sam, a ona stała, z tacą wciąż nad głową, gapiąc się

na jego prawą dłoń.

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Różaniec. Kilkadziesiąt białych koralików, nawleczonych na cieniutki, złoty łańcuszek. Widziała go wyraźnie, jakby kołysał się jej tuż przed nosem, koraliki z powycieraną perłową emalią, krzyżyk, na którym postać Jezusa była już tylko niewielkim zgrubieniem, ewidentnie wielokrotnie naprawiany łańcuszek.

— ... bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi, chleba naszego powszedniego...

Przyłączyła się, jakby jakaś siła otworzyła jej usta i wypychając powietrze z płuc, zmusiła do wypowiedzania słów. Różaniec, rodzinna pamiątka, którą – skądś o tym wiedziała – matka lub babka wcisnęła mu na pożegnanie w dłoń. Zapewne wstydził się do tego przyznać, ale trzymał go przy sobie przez cały czas.

A ona omal nie rozbiła mu głowy, gdy po niego sięgnął.

Taca brzęknęła o ziemię, gdy zakonnica padła na kolana, zdjęta niepojętą grozą. To było gorsze nawet od chwili, gdy ten młody chłopak umierał na jej rękach, przeklinając ze wszystkich sił Boga. Zawiodła. Pozwoliła, by jej dusza poddała się podszeptom obcych demonów, by załęgły się w niej wątpliwości. Omal nie zabiła tego żołnierza, omal nie zabiła kogoś, kto tylko chciał się pomodlić.

Co ona tu robi? Myśl dopadła ją, gdy klęczała wśród rozsypanych lekarstw. Co próbuje udowodnić? Że jest lepsza od nowoczesnej medycyny? Że Bóg istnieje, bo modlitwa potrafi dokonać tego, co jest za trudne dla nauki? Że jej wiara, poświęcenie i śluby to coś więcej niż tylko dziwactwa czterdziestokilkuletniej kobiety? Pan nie potrzebuje, żeby jakaś podstarzała fałszywa zakonnica, grzesząca myślami o seksie nawet wtedy, gdy jest o krok od śmierci, brała na siebie ciężar udowadniania Jego istnienia. Opuściła głowę, patrząc na swoje odbicie w wypolerowanej powierzchni tacy. Oto ona, zmarszczki, posiwiałe włosy, oczy z płonącym na dnie tępym fanatyzmem. Tak wygląda służka Pana? Wiara oparta na bezmyślnej afirmacji dogmatów jest mniej warta niż życie w ciągłym grzechu. Gdzie akceptacja własnej niedoskonałości, gdzie zrozumienie, że nigdy nie pojmiemy sami tajemnicy wiary, ale miłosierdzie Boże da nam szansę, jeśli wyjdziemy Mu naprzeciw z czystymi intencjami? Oto ona, stara, bezmyślna dewotka, która wyzywa Boga na pojedynek, zmusza Go do robienia sztuczek, poddaje próbie Jego miłość, jakby miała do tego jakiegokolwiek prawo.

— Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą...

Słowa docierały do niej jakby z oddali, potrzebowała kilku sekund, żeby je rozpoznać. Modlitwa. Różaniec. Są na początku drugiej tajemnicy, zakonnica i żołnierz, a mimo że z jej ust płyną dźwięki, jest jakby obok, jakby jej to nie dotyczyło. Ogarnął ją pusty śmiech, oto cała prawda o życiu Weroniki Amandy Redglowe, żalosnej kobiety, która nie potrafiła znaleźć sobie miejsca w życiu, więc uciekła pod habit. Zakryła się nim jak tarczą, a gdy nadchodzi godzina próby, jej wiara pęka niczym bańka mydlana i nie stać jej na nic więcej niż bezmyślne klepanie zdrowasiek. Klepanie, o które oskarżała tego biednego chłopaka. Prawda wygląda tak, że to nie ona go ratuje, tylko on ratuje ją, gdyby zamilkł, nie dałaby rady, poddałaby się szaleństwu i wyszła z bunkra, szukając śmierci. Ile warte jest jej życie? Co z nim zrobiła?

Pamiętała wyraz twarzy rodziców, gdy oświadczyła, że zaczyna nowicjat. Była jedynaczką, matka nie mogła mieć więcej dzieci, ale oboje z ojcem – wiedziała o tym – liczyli na gromadkę wnucząt. Egoizm decyzji o założeniu habitu złamał im serca. Jej koleżanki ze szkoły powychodziły za mąż, doczekały się dzieci, niektóre zdążyły już opuścić planetę, inne, jak Sara Glumbein, zginęły na pierwszej linii, walcząc z *kalehami*. Ich życie miało sens, poczęły nowe, poświęciły własne, żeby ocalić innych, nie zmarnowały darów Boga na ucieczkę przed ludźmi, odpowiedzialnością i trudami egzystencji. Nie schowały się w zakonie.

— ... teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. Zdrowaś Maryjo...

Coś gorącego popłynęło jej po ręce. Podwinęła rękaw, rany na przedramieniu zaczęły się otwierać, ślady po zębach i paznokciach pękały i krwawiły jak nieme oskarżenie.

Uderzyła go – napłynęło wspomnienie. Uderzyła żołnierza, który był zbyt przerażony, żeby logicznie myśleć, i zaatakował ją w panice. W furii waliła go taboretami po głowie i rękach, a potem po całym ciele. Nigdy nic nie sprawiło jej takiej satysfakcji.

Zerknęła jeszcze raz w dół, na zdeformowane jak w krzywym zwierciadle oblicze. Oto oblicze bestii, małej tchórzliwej kobiety uciekającej przed odpowiedzialnością w ramiona Kościoła, żądającej od Pana, żeby uczynił dla niej cud i katującego rannego żołnierza. Tyłu dobrych, dzielnych ludzi zginęło, walcząc z Obcymi, a ona żyje. Po co? Komu jest potrzebna? Co dała z siebie innym? Ojciec i matka nie doczekali wnuków, zerwała kontakty z przyjaciółmi, żołnierze ginęli, żeby ją ocalić. I po co to wszystko? Co próbuje udowodnić? Jak każdy tchórz, chce przede wszystkim zapewnienia, że tchórzem nie jest, jak każda egoistka pragnie stworzyć fałszywy obraz, w którym gra rolę pełnej poświęcenia kobiety. A to gra pozorów. Ułuda. I teraz, w ostatniej godzinie życia, pora zedrzeć tę pozłotę, pora pierwszy raz stanąć twarzą w twarz z potworem i spojrzeć mu w oczy.

— ... błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. — Jej usta ciągle wymawiały słowa modlitwy, ale nie mogła już oderwać spojrzenia od swojego odbicia na tacy.

A tamte oczy patrzyły na nią spojrzeniem bezdennym jak otchłań kosmosu. Czarne, nieruchome jak oczy gada, ani martwe, ani żywe, z pozbawioną uczuć inteligencją czającą się gdzieś w głębi. Samolubne stworzenie, które miała gdzieś w głowie, które rozsiadło się jej wewnątrz czaszki i kierowało życiem. To ono wybrało dla niej drogę, która była najbezpieczniejsza w świecie ogarniętym wojną – żadnych zobowiązań rodzinnych, żadnego poboru do armii, miłe i bezpieczne schronienie za klasztorną furką. Życie pasożyta.

Nagle je poczuła, nad oczami, tuż za kośćmi czaszki coś lekko się poruszyło. Poczowała to coś w środku, wewnątrz mózgu, i wiedziała już, że obcy robił ma segmentowe ciało, kilkanaście podobnych do pajęczych odnóży i długą, mackowatą ssawkę, która rozdziela się na setki wyrostków, wnikających w najważniejsze części mózgu. Przyłapany na gorącym uczynku, gdy jego władza na chwilę osłabła, próbował zagrzebać się głębiej, wnikać do środka, ukryć się. Miała tylko kilka chwil, żeby go dopaść.

Podniosła tacę i przyjrzała się jej z namysłem. Solidna stal nie powinna się poddać w zetknięciu z czaszką. Jeśli uderzy wystarczająco mocno, kości popękają, potem będzie musiała tylko sięgnąć w głąb i wydobyć robala.

Będzie wolna.

Trzeba uderzyć krawędzią. Mocno.

— Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej! Amen! Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej!! Amen!! Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej!!! Amen!!!

Krzyk przedarł się przez szum, który od jakiegoś czasu narastał jej w uszach. Ktoś krzyczał, nie klepał zdrowasiek, nie modlił się nawet, ale wrzeszczał z całych sił, głosem, jakby obdzierano go ze skóry. Chyba nawet nie nabierał powietrza. Jakby się zaciął i niezdolny do przypomnienia sobie dalszych słów, wyrzaskiwał prośbę o cud. Ona sama przestała się modlić kilka chwil wcześniej, co było niewłaściwe. Modlitwy różańcowej nie powinno się przerywać nawet z powodu pasożyta w głowie. Odszukała wzrokiem tego, który krzyczał, biedny chłopiec patrzył na nią jak na wariatkę i najwyraźniej próbował zerwać więzy. Udało mu się niemal podnieść z łóżka, ale pasy wytrzymały. W ten sposób nie można się modlić.

Uśmiechnęła się.

— Zdrowaś Maryjo — zaczęła powoli, przesuwając kolejny koralik między palcami — łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...

Podążył za nią, pozwolił się prowadzić w modlitwie, a ona kiwała głową przy każdym słowie, jak nauczycielka pomagająca niezbyt rozgarniętemu uczniowi. Załapał. Po chwili modlili się już razem, równomiernie, jednym głosem. Była zadowolona z jego reakcji, z tego, że najwyraźniej ze wszystkich sił starał się oddać swój los w ręce Pana.

Nagle zająknął się, zakrztusił i zamilkł w pół słowa.

Patrzyła zdumiona, jak oczy mu wilgotnieją, a po twarzy ciekną łzy.

— Ja... ja jestem tchórzem, siostró. Bałem się, że zostanę tu sam... bałem się tak, że prawie się zsikałem, a... a potem potrafiłem przypomnieć sobie tylko tę jedną linijkę modlitwy... Żołnierze nie

placzą... nie placzą... nieeee... — Rozszlochał się tak, że pocięło mu z nosa.

Nic nie powiedziała. Nagle ostatnie kilka minut zważyło się jej na głowę, każda emocja, każda brudna, paskudna myśl. Żołnierz, nie biedny chłopiec, tylko żołnierz. A ona siedzi w bunkrze, na opuszczonej linii frontu. *A maghosty...*

Maghosty zawsze najpierw atakują najslabszych.

Już to kiedyś przechodziła, nie jeden i nie dwa razy, ale nigdy tak mocno jak teraz. Zatopienie się w modlitwie zawsze otulało jej umysł gęstym kokonem, który tłumiał głosy szaleństwa i sprawiał, że wydawały się niczym więcej jak cichym szeptem. Lecz dziś...

— ... teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. — Przesunęła następny koralik.

Zapomnij o tym, co było, siostró Weroniko Amando Redglowe, powiedziała sobie cicho. Zapomnij o tym, stara, *bezużyteczna kobieto*. Zapomnij *tchórzliwy pasożycie*. Uśmiechnęła się w myślach – ja już was znam, moje paskudne demony, niejedną raz patrzyłam w te wasze małe, czerwone ślepka. I nie poddam się wam teraz, bo muszę ocalić tego chłopca. Rzuciła okiem na zegar, jeszcze kilka minut.

— ... i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża...

Mimo wszystko się modli, zdążyła pomyśleć, patrząc na poruszające się bezgłośnie usta kaprała. A wtedy Boża pięść uderzyła w bunkier i zmiotła połowę stropu, otwierając go jak konserwę i wypełniając przestrzeń cementowym pyłem.

Ciemność.

Knechci i giermkowie podjęli walkę bez niego. Fala pomniejszych demonów dotarła do ich linii obrony i padła, rażona salwą pocisków. Po niej kolejna i jeszcze jedna. One były nieistotne, to tylko pchły, które trzeba zgnieść, prawdziwy wróg zbliżał się w swoim tempie.

I był olbrzymi. Większy, niż można się było spodziewać na pierwszy rzut oka. Gigantyczny, ciastowaty korpus wyglądający jak skórzany wór pełen walczących ze sobą węży, otoczony smugami trujących wyziewów. To nie będzie łatwa walka, ta bestia nie podda się jednemu ciosowi, tu potrzeba wielu uderzeń miecza, a jedynym skutecznym sposobem może się okazać wysadzenie potwora w powietrze.

Przez głowę przeleciały mu dziesiątki planów, których głównym celem było podłożenie pod nieprzyjaciela beczulek z prochem. Czekał ich szybki atak, być może wielu jego żołnierzy umrze, być może on sam da głowę, ale jeśli choć jedna beczułka znajdzie się przy boku demona, wygrają. A wtedy...

Jedna z wstęg szarego oparu otaczającego monstrum rozwija się nagle i uderza w ich szańce. Dwóch knechtów uskakuje przed nią, ten uzbrojony w kuszę robi to szybciej, trujące wyziewy ledwo go muskają, drugi – z ciężką gizarmą w ręku – jest wolniejszy, miazmaty owijają się wokół niego, wpełzają w szczeliny zbroi, wypełniają otwarte do krzyku usta. W kilka chwil żołnierz sinieje na twarzy, charczy, dławi się i rzezi. Ciało czernieje i odchodzi od kości.

Zawisza odwraca głowę, niezdolny wytrzymać tego widoku. To gorsze niż śmierć od wrzącej smoły. I wtedy cofający się opar traci spistość, konsystencję i rozlewa się trującą mgłą po całym szańcu. Nagle jest wokół niego. Nie oddychać!

Błysk!

Pole bitwy wygląda gorzej niż poprzednio. Płonie. Pali się ziemia, niebo, nawet powietrze, a płomienie mają niezdrową, fioletowoniebieską barwę. Nad ziemią pędzą tysiące maleńkich świetlików, mknących szybciej niż bełt wystrzelony z kuszy; uderzają w przesuwane się powoli ciemne kształty, wyglądające jak wiązki chrustu, kłęby szmat na dziwacznych odnóżach, obrzydliwe stwory, którym przyczepiono jakieś koła i mechanizmy. Wokół wrze walka, potwory płoną, padają trafione świetlikami i lancami ciemnego światła, są rozrywane na strzępy przez potężne eksplozje. Same nie pozostają dłużne, te, które wyglądają jak małe kule o setkach wielołokciowych kolców, wyrzucają te kolce z siebie, a robią to z taką siłą, że szańce drżą od trafień. Inne rzygają czarnymi oparami, pożerającymi wszystko na swojej drodze, jeszcze inne plują

kulami ognia. A naprzeciw tych poczwarów... naprzeciw nich jest okop, w którym kilkanaście żelaznych golemów strzela z dziwacznych rur, miota pociski ciągnące za sobą komicie ogony i zionie smoczym ogniem z dłoni. Piekło walczy z piekłem.

Ogarnia ten widok jednym rzutem oka, krótszym niż uderzenie rozszalałego serca. A potem, choćby nie chciał, pamięć podsuwa mu obraz, który nakłada się na to, co zobaczył. Jego giermkowie i knechci stali na szancku dokładnie w tych miejscach, co monstrualne golemy. Potwory, z którymi walczą stalowe homunkulusy, jeszcze przed chwilą były falą atakujących demonów. Szuka wzrokiem – knecht, który padł, jest tylko kupą powykęczonego metalu, wyglądającego jakby rdzewiał i kruszył się ze starości.

Rycerz zamyka oczy i pada na kolana.

— Pani! Paaaaniii! — krzyczy i milknie od razu, przerażony.

Jego głos... Jego głos!!! Jak rzeźnienie wydobywające się z żelaznego pudła. Unosi ręce przed oczy, wielkie, stalowe dłonie, niepodobne do niczego, co widział wcześniej, z palcami mającymi za dużo stawów, zerka w dół, żelazny napierśnik, nie, nie napierśnik, skądś wie, że to jego ciało, że pod tymi blachami nie bije żywe serce.

Unosi głowę.

Krzyczy.

I wtedy z nieba spada Boża pięść i wali w okop tuż obok. Olbrzymia fala ziemi, blocka, pogiętych fragmentów umocnień unosi się nad nim i połyka go z ohydny młaśnięciem.

Ciemność.

— Straciliśmy Zawiszę! Kurwa! Straciliśmy Zawiszę!

To „kurwa” zasługiwało na nagane z wpisaniem do akt, ale pułkownik nie miał teraz głowy, żeby zwrócić na to uwagę i dochodzić, któremu z poruczników puściły nerwy. Stracili Zawiszę, i tylko to się liczyło. Jego pustaki będą przez jakiś czas walczyć samodzielnie, ale ograniczą się do wykonywania ostatniego rozkazu, czyli utrzymywania pozycji. I utrzymując pozycję, będą padać, jeden po drugim, a gdy zrobi się dziura w ich linii, nie zareagują ani nie spróbują kontrataku. To Zawisza nimi dowodził, to on był centrum taktycznym oddziału. Zakłócenia i chaos walki praktycznie uniemożliwiły wydawanie maszynom skutecznych rozkazów ze sztabu.

— Co się stało?

Generał Mannis po raz drugi tego dnia opuścił swój gabinet, co znaczyło, że sprawy szły gorzej niż źle. Strata bohatera na tym etapie bitwy była dla nich wielkim ciosem. Na trzeciej linii nie mieli już nikogo, kto mógłby przedłużyć opór.

— Dostał się w zasięg płaszcza prawdopodobieństwa, panie generale. A potem w linię uderzył Loki. Tuż obok. Straciliśmy kontakt.

Loki. Przeklęty transportowiec noszący imię przeklętego boga.

— Status?

— Brak danych, panie generale.

— Status Lokiego?

— Brak danych. Ale pewnie poszedł w drzazgi.

Zapadła cisza. Pułkownik kątem oka obserwował starego. Podobnie jak inni.

— „Błękitny chłopiec” nadany? — To było pytanie bezpośrednio do niego.

— Tak jest, panie generale. Sześć minut temu. Czekam na potwierdzenie.

— Dobrze. Łączność z Siódmą i Trzydziestym Drugim?

— Cały czas.

Znów cisza jak makiem zasiał. Wszyscy w sztabie już otwarcie gapili się na generała. Intensywnie, ze śmiertelnym skupieniem na twarzach. Pułkownik Stanley Kon-Kawawa nagle uświadomił sobie, jak to wygląda, dwóch starców, on i dowódca linii Howarda, i kilkanaścioro dzieciaków, niektórzy prosto ze szkoły średniej trafili na czteromiesięczny kurs oficerski, a potem od razu do sztabu. I te dzieciaki gapią się teraz na starego z takim wyrazem oczu, jakby oczekiwały,

że uczyni cud. Że w jakiś magiczny sposób wyciągnie z rękawa całą armię i rzuci ją do ataku, miażdżąc wroga. Że odwróci nieodwracalne, zrobi unik przed nieuniknionym, ocali nas i nasze rodziny.

Był czas, gdy Stanley Kon-Kawawa uważał, że należą mu się generalskie gwiazdki. W tej chwili bardzo się cieszył, że jego marzenie się nie spełniło.

Stary rozejrzał się po sztabie, jakby trafił tu po raz pierwszy. Potem kilkoma szybkimi krokami znalazł się na progu swojego gabinetu.

— Stan, połącz mnie z dowódcą Siódmej i dowódcą Trzydziestego Drugiego. Na cichej linii. I niech bombowce szykują się do startu — rzucił cicho i zamknął drzwi.

Stan... powiedział Stan... nie pułkowniku, jak zawsze przez ostatnie lata.

Boże drogi, już po nas.

Ciemność miała zapach i smak mokrej ziemi, paliwa i rdzy. Ciemność szumiała deszczem, ściekała mokro po ciele i ziębiła członki. Ciemność rozsiadła się jej ciężko na piersi, oblepiła żebra, przycisnęła nogi do ziemi. Wciskała się oleistymi paluchami do oczu, nosa i ust.

Siostra Weronika odchrząknęła, niemrawo i cicho, i dopiero wtedy poczuła nieznośne drapanie w gardle. Rozkaszała się od razu, rżącym, gruźliczym charkotem, wypluwając z ust i gardła ziemię, błoto i kawałki bliżej niezidentyfikowanych substancji. Gardło bolało i piekło, jakby opiała się kwasu.

Ciemność miała kolor, odkryła, gdy ostrożnie uniosła dłoń i starła błoto z twarzy. Szarości i cienie nabrały głębi, wypuściły z siebie zarysy przedmiotów, kształtów i obiektów. Pamięć jeszcze zawodziła, jeszcze odmawiała współpracy, choć podsuwała już obrazy jakiejś grozy, którą najlepiej byłoby zapomnieć.

W końcu nie co dzień budziła się w takich warunkach, leżąc w bloku, blokiem przykryta i próbując blokiem oddychać. Leżąc w... rozbitym bunkrze.

Bunkier. Front. *Maghosty*. *Żołnierz*. *Abandalakh*.

Wspomnienia uderzyły i cofnęły się zaraz, jakby zaskoczone brakiem reakcji. Powinna szarpnąć się i zacząć wrzeszczeć w przerażeniu, ale była po prostu zbyt zmęczona, zbyt wykończona tym, co z jej umysłem próbowały zrobić *maghosty*, żeby teraz jeszcze poddać się strachowi. Na panikę też trzeba mieć siły.

Poświęciła kilka sekund na analizę. Była w rozbitym bunkrze, na linii frontu, przysypana gruzem i błotem. To, co unosiło się nad jej głową, to kawałek zasnutego chmurami nieba, więc uderzenie musiało być potężne, jeśli zerwało strop. Ciemno, wszystkie lampy zgasły, najpewniej zniszczone. Nie mogła się ruszyć. Najwyraźniej to, że przeżyła, wyczerpało limit cudów na ten dzień. Która godzina? Uniosła rękę, rozświetliła na chwilę tarczę zegarka. Potem jeszcze raz, zdumiona. Piętnaście minut, jeśli cyfry nie kłamały – od chwili, gdy spojrzała po raz ostatni na zegar, minął zaledwie kwadrans. A ona czuła się, jakby przeleżała w tym bloku trzy długie noce.

Spojrzała przed siebie. Ściana, podobnie jak sufit, znikła, lecz nie odsłoniła widoku na równinę. Coś w niej tkwiło, coś czarnego i kanciastego. W świetle błyskawicy dostrzegła, że to coś jest rozprute od środka jak gigantyczna konserwa zmasakrowana tęym otwieraczem. To bok jakiejś maszyny, zrozumiała, widząc fragment numeru taktycznego. Czy to ona w nas uderzyła?

Kapral Nowak. Rozejrzała się po pobojowisku. Nie pamiętała, z której strony stało łóżko; wszędzie pełno było kawałków gruzu, jakichś resztek, ziemi i błota. Próbowała unieść się na rękach, ale coś przyciskało jej biodra i nogi do ziemi. Ciężki, betonowy blok, jeśli dobrze go zidentyfikowała, mógł być fragmentem ściany albo stropu, teraz jednak najważniejsze było, czy pod nim ma jeszcze ciało, czy coś, co chirurdzy frontowi określają mianem „odpadków”. Przerwanie rdzenia kręgowego i szok mogły skutecznie odciąć ją od bólu, prawda? Podczas tyłu lat kręcenia się po linii frontu nie takie rzeczy widziała. Złapała za krawędź bloku i naprężyła się, próbując go unieść. Równie dobrze mogłaby chcieć ruszyć z posad planetę.

Uniosła głowę, aby w półmroku zlokalizować żołnierza. Ludzkie oczy to wspaniałe wynalazek

Pana, pomyślała, odnajdując w ciemnościach nowe szczegóły. Rozbite szafki, chyba resztki automechu, ramę łóżka. Wybuch odwrócił je o sto osiemdziesiąt stopni, widziała je więc teraz z boku i...

Kolejna błyskawica rozświetliła niebo tak nagle, że zakonnica zamrugnęła, oślepiąca. Mimo wszystko wewnątrz tego, co zostało z bunkra, wypaliło się jej na siatkówce. Tam, gdzie kiedyś znajdowała się ściana z drzwiami, ziała teraz wielka dziura o poszarpanych krawędziach, druga ściana niemal znikła, wyrwę po niej wypełniała półpłynna masa ziemi i błota, powolną lawiną wdzierająca się do pomieszczenia, powstrzymywana tylko przez to, co kiedyś było chyba wojskowym transportowcem. W boku maszyny ział otwór większy niż drzwi do bunkra, a jej wewnątrz mroczyło się ciemnością grobu. Ktokolwiek przebywał na pokładzie, nie miał szans na przeżycie. Dach... w tej dziurze zmieściłby się skoczek.

No i jeszcze to, co przygniotło jej biodra i nogi. Kawał stropu wielki jak szafa. Bez lewarka nigdy go nie podniesie. Zamrugnęła, usiłując szybko przyzwyczaić wzrok do ciemności. Jeśli dobrze zapamiętała, to po prawej, niemal w zasięgu ręki, miała jakąś przewróconą szafkę. Wciągnęła dłoń w tamtą stronę. Mogła jej dosięgnąć. Jeszcze nie wiedziała, po co jej to potrzebne, ale mogła.

Następny stroboskopowy błysk. Kapral...

Och, chłopcze...

Ból uderzył nagle, jak rażenie prądem. Zassała powietrze i niemal ugryzła się w język. A potem tylko siłą woli powstrzymała się, żeby nie wybuchnąć płaczem. Czowała je, czowała obie nogi i – co było kolejnym cudem – chyba nawet mogła jedną poruszyć.

A więc pod tym blokiem betonu ma jeszcze coś, co jest ludzkim ciałem.

— Siostrze... siostrze...

Szept ledwo przebił się przez szum wiatru. Zamarła, nie dowierzając uszom. Żył?

— Tu... — Musiała odchrząknąć. — Tutaj jestem.

— Gdzie?

— No... gdzieś tutaj. A pan, kapralu?

— No... — Zaśmiał się cicho. — Gdzieś tam. Może siostra do mnie podejść?

Spróbowała ponownie, mrówka usiłująca przesunąć cegłę.

— Jeszcze nie, kapralu — wydyszała. — Ale daj mi kilka lat...

— Co się stało?

— Nic poważnego, kapralu, nic... tylko... coś przygniotło mi nogę...

— Boli? Złamana?

Zaskoczyła ją prawdziwa troska w jego głosie.

— Tak. Nie wiem. Chyba.

— Niech się siostra nie... nie rusza. Co, do cholery, mogło siostrę przygnieść?

Przymknęła oczy. Panie, dodaj mi sił. Jestem po to, by nieść pociechę. Przeszukała pamięć, odtwarzając wygląd pokoju.

— Taka metalowa szafa, kapralu. Duża i ciężka.

— Gdybym tylko nie był przywiązany... Cholera, jeśli ta szafa się przewróciła, oberwaliśmy bardziej, niż myślałem... Mogą... do nas nie dotrzeć zbyt szybko...

— Niech pan tyle nie mówi, kapralu. To może panu zaszkodzić.

— Przeklęty pył — charknął i splunął mokro — chyba mam go wszędzie. Dobrze chociaż, że bunkier wytrzymał.

— Tak. Niech pan nic nie mówi, kapralu. Oszczędza siły.

Na kilka chwil zapadła cisza.

— Siostrze... — Oddech kaprala znów zrobił się ciężki. — Chyba jestem ranny... czuję... krew w ustach... na twarzy... czy siostra mnie widzi?

— Jest za ciemno, kapralu.

Odległy grzmot wdarł się do środka.

— Sły... słyszy siostra? Nasi walą. Artyleria. Albo bombowce... Ale daleko. Pewnie zaraz... otworzą bunkier...

— Skąd pan wie, że zaraz?

Zaśmiał się cicho, radośnie.

— Cywile... Przecież *maghosty* przeszły, prawda? A słysząc tylko artylerię, nie naszych na linii. Więc *kalehowie* nie dotarli tu, bo inaczej bunkier trząsłby się już od hałasu. Wie... wie siostra, jak ryczy taka trzydziestkapiątka?

Tak, przemknęło jej przez głowę, wiem.

— Pew... pewnie właśnie wszyscy się wzbudzają, sierżant rozgląda się już i klnie. On za... zawsze wybudza się pierwszy. He... — Zakaszlał ponownie. — I lepiej nie opieprzać się przy wstawaniu. Eeeee... przepraszam, siostro.

— Nie ma za co, kapralu.

— Nie... nie za to... ja... gdy powiedzieli... dostaniesz zakonnicę... nie zabierzemy cię na tyły, tylko przyślemy ci zakonnicę i będziecie się razem modlić. — Zaśmiał się, nieco histerycznie. — Byłem pewien, że już po mnie. Ale... jestem, przeżyłem falę... Jak przeżyjesz falę, to przeżyjesz wszystko... tak mówią...

Uśmiechnęła się w mrok.

— Może tylko dlatego, kapralu, że coś walnęło w bunkier i straciliśmy przytomność.

Kolejna błyskawica zalała wszystko światłem, po niej trzy następne. Dały jej dość czasu, by zdążyła się dokładnie rozejrzeć. Rozwalone ściany, maszyna, zniszczony sprzęt, blok betonu przyciskający ją do podłogi.

Kapral...

Seria odległych grzmotów wypełniła resztki bunkra głuchym pomrukiem.

— Sły... słyszy siostra? Ale wał. — Zacharczał lepko, flegmowato. — Tfu, czuję krew nawet w gardle. Gdy...bym nie był... przywiązany...

Zamilkł na dłuższą chwilę.

— Światło, potrzebujemy światła.

— Z tym może być problem, kapralu.

— Wiem... wiem...

— Proszę się nie odzywać, kapralu. Oszczędzać siły. To rozkaz.

Nieoczekiwanie zaśmiał się krótko.

— Nie przyjmuję rozkazów... od... pieprzonych pingwinów.

Mimowolnie posłała w ciemność własny uśmiech. Żołnierskie poczucie humoru. Ale posłuchał. Po jakiejś minucie jego charkotliwy oddech wyrównał się, przycichł. Nowak zasnął. Albo stracił przytomność. Tak lepiej. Lepiej siedzieć cicho, nie rozmawiać i nie kaszleć, nie dawać znaku życia.

I, broń Boże, nie świecić.

Może... Może nas nie znajdą.

Pełzł przez piekło, na czworakach, jak pies. Jego dziwaczne dłonie zapadały się w ziemię, oblepiały błotem i czarną mazią. Nie czuł żadnych zapachów, to była pierwsza rzecz, jaką uświadomił sobie po odzyskaniu przytomności. Nie czuł też żadnego smaku, ale przecież musiał mieć usta, bo krzyczał. Gdy tylko wróciła mu świadomość i ujrzał, że piekło go pochłonęło, wydał z siebie dziki, przeciągły wrzask. Dźwięk przyciągnął jakiegoś potwora, bestia podtoczyła się i próbowała nabić go na jedną ze swoich długich pik. Złapał broń, wyrwał i dźgnął w kłębowisko ciemności, które stanowiło centrum demona. Stwór zadygotał i rozpadł się na kawałki, a on rzucił pikę na ziemię i opadł na kolana.

Czy zawiódł? Czy zbyt długo zwlekał z atakiem na Bestię i za karę został wtracony na samo dno piekiel, gdzie demony, które nawet nie mają imion, toczą ze sobą niekończące się zmagania, polując i pożerając się nawzajem? Czy został skazany na wieczne potępienie? To niesprawiedliwe! Gdybyż tylko czymś zawinił! Gdyby czuł strach przed Bestią albo się zawahał... Ale nie, pamiętał doskonale, wróg budził w nim respekt, lecz gotów był stanąć z nim do walki bez trwogi w sercu.

Więc dlaczego trafił tutaj? Dlaczego na jego oczach sukkuby i inny czarci pomiot przybrały postać osobliwych monstrów, a knechci i giermkowie zmienili się w żelazne golemy, mające w

miejscu twarzy maski z ledwo wydziobanymi otworami na oczy i usta?

Dlaczego...

Dlaczego pełźnie teraz na czworakach, jak najędzniejszy zwierz, zamiast podnieść się i dotknąć swojej twarzy? Czy boi się, że palce natrafią na podobną maskę? Czy boi się, że jeśli spróbuje poszukać zapięcia, aby ją zdjąć, to go nie znajdzie? Będzie się tylko miotał po piekle jak jakiś szalony derwisz, krzycząc i obmacując głowę i twarz.

Czy jest tylko jeszcze jednym żelaznym golemem?

Przeszył go dreszcz.

Nie potrafił odwrócić się i spojrzeć za siebie. Bestia tam była, ledwo milę od niego, może bliżej, olbrzymia jak zamek, przycupnęła w otoczeniu swojego dworu i chłostała nieszczęsną ziemię mglistymi biczami, pod których dotknięciem resztki żelaznych machin rozpadały się w pył lub topiły jak wosk. Kłębiące się u jej stóp stwory nie ruszały naprzód, jakby na coś czekały.

Nie miał broni.

Schronienie, trzeba poszukać schronienia.

Przed nim wznosiły się jakieś zabudowania. Kilkadziesiąt kroków, ocenił od razu, jama w ziemi, jakieś żelazne blachy, resztki murów.

I wtedy chmury zapłonęły. Z góry, z płomiennymi mieczami skierowanymi ku ziemi, spadały anioły. Jakby niebiosa zapłakały ognistymi łzami.

Przystanął, zbyt zdumiony, żeby cokolwiek zrobić.

Rozdzierający powietrze ryk wyrwał żołnierza z płytkiego snu.

— Arty... leria — wymamrotał. — Ależ wałą.

— Tak, kapralu — odpowiedziała Weronika. — Wałą jak rzadko. Koncertowo.

Niebo w dziurze zapłonęło jaskrawym światłem. Jakby spalała się cała góra magnezji. Chwilę potem doszedł ją grzmot potężnych silników. Skoczki, pomyślała, skoczki lądują. Jednak próbujemy zabić bestię.

On też je rozpoznał.

— Skoczki. Słyszysz siostra? Skoczki... kont... kontratakujemy. Zepchniemy ich... do dziury... z której... wyszli... jak ja... chciałbym tam...

Urwał w pół słowa, gubiąc gdzieś oddech. Odzyskał go na chwilę, znów ucichł, kaszlnął dziwnie i zacharczał mokro.

I cisza.

Góra magnezji zapłonęła wprost nad ich schronieniem na wystarczająco długi czas, by zakonnica mogła mu się dokładnie przyjrzeć.

— Och... ja... Dobranoc... dobranoc, sierzancie Nowak.

Siódma Dywizja Pancerna, Trzydziesty Drugi Pułk Grenadierów i oddziały zebrane z drugiej i trzeciej linii lądowały zgodnie z jednym z planów taktycznych przygotowanych dwadzieścia lat temu na taką właśnie ewentualność. Z drugiej strony i tak nie mieli innego wyjścia. Uwzględniając siły, jakimi dysponowali, „lądowanie na głowie” stanowiło jedyne sensowne rozwiązanie.

„Lądowanie na głowie”. Taktyka przygotowana na wypadek ataku niewielkich sił na *Abandalakha*. Mówiąc krótko, zamiast wielogodzinnego ostrzału artyleryjskiego, raketowego i bombardowania, szybki desant w odległości nie większej niż kilometr od celu i bezpośredni szturm. Prawdopodobieństwo powodzenia mniej niż osiem procent. Plan opracowano raczej jako element ćwiczenia intelektualnego niż rzeczywistej strategii przeznaczonej do zastosowania w polu, a teraz te osiem procent to było wszystko, co im pozostało. Albo nawet i mniej.

Obserwowali atak na głównym taktycznym. *Abandalakh* rozsiadł się tuż przed resztkami trzeciej linii, zgniły obwarzanek, kupa kompostu, wrzód otoczony ropiejącą, wypełnioną

robactwem tkanką. Płaszcz prawdopodobieństwa podciągnął pod siebie tak, że na radarach nie pozostało po nim żadne echo. Czekał. Skurwysyn czekał na ich ruch.

Najpierw lądowały skoczki, setki maszyn jednocześnie otoczyły centrum zgnilizny pierścieniem ognia. Desantowce przysiadły na ogonach, wyrzuciły piechotę i poderwały się w powietrze. Pół minuty po nich transportowce Loki i Thor wypuściły z kanciastych brzuszysk czołgi, ciężkie wozy bojowe i pustaki, po czym, rzygając ogniem z silników, pomknęły w niebo.

I cisza.

Żołnierze zalegli w okopach i lejach, przytulili się do zmasakrowanej ziemi, maszyny rozpełzły się po przedpolu, zajmując pozycje, a obcy zachowywali się, jakby niczego nie dostrzegali. Bestia tkwiła nieruchomo, otaczając ją *paschodery*, *migoracze* i *patykołapy* zajmowały się najwyraźniej własnymi sprawami, jakiegokolwiek one były.

Pułkownik obserwował wroga w milczeniu, przygryzając wargi. Skurwysyn. Dziwny dziwnością koszmarnego snu, nielogiczny, nieprzewidywalny. Niszczył ich bez wysiłku, jak dzieci, gdy próbowali uciekać, strącał skoczki z nieba pacnięciami widmowej łapy, a teraz siedzi i czeka, jakby lądowanie kilku tysięcy żołnierzy pod bokiem nic go nie obchodziło.

Naszła go głupia myśl – może to nie inwazja? Może wróg w ogóle nie jest inteligentny? Może walczymy z gigantycznymi czerwonymi mrówkami, dla których wszechświat to dżungla, którą przemierzają, pożerając po drodze wszystko, co znajdują? A może to samodzielny system terra... a raczej alienformujący, wysłany przodem przez przyjaznych i miłych Obcych, którzy nawet nie wiedzą, że nas zabijają? Może, kurwa, wykrwawiamy się, walcząc z automatyczną glebogryzarką.

Wszystkie oddziały bez jednego wystrzału zajęły pozycje wokół nieprzyjaciela. Kon-Kawawa rzucił okiem na zegar i połączył się z dowódcą.

— Siódma i Trzydziesty Drugi na miejscu, panie generale.

— Niech zaczynają.

— Rozkaz.

Taktyczny rozbłysł pierwszą plazmową kulą.

Modliła się. Nic więcej nie mogła zrobić, leżąc przywalona kawałem allubetonu, lecz prawdę mówiąc, nawet gdyby była w pełni sprawna, też nie mogłaby zrobić nic innego. Skończyły się czasy, gdy bohaterskie kobiety biegały po polach bitew, niosąc wodę i opatrując rany. Podmuch plazmowych eksplozji spaliłby ją na popiół z setek metrów, tylko pancerze dawały żołnierzom jakakolwiek szansę, a jeśli któryś piechur padał, trzeba było mięśni wspomaganych egzoszkieletem, żeby go choćby przewrócić na plecy. To nie była wojna dla małych zakonnicek.

Więc po prostu się modliła.

Błysk i żar pierwszej eksplozji zaskoczył ją. Wpadł do bunkra, natychmiast wysuszył powietrze, przyjemne ciepło w mgnieniu oka zmieniło się w nieznośny gorąc. Umilkła w pół słowa, zasłaniając twarz dłońmi. Skóra zapiekła. Panie! Czego oni tam używają?

Prawdziwe piekło rozpętało się dopiero po chwili. Ryk eksplozji, wystrzały z ciężkich dział, wściekły jazgot lżejszej broni, stłumiony syk płomieni i buczenie ogniów energetycznych laserów taktycznych. Siostra Weronika miała wrażenie, że cała armia okopała się wokół bunkra i odpiera dziki szturm. Momentalnie ogłuchła, a fale żaru przepływające przez rozłupany bunkier odbierały oddech i paliły skórę. Schowała dłonie w rękawy i zasłoniła twarz, ale to niewiele pomogło.

Modliła się.

I wtedy nagle zobaczyła wszystkie dźwięki. Łoskot bitwy zmienił się w orgię kolorów tańczących przed nią i wewnątrz niej, a olbrzymi ciężar wciskający jej ciało w posadzkę prawie znikł. Żar rozbrzmiał śpiewem ptaków i stał się niemal delikatną pieszczotą. Na jej oczach resztki jednej z metalowych szafek stopiły się i spłynęły na podłogę. Nie mogła oddychać...

To już? Umieram...? Panie, nie jestem godna...

Wszystko znikło, tak jak się pojawiło, w pół uderzenia serca. Nabrała haust powietrza, cudowny, nieskończenie długi, aż zakreśliło jej się w głowie. Jakby oddychała ambrosją.

Co się stało?

Płaszcz prawdopodobieństwa, zrozumiała. Coś takiego działo się, gdy Bestia używała swojej najpotężniejszej broni. Coś się zmieniało w ludziach i wokół nich, nagle słyszeli oczami i widzieli węchem. I umierali, dusząc się, płonąc, wyrzuając rozpuszczone wnętrzności, zamieniając się w skórzane worki, wypełnione krwią i sproszkowanymi kośćmi. Jedyna broń Obcych, przeciw której nie mieli żadnego sposobu obrony. Żaden pancierz, żaden mur, żaden ogłupiacz nie ochroni cię przed czymś, co zmienia samą naturę rzeczywistości.

Och... biedni chłopcy.

Modliła się.

— Ja pierdolę!!!

— Nadchodzą! Nadchooodząą!!! Czołgi! Kurwa, gdzie czołgi!!!

— Nie mogę...

— Wal! Wal!! Waaaaaaal!!!

— Boże Święty! Nic nie widzę!

— Kapralu Wergsen, laser obok tego transportera. Już!

— Nie mogę...

— No chodźcie! Skurwysyny! Chodźcie! Chcecie?! To dla was! Aaaaaaaa...

— Czwartą pluton. Czwartą pluton, odezwiście się. Porucznik Semerski do czwartego plutonu.

Ktoś mnie słyszy?

— Nie mogę... się... ruszyć... Nie mogę się ruszyć! Nie mogę się ruszyyyyć!!!

— WA 17. Raport o uszkodzeniach... możesz się przemieszczać? Strzelać? Poruszać dłońmi?

Dobrze. Trzymaj. Gdy zbliżą się na piętnaście metrów, zdetonujesz ładunek. Potwierdź... Dobrze.

— Poruczniku Banirow... Karl... nie mam kogo wam posłać... słyszysz? Przykrył nas płaszczem... słyszysz? Karl... z plutonu zostałem sam... Karl... pancierz się zaciął... Karl... jesteście sami... nie będzie wsparcia...

— Nie mogę się ruszać... to nie pancierz... jak nas załatwił płaszczem, coś się stało... ze mną... zęby mi wypadają... nie czuję... nic... widzę ich... sto metrów... jeden toczy się prosto na mnie... jest coraz bliżej, on...

— Dwunastka, połączcie ogień w kwadracie 3B. Powtarzam, 3B. Tak... tak... Lecą. Nie... nie ma eksplozji. Powtarzam. Pociski nie wybuchły. Spróbujcie wymienić zapalniki...

— Palę się. Słyszycie? Palę się, a nie boli. Jezus Maria, słyszycie? Nic nie boli. Tylko dym czuję...

— Wycofaj ludzi! Menes, wycofaj ludzi! Zaraz was odetną!

Głośniki trzeszczały komunikatami, rozkazami, wołaniem o pomoc, jazgotem broni i eksplozjami. Land Warrior VI, najlepszy, najskuteczniejszy i najszybszy system dowodzenia, pozwalający sztabowi obserwować wydarzenia na polu walki i wydawać żołnierzom rozkazy w czasie rzeczywistym.

Albo tylko patrzeć, jak umierają.

Abandalakh uderzył płaszczem prawdopodobieństwa osiem minut po ich pierwszym strzale. Przez ten czas żołnierze zdążyli zbliżyć się do niego na pięćset metrów, waląc ze wszystkiego, co mieli, i przez chwilę, przez jedną, króciutką, boleśnie głupią chwilę pułkownik Stanley Kon-Kawawa miał nadzieję, że im się uda. Że bestia *kalehów* wyczerpała jakieś „baterie” albo potrzebuje czasu, żeby naprawić uszkodzenia, więc dadzą radę wysadzić ją w powietrze.

A potem płaszcz rozłożył się na dobre trzy kilometry wokół potwora. Na nie więcej niż kilkadziesiąt sekund, lecz tym razem nie przypominał wirującej rozgwiazdy. Radary pokazały jednolity bąbel zgnitego fioletu, który w mgnieniu oka wypełnił przestrzeń i pochłoniął wszystkie

oddziały.

Gdy go cofnął, Siódma i Trzydziesty Drugi przestały istnieć. Ci, którzy mieli wielkie szczęście, umarli szybko, ci, którzy mieli zwykle szczęście, wyszli bez szwanku, reszta konała powoli, gdy skóra odchodziła od ciała, skryzalizowane kości przecinały ciało albo krew przestawała przenosić tlen. Połowa pancerzy osobistych odmówiła posłuszeństwa, na szczęście w większości przypadków ich użytkownicy już nie żyli. Niewiele było gorszych rzeczy niż tkwienie w skamieniałej skorupie i czekanie, aż *patykołap* nabije cię na którąś z pik. To samo działo się ze sprzętem. Pułkownik miał na swoim ekranie aktualizowane na bieżąco dane. Stracili łączność niemal ze wszystkimi czołgami, tylko na wschodnim krańcu pola pozostało kilka maszyn, padła większość wozów bojowych i pustaków. Artyleria – moździerz i działa – nawet jeśli wciąż była w stanie strzelać, to pociski wybuchały w lufach, w powietrzu lub nie wybuchały wcale. Przegrali w niespełna dziesięć minut od wylądowania.

W sztabie panowało zamieszanie, wszyscy krzyczeli, wymachiwali rękoma, ktoś się głośno modlił, któryś z młodszych oficerów ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się jak dziecko. Pułkownik Stanley Kon-Kawawa patrzył na to, a w gardle rosła mu gorzka kula.

Zerwał się z krzesła z takim impetem, że poleciało ono pod ścianę. Dopadł w kilku krokach szlochającego porucznika, jednym szarpnięciem postawił na nogi i uniósł go w górę, trzasnął o wielki ekran taktyczny, aż przez obraz poszły fale zakłóceń.

— Cisza!!!

Nie sądził, że potrafi tak wrzasnąć.

— Poruczniku Nox, ty żaloszny, pierdolony bękarcie. Oni tam giną, nie mają łączności i nie wiedzą, co się dzieje, a my jesteśmy jedynym, co im zostało. Jeszcze raz zobaczę, jak płaczesz, a osobiście rozwalę ci łeb. Rozumiesz?!

Przyłożył mężczyźnie pistolet do głowy.

— Zrozumiałeś!!!

Wszyscy zamarli, niektórzy w dość dziwacznych pozach.

— Majison, uruchomisz łączność. Niech wszyscy, którzy dadzą radę, wycofują się na zachód. Kenowski, wytypuj najlepsze tereny na lądowiska dla skoczków, rozproszone, żeby nie załatwił ich jednym machnięciem. Poruczniku Chou Li, dane o wszystkich sprawnych pustakach, automatycznych stanowiskach i czołgach. Losert, artyleria, co zostało i ile ma jeszcze amunicji. Płaszcz nie zniszczył wszystkiego. — Kon-Kawawa puścił wreszcie porucznika. — A ty, wysmarkaj nos i sprawdź, co z transportowcami ciężkiego sprzętu. Ruszać się!

Sztab ożył. Pułkownik wrócił na miejsce, postawił krzesło, założył słuchawki.

— Dobra robota Stanley — usłyszał.

— Dziękuję, panie generale.

— Gdzie bombowce?

— Sto kilometrów od *Abandalakha*, panie generale. Czekają.

Cisza. Stary od godziny nie wyszedł ze swojego biura.

— A port?

— Potwierdzili „Błękitnego chłopca”. Dowódca obrony portu stwierdził, że wykona rozkaz, dopiero jak zobaczy białka ślepi pierwszego *kaleha*.

„Błękitny chłopiec” – rozkaz wysadzenia w powietrze wszystkich urządzeń portu, a zwłaszcza windy orbitalnej. *Kalehowie* jak do tej pory nigdy nie wykazali najmniejszego zainteresowania odrywaniem się od powierzchni planety. Nie posiadali żadnych maszyn latających, nawet najprymitywniejszych, jak balony czy szybowce. Ale na Ziemi ktoś miał obsesję na punkcie Obcych zdobywających windę i ruszających w przestrzeń. Gdy ten port padnie, zostaną im jeszcze dwa, w odległości stu pięćdziesięciu i dwustu kilometrów. Nigdy nie wydadzą stąd wszystkich ludzi.

— Niech będzie. Ile zostało sprawnych pustaków?

— Wylądowali z sześćdziesięcioma, teraz, zgodnie z odczytem, jest tylko jedenaście... nie, już dziesięć. I tylko pięć może się poruszać.

Nie wiedział, po co to mówi, stary miał przecież własny ekran taktyczny.

- Dobrze. Połączcie się z nimi i uruchomcie „Chwałę bohaterów”.
- Rozkaz.
- Jak tylko wycofamy ludzi, bombardujemy wszystkim, co mamy.
- Tak jest!

Kon-Kawawa oderwał się od ekranu, rzucając krótkie rozkazy. Wszystkim, co mamy. Chodziły plotki o czterech stumegatonowych głowicach, przysłanych na taką okazję specjalnie z Ziemi. Jeśli którakolwiek eksploduje choćby dziesięć kilometrów od *Abandalakha*, nawet płaszcz prawdopodobieństwa mu nie pomoże. Ale fala uderzeniowa może uszkodzić windę w porcie, pomyślał pułkownik. Odcinamy linę, na której wisimy, żeby zabić potwora, który wczepił nam się w pięty.

Gdy tylko znikł płaszcz prawdopodobieństwa, eksplozje, huk dział i serie broni maszynowej niemal zupełnie umilkły. Odetchnęła kilka razy głębiej, ciesząc się smakiem powietrza. Kto by pomyślał, że pył, błoto, rozlane paliwo i spalenizna mogą utworzyć tak wspaniały bukiet? Przymknęła oczy i uśmiechnęła się z bólem, gdy odpychana od jakiegoś czasu myśl wypełzła na wierzch.

Wygrał, prawda? Bestia zwyciężyła ich jednym ruchem, jakby zmiatała bandę mrówek, która przyplątała się do jej piknikowego koszyka. Resztki sił, które trzymaliśmy na czarną godzinę, wystarczyły na mniej niż kwadrans.

Coś huknęło metalicznie, zazgrzytało i uderzyło o posadzkę. Przyszli, przyszli po mnie... Zamknęła oczy. Panie, dodaj mi sił.

Potężne szarpnięcie odrzuciło przygniatający ją kawał stropu na bok i nagle ona sama także znalazła się w powietrzu. Uderzenie plecami o ścianę było jak upadek z kilku metrów na ziemię. Jęknęła i otworzyła powieki.

Kanciasta maska z ledwo zaznaczonymi otworami imitującymi oczy tkwiła kilkanaście centymetrów od jej twarzy, a pancerna pięść trzymała za habit na piersi i powoli wgniatała w zimny allubeton. Rozpoznała znak wymalowany na pancerzu. Zawisza. Przeżył?

— Powiedz mi — zahuczało z głębi maski — siostró, bo przecież jesteś siostrą zakonną, choć nie rozpoznaję barw, kim jestem? Czy jestem Zawiszą z Garbowa, herbu Sulima? Starostą kruszwickim? Kim są te demony na zewnątrz, monstra ze snu? Czy to jakaś próba? Test, któremu poddaje mnie Najświętsza Pani? Co się stało z moimi knechtami? Kim są ci, którzy spadali z nieba, żeby walczyć z bestiami? Co się tu dzieje, na litość boską?

Och, maszyna wzywa imienia pańskiego, a tylu ludzi zapomniało już, jak to robić. Uśmiechnęła się przelotnie.

Pięść wielkości jej głowy huknęła w ścianę, zagłębiając się w niej na dobre pół centymetra. Płaszcz musiał zmienić właściwości allubetonu.

— Nie drwij ze mnie, niewiasto. — Szarpnął i uniósł ją wyżej. — Nie drwij ze mnie, bo przysięgam na...

Zawahał się, zaciął, potrząsnął nią jak szmacianą lalką.

— ... przysięgam na... Co się dzieje?

Żelazne palce rozluźniły chwyt i siostra Weronika klapnęła ciężko na podłogę. Ból zmasakrowanych nóg eksplodował, zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć. Złapał ją znów za gardło, podniósł z powrotem, ścisnął.

— Co się ze mną dzieje? Co... mi zrobiłaś...

Dłoń miał tak wielką, że czuła, jak palce stykają mu się na jej karku. A potem nagle nie mogła nabrać tchu, serce załomotało, przed oczami zatańczyły czarne plamy, a ból poharatanych nóg gdzieś znikł. Liczyła się tylko żelazna obręcz na gardle.

— ... dlaczego... — dźwięczące metalem słowa dochodziły jak zza ściany — ...czego słyszę w głowie głosy... kim jest ten, który do mnie przemawia... co się dzieje...

Zdołała otworzyć usta i wydać cichy pisk. Przez ćmiącą oczy ciemność dostrzegła, jak unosi

drugą rękę.

I nagle porwał ją wir.

Skoczki krążyły wokół *Abandalakha*, szykując się do ostatniej misji. Miały wylądować jednocześnie, zabrać resztki piechoty i uciekać ile mocy w silnikach. Jeśli potwór rozwinie płaszczyznę, żaden nie oderwie się od ziemi. Bombowce zataczały powolny krąg osiemdziesiąt kilometrów od bestii. Trzy razy dalej niż przypuszczalny zasięg jej macek.

— „Chwała bohaterów” aktywowana, panie pułkowniku. Ocalałe pustaki pobierają osobowości.

Do tej pory nie przeprowadzono nawet wiarygodnej symulacji, jak pustaki z quasi-osobowościami różnych dowódców będą współdziałały na polu bitwy. Najlepiej sprawdzał się wariant: jeden bohater plus kilkanaście zwykłych, niezapisanych automatów. „Chwała bohaterów” była strategią równie rozpaczliwą, jak „Lądowanie na głowie”.

— Czyje?

— Leonidas, Roland...

— Rozumiem. Bohaterowie ostatnich bitew i odwrotów. Daj im pierwszeństwo dostępu do łączności. Gdy skoczki zaczną lądować, niech ruszą na *Abandalakha*, skupią na sobie jego uwagę. Gdy tylko wyciągniemy stamtąd ludzi...

Wszystkie ekrany zamigotały i zgasły. Na chwilę w bunkrze zapanowała całkowita ciemność, potem, zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć, system zrestartował.

— Co to jest?!

— Jak...?!

— Co za sukinyń!

— Andrew, spróbuj rezerwowego...

Wnętrze bunkra wypełniły okrzyki i dobre rady fruujące z kąta w kąt. Stanley Kon-Kawawa miał wrażenie, że ta banda dzieciaków znów o nim zapomniała.

— Meldować! — huknął wreszcie. — Co się dzieje?!

— Coś nas ssie, panie pułkowniku!

— Słucham?

— Coś ściąga mnóstwo danych z głównego serwera! Taktycznych i strategicznych. Informacje o sprzęcie, ludziach, *kalehach*! Dane z osobistych pancerzy, kody łączności do Land Warriora. Wszystko!

— Kurważ mać! — Obcy od chwili ujawnienia obecności na planecie jeszcze nigdy nie próbowali zhakować żadnej sieci informatycznej. Ani wojskowej, ani cywilnej. — Zablokujcie to!

— Próbuujemy, ale dopóki system się nie uruchomi do końca, nie damy rady.

— Wyłączyć serwer!

— Zostaniemy bez łączności i danych z powierzchni.

— To bez znaczenia... to...

To my mamy koordynować wycofanie resztek żołnierzy. Bez kontaktu z polem bitwy wszyscy tam zginą.

— Awaryjna łączność?

— Nie w tej chwili, panie pułkowniku.

— Ko... koniec. Skończył ssanie, panie pułkowniku. Teraz przymierza osobowości.

— Co robi??

— Przymierza. Pobiera i odrzuca, pobiera i odrzuca... Jakby szukał... I... przestał... eee, panie pułkowniku, ale nic nie pobrał.

— Kto?

— Nie... nie wiem. Nie mam danych identyfikacyjnych.

Stalowa pięść grzmotnęła o ścianę tuż przy jej twarzy. Poczowała na policzku podmuch.

— Nic nie powiesz...

Zdumiewające, ale miała wrażenie, że słyszy jego oddech. Wściekle, rozpaczliwe dyszenie wydobywające się zza maski. Chociaż może to był jej oddech. Powoli traciła czucie w całym ciele.

— A więc umrzesz.

Zamachnął się z potworną siłą. Zgrzytnęło, gdy jego ręka napotkała opór.

— Nie — powiedziała. — Nie wolno ci.

Siłował się chwilę z niewidocznymi pętami, zastygły w kształcie abstrakcyjnej rzeźby. Przemoc, tak, porachowanie komuś kości, by oprzytomniał, opanował strach, owszem, ale zabójstwo, nie. Jego oprogramowanie jeszcze działało.

— Postaw mnie, powoli.

Oderwał ją od ściany i opuścił. Nie czuła już bólu nóg, ale to akurat jej nie dziwiło. Z tego miejsca wydawał się jeszcze potężniejszy niż przed chwilą, góra czarnego żelaza wysoka na przeszło dwa i pół metra, szeroka na półtora, ważąca ponad trzysta kilo. W założeniu miał mieć możliwość wygrania starcia wręcz z *patykołapem* albo strzelania z przeciwpancernej trzydziestki w pozycji stojącej. W praktyce takie rozmiary sprawiały sporo problemów logistycznych, bo humanoidalny automat tej wielkości ledwo mieścił się w ładowni skoczka, o przeciętnym transporterze nie wspominając. Najpotężniejsi żołnierze w pełnych pancerzach byli o dobre trzydzieści centymetrów niżsi. Plotki głosiły, że następna, projektowana już na Ziemi generacja automatów bojowych miała być mniejsza, lżejsza i na tyle zbliżona proporcjami do ludzi, by mogła używać standardowych zbroi piechoty.

Siostra podeszła do łóżka. Kapral Nowak wyglądał niemal jakby spał, z głową lekko obróconą na bok i rękami wzdłuż ciała. Tylko zamiast oczu miał skrwawioną ranę, coś musiało trafić go w twarz w chwili katastrofy. Słyszała, jak automat odwraca się i staje za jej plecami.

Uklękła.

— *Requiem aeternam dona eis, Domine...* — Coś zgrzytnęło i trzysta kilo pancerza i obwodów bojowych padło na kolana, a głęboki metaliczny głos dołączył do modlitwy — ... *et lux perpetua luceat eis. Requiescant in pace. Amen.*

Wstała, naciągnęła koc na twarz zmarłego.

— Nie modliłabyś się — zahuczało z tyłu — nie tymi słowami, gdybyś była demonem, sukubem, który ma mnie zwieść... Kim jesteś?

Dobre pytanie. Kim jestem...?

Nie.

Złe pytanie.

— Nie „kim”. Ludzie zawsze pytają, kim jesteś, a powinni – po co jesteś? Jaka jest twoja rola w świecie, bracie mój. Czy jesteś po to, by jeść, pić, wydać i spłodzić kolejne pokolenie tych, którzy będą jeść, pić i kopulować? Czy uda ci się nadać swojemu życiu sens? Rozumiesz?

Automat wciąż klęczał i nie odpowiadał, przez chwilę myślała, że Zawisza już się nie podniesie.

— A kim i po co ja jestem? — zapytał wreszcie cicho.

— Jesteś bojowym automatem czwartej generacji. Model Knight V. Masz wgraną symulację osobowości dawno zmarłego wojownika, rycerza. Świat, który do tej pory oglądałeś, był przepuszczony przez kurtynę sensoryczną, widziałeś demony zamiast machin wojennych, ludzi zamiast automatów bojowych. Tylko... piekło, w którym cię umieszczono, było ładniejszym miejscem niż to tutaj, prawda?

Milczał, niezdolny do przetrawienia tej wiedzy. Oczywiście – automat, symulacja osobowości, kurtyna sensoryczna... Równie dobrze mogłaby mówić po chińsku. Dotarło do niego tylko jedno.

— Więc... nie będzie odkupienia?

Ton, jakim zadał to pytanie, mimo sztucznego, brzęczącego metalem głosu, sprawił, że coś w niej zamarło.

— Kimkolwiek był rycerz, na którego podobieństwo cię uczyniono, na pewno go dostąpił. Był dyplomata, wojownikiem, mężem stanu, z którego zdaniem liczyli się władcy ówczesnego świata. I

wolał zginąć honorową śmiercią, niż porzucić swoich ludzi. Oni... potrzebują takich jak ty — rzuciła szybko, widząc, jak Zawisza zaciska dłonie w żelazne kulaki.

— Kiedyś, na początku wojny, próbowali z bezdusznymi automatami, kierowanymi tylko przez sztuczną... mechaniczną logikę. Ale one się nie sprawdzały. Logika jest przewidywalna, a na polu bitwy przewidywalność to wielka luka w pancerzu. Logika nie zrobi niczego szalonego ani stracącego, niczym nie zaskoczy ani niczego nie będzie improwizować, zostawi ludzi na pewną śmierć, jeśli logiczne okaże się, by nie podejmować ryzyka. Lecz walczymy z wrogiem, który nie pojmuje świata tak jak my, potrzebujemy więc szaleńców i świętych, desperatów i berserkerów, którzy mimo to stawiliby im czoła. My... oni potrzebują bohaterów, kogoś, kto zostanie z nimi, gdy demony rzucają się do ich umysłów i czynią bezbronnymi. Wybrali największych wojowników historii, legendy swoich czasów, i starali się ich ożywić. Takich, jakimi ich sobie wyobrażali, jakimi byli w ich opowieściach. Bo ktoś musi zostać, gdy nadchodzi obcy, i ktoś musi pójść tam, gdzie żaden człowiek by nie przeżył.

Wstała i odwróciła się ku Zawiszy. Nawet teraz, gdy wciąż klęczał z pochyloną głową, był od niej wyższy.

— Tak... Ktoś... ja... A moje wspomnienia? Bitwy, pojedynki, Gułabiec... Moi towarzysze, ci, których pamiętam... którzy...

Uniósł nagle obie pięści i huknął nimi o hełm, raz, drugi.

— Teraz wiem... ale nie pamiętam ich... twarzy... imion... nic. Ale kiedyś oni... on, byli prawdziwi... Inaczej on by z nimi nie został. Inaczej nie bawiliby się w taki fałsz... Tak... ktoś musi zostać, żeby banda tchórzy mogła uciec. Jak nisko upadli, że każą toczyć swoje wojny wspomnieniom poległych wojowników? Zamiast walczyć z honorem, dumą. Uciekają i zostawiają nas samych, a gdy giniemy... — Poderwał nagle głowę. — A ja? Ile razy już tu umarłem? Ile razy budziłem się u bram Czyścica, przekonany, że muszę walczyć z demonami, aby zasłużyć na odkupienie?

— Zgodnie z tym, co wiem, cztery razy. Raz widziałam to na własne oczy, zanim skoczek zabrał mnie na tyły. Zostałeś, żeby osłaniać ewakuację szpitala polowego.

Odwróciła się, spojrzała na ciało kaprała Nowaka.

— Miał dwadzieścia cztery lata. Cztery lata temu wylosował kartę ewakuacyjną i mógł uciec z tego miejsca, lecz został, bo jego przyjaciele nie mieli takiego szczęścia. Oddał swoją kartę młodszemu bratu. Był cybertronikiem... to cenny zawód, chronił przed wzięciem do wojska, ale i tak przeszło rok temu zaciągnął się do armii, bo sądził, że ktoś powinien to zrobić. Czy był jakimś dziwakiem? Głupcem szukającym chwały? Czy jego śmierć ma jakiegokolwiek znaczenie? Robił to, co uważał za słuszne. I nieważne, że się bał, płakał, przeklinał, czasem nawet bluźnił. Zawsze znajdował w sobie jeszcze to jedno ziarno odwagi, poczucia obowiązku, lojalności, które kazało mu zostać i walczyć. Rozumiesz?

Nie odezwał się, nie drgnął. Żelazny golem wypełniony desperacją i rozpaczą. Nie mogła pozwolić, by się w niej pogąrzył.

— Wstań, pokażę ci coś.

Wyszli z bunkra wprost na pobojowisko. *Abandalakh* tkwił nieruchomo jakiś kilometr, może półtora kilometra od nich, jego meduzowate, nieregularne pulsowanie utrudniało ocenę odległości. Rozejrzała się. Ziemia, niebo, oleiste kałuże, dymy i płomienie, dopalające się lub rozpadające maszyny. Nigdzie nie było *kalehów* ani ich żywych broni. Po użyciu płaszcz bestia obcych cofnęła swoje sługi, jakby uznała, że ludzi można już zostawić własnemu losowi.

I czekała.

W pierwszym leju znaleźli amorficzną masę składającą się z kilku pancerzy przyklejonych do boku transportera. Płaszcz prawdopodobieństwa stopił je w kształt, w którym wspólny korpus pączkował głowami, rękami i nogami sterczącymi na wszystkie strony. Za jedną z przesłon hełmu coś się chyba poruszało, drgało spazmatycznie rytmem przerośniętego serca.

— Walczą z wrogiem, który pali, rozrywa i kaleczy ciała, który niszczy i pogrąża w szaleństwie umysły, a potrafi także zmienić ludzi w coś takiego. Ale walczą. Większość z nich ma mniej niż dwadzieścia lat, na front... do bitwy idą coraz młodszy, brakuje doświadczonych dowódców,

weteranów, którzy podnieśliby te dzieciaki na duchu, wsparli i dali przykład. Ale walczą, więc nie oskarżaj ich o tchórzostwo, rycerzu.

— Nie jestem nim.

— Jesteś. Tu i teraz jesteś Zawiszą z Garbowa, tak jak ja jestem Weroniką Amandą Redglowe, choć umarłam pięć lat temu w szpitalu, po tym, jak wykrwawiłam się z ran zadanych zębami i paznokciami.

Odwrócił się nagle, złapał ją za ramię, przyciągnął.

— Ona pierwszy raz zetknęła się z *maghostami* — powiedziała szybko — siedem lat temu. Ocaliła ją modlitwa, odparła atak bez ogłupiaczy, a niewielu ludzi to potrafi. Od tamtej pory przylatywała na front, by zająć się żołnierzami, których nie dało się zabrać w bezpieczne miejsce. Zmuszała ich do modlitwy, do skupienia się, pomagała obronić się przed falą szaleństwa. Udawało się jej z trzema na czterech, robiła się sławna, te dzieciaki śpiewały o niej piosenki, niektóre nawet sprośne. Aż do chwili, gdy została z czterema rannymi żołnierzami w bunkrze na linii Pulaskiego. Trzech z nich było katolikami, jeden protestantem. Wybuch zawałił drzwi tonami ziemi, nie zdążyli ich odkopać, zanim nadeszła fala. Musisz zrozumieć, modlitwa, medytacja, często pomaga przy ataku *maghostów*, ale one... żywią się psychozami, grymas, spojrzenie, gest – i już jesteś przekonany, że ten drugi chce cię zabić, że przespał się z twoją żoną albo że jest szpiegiem *kalehów* i zaraz rzuci się, żeby rozszarpać cię na strzępy. Jeden człowiek, wierzący, praktykujący, mający wsparcie w modlitwie kogoś, komu ufa, ma szansę jak trzy do czterech, dwóch jak jeden do czterech, trzech jak jeden do dziesięciu. Pięć osób nie miało żadnych szans. Po kilku minutach któryś z nich rzucił się na nią, a wtedy złapała taboret, solidny, metalowy, i tłukła go po całym ciele, wrzeszcząc „Módl się! Módl się, bo cię zajebię, skurwysynu!”. Niezłe słownictwo jak na zakonnicę, nie? Tłukła go, póki nie stracił przytomności. A potem stała na środku sali, ściskając w ręce ten zakrwawiony taboret i wrzeszczała, że mają się modlić, bo jak nie, to ich pozabija. I zaczęli się modlić, wszyscy, wpatrzeni w nią z przerażeniem. Bo *maghosty* możesz przespać, przemodlić, ale okazało się też, że możesz nie zauważyć ich przyjscia, jeśli coś rozprasza twoją uwagę. Jeśli boisz się kogoś. Lub o kogoś. Bo widzisz, ten pierwszy żołnierz poranił ją tak, że wykrwawiała się w tym lazarecie na śmierć. A gdy straciła przytomność, ci sami żołnierze, którzy kilka minut wcześniej mogliby ją zabić, zgwałcić albo zrobić coś gorszego, rzucili się na ratunek. Zabrała ich umysły tam, gdzie *maghosty* nie sięgają. W miejsce, w którym bardziej troszczysz się o innych niż o siebie. A gdy próbowali zatrzymać krwawienie, gdy robili sztuczne oddychanie, fala depresyjna przeszła dalej. Z pięciu osób zamkniętych w tym bunkrze trzy wyszły niemal bez szwanku, jedna miała kilka połamanych kości, a jedna zmarła pod wpływem odniesionych ran. Siostra Weronika Amanda Redglowe.

Podwinęła rękaw.

— Widzisz, blizna jak należy, zadbano o każdy szczegół.

Patrzył na nią, czuła to spojrzenie, choć Bóg jeden wiedział, skąd pochodziło to wrażenie, bo przecież nie miał nawet szklanych soczewek, w których odbijałaby się jej postać.

— Mój... — zawahała się — mój wzorzec. Zmarła w drodze na tyły, już po tym, jak odkopano ich i wysłano w bezpieczne miejsce. Ale ukryto tę informację i po pół roku pojawiła się znów, oficjalnie po rekonwalescencji i odpoczynku. Mieli ze mną łatwiejsze zadanie niż z wami. Żyją w świecie nieustannego podglądu i braku tajemnic. Kamery są wszędzie, w żłobkach, przedszkolach, szkołach, sklepach, miejscach pracy. Mieli ponad osiemnaście tysięcy godzin nagrań, na których była: od chwili narodzin do śmierci. Mogli sprawdzić, jak chodziła, śmiała się i płakała, jak zachowywała się w szkole, na randce, w pierwszej pracy, w zakonie.

Nadal trzymał ją mocno, oczywiście, nadal mówiła do niego jak po chińsku, rekonwalescencja, kamera, nagrania... Ale przynajmniej słuchał.

— Mieli dane z jej pamiętnika i z zapisków jej przyjaciół. Mieli karty medyczne, łącznie z zapisami fal mózgowych i sieci neuronalnej. W pół roku stworzyli... mnie. Zrobili to tak dobrze, że nawet jej rodzice nie zorientowali się, gdy wróciłam. A potem... bunkier, okop, rozbity transportowiec, odcięta placówka i ktoś taki jak kapral Nowak, ranny, uwięziony w uszkodzonym pancerzu, źle znoszący ogłupiacze. I była modlitwa, czasem za umarłych. A gdy modlitwa nie

pomaga... Więc gdy modlitwa nie pomaga, włączają się inne funkcje... odwracania uwagi. Mała zakonnica błakająca się po linii frontu może i jest żałosna, ale u wielkich mężczyzn w pancerzach wzbudza też sympatię i chęć ochrony. Więc gdy modlitwa nie pomaga... a ona... ja próbuję na przykład rozwalić sobie głowę stalową tacą... albo podciąć gardło kawałkiem szkła... ludzie często zapominają o własnych strachach i spieszą na ratunek. Tego się nie da udać, odegrać sceny, zimna inteligencja, pozbawiona — zawahała się — pozbawiona duszy nie oszuka innego człowieka, zwłaszcza takiego, którego umysł zjadają już *maghosty*, żaden aktor nie odegra takiej sceny naprawdę przekonująco, w filmach... sztukach kuglarskich...

Zabrakło jej słów, zakłęła pod nosem z bezsilnej frustracji.

— Cholera... mowa ciała, gestów, spojrzenia... tego nie da się udać, więc ja... ona... muszę wierzyć, że naprawdę jestem Weroniką Amandą Redglowe, siostrą wojny, jak mnie tu zwa, że *maghosty* naprawdę po mnie przysły, że pożerają mój umysł i że chcę umrzeć. Tak jak Szalony Koń musi wierzyć, że broni swoich kobiet i dzieci przed wrogami, a Zawisza, że walczy z...

— Z demonami Czyścica, by zasłużyć na Niebo.

— Właśnie. Ja też miałam się nigdy nie dowiedzieć — dorzuciła cicho. — Jestem... nowym modelem, przysłanym z Ziemi, sprawdzanym... ale płaszcz prawdopodobieństwa przyniósł mi dar... otworzył skarbiec wiedzy i umiejętności, który na zawsze miał być zamknięty. Gdy uruchomili „Chwałę Bohaterów”, coś we mnie się obudziło. Programy sztabu zidentyfikowały mnie jako jeszcze jeden automat, próbowały nadpisać, lecz jestem... lepsza od nich.

Zaśmiała się krótko.

— Przeszłam przez wojskowe zabezpieczenia jak chorągiew pancerna przez garść chłopstwa i nie znalazłam nic lepszego oprócz małej zakonnicy, by spróbować wygrać tę bitwę.

— Wygrać? Wierzysz, że możemy wygrać z tym? — Machnął ręką w stronę *Abandalakha*.

— Tak. Bo gdy wierzymy... walczymy lepiej. I nie ma... — zawahała się — nie ma większej chwały, większego pomnika dla odwagi, niż gdy ktoś powierza życie swym wyobrażeniom przekutym w metal, w żelaznego golema, bo wie, że on go nie zawiedzie.

Zarechotał ponuro. Nieoczekiwanie i tak głośno, że prawie ją ogłuszył.

— Piękne kłamstwa. Ale ja nie jestem nim. Nie wiem, co on, ten Zawisza, by zrobił. Nie wiem nawet, czy był jakiś Gołubiec, jakiś odwrót, jakaś obrona...

— Był. Był Gołubiec... Ale teraz go nie ma, jesteś tylko ty. Tu i teraz. I tylko ty możesz ich ocalić. Bo sięgnęli po desperacką broń, która zabije ich samych.

— Są tego warci?

— Jeśli udowodnię ci, że tak, pójdziesz? Za wszystkich martwych bohaterów.

— Udowodnij.

Spojrzała na demonicznie zmorphowany transporter. Coś zazgrzytało w środku i jeden z głośników wewnętrznej łączności, uruchomiony jej interkomem, ożył.

Powietrze wypełniły trzeszczące głosy.

„Drugi pluton, sprawdźcie bunkier numer sześć na trzeciej linii. Weźcie ciężkie palniki, żeby otworzyć drzwi, pewnie będzie trzeba”.

„Zostawiliście kogoś?”

„Tak. Jednego z naszych i szaloną zakonnice. Jeśli przeżyli, wyciągnijcie ich, gdy tylko skończymy zabawę”.

„Którą?”

„Weronikę Ama...”

„Ach... Siostra Wojny, co? He, he. Słyszałem o niej”.

„I sprawdźcie co z Zawiszą. Nie chcę go tam zostawiać. W tym miesiącu dwa razy ocalił mi dupsko”.

„Mi też. Jak go znajdziemy, zabierzemy”.

„Cisza w eterze! Za trzy minuty sadzamy tyłki. Niech nas Bóg ma w opiece”.

„Amen”.

„Amen”.

„A jeżeli nie ma czasu, żeby mieć nas w opiece, to niech chociaż popatrzy, jak Trzydziesty

Drugi dopierdała cholernym skorupiakom”.

Gwizdy i śmiechy.

„Aaaamen”.

— Słyszysz. Nawet idąc do bitwy, pamiętali o tobie.

— Widziałem głupców i tchórzy, którzy stawali do walki z gębami pełnymi przechwałek i bluźnierstw, po czym odwracali się i uciekali z krzykiem na widok wroga. Pokaż mi, jacy są naprawdę, teraz, w godzinie próby.

Zamknęła oczy. Jacy są... jacy jesteśmy naprawdę.

— Dobrze. Chodźmy.

Generał porucznik John Mannis stanął za nim i bez słowa obserwował ekran. Na ekranie *Abandalakh* wciąż przelewał się, jakby miał konsystencję wolno gotującego się szlamu, przechodził z jednego nieokreślonego kształtu w drugi.

— Bohaterowie gotowi?

— Tak jest, panie generale.

— Za dwie minuty niech zaczynają, skoczki mają lądować trzydzieści sekund później.

— Rozkaz.

— I...

Głośniki na ścianie zawyły, rozjęczały się zgrzytem katowanych częstotliwości.

— Co jest?

— Do cholery...

— Wyłącz to...

— Nie mogę. Ktoś połączył się z nami i nadaje do wszystkich.

— Jak to do wszystkich?

— Piechota, zmechanizowani, artyleria, transport, wszyscy to odbierają.

— Cisza! — tym razem ryknął generał i w sztabie momentalnie zrobiło się cicho.

— Halo... Halo... ktoś mnie słyszy? Tu siostra Weronika Amanda Redglowe. Halo...

Głośnik udławił się, gdy kilkuset ludzi próbowało odpowiedzieć jednocześnie.

— Nie wiem, czy ktoś mnie słyszy... wiem, że zaraz będzie ewakuacja, a potem wybuchną bomby... te wielkie, które zniszczą windę, ale tak trzeba...

Dowódca sztabu podskoczył jak trafiony pociskiem.

— Odciąć ją!

— Próbuję, panie generale. — Dłonie kapitana odpowiedzialnego za łączność tańczyły w powietrzu. — Ale wygląda to tak, jakbyśmy my byli odcięci.

— Co?

— Nie wiem. Pozmieniały się kody łączności i...

— ... jest ze mną Zawisza i mamy jedną z tych małych bomb atomowych. Przed nami nie ma za wielu *kalehów*. Ja... niech wszyscy podadzą swoje pozycje skoczkom i uciekają, ja... my spróbujemy do niego podejść... Jeśli nam się nie uda... zrzucajcie bomby. A wtedy niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Spojrzała na Zawiszę znad panelu sterowania radiostacji wyciągniętej z rozbitego czołgu. Wokół rozrzucone były szczątki kilku żołnierzy i resztki jakiegoś automatu. Nie wzruszało jej to. Teraz liczyli się żywi.

Och, chłopcy, nie zawiedźcie mnie.

Kilka kroków od nich tkwił w ziemi taktyczny ładunek jądrowy, którego zazwyczaj używały pustaki.

Wrzawa w eterze ucichła i przez chwilę wyglądało na to, że nikt jej nie odpowie.

— Tu porucznik Lee z Trzeciej Kompanii Grenadierów. Mam dwudziestu trzech ludzi, w tym jedenastu rannych. Potrzebuję skoczka na pozycję osiem–dwa–sześć–cztery–pięć–jeden.

Westchnęła.

— Jeden skoczek nie weźmie dwudziestu trzech ludzi, poruczniku.

— Wiem. A jedna pieprznięta zakonnica nie doniesie atomówki do *Abandalakha*. Damy wam osłonę, niech nam tylko zabiorą rannych. Którędy pójdziecie?

Powiedziała mu. Powiedziała wszystkim.

— Nie musi pan tego robić, poruczniku — dodała na końcu.

— Taaaa... nie muszę w ogóle być w pierdolonej armii. Ale mam rodzinę pod windą, a na dodatek mój dziadek zawsze mówił, jak już przyjdzie ci zreć gówna, to przynajmniej mlaskaj, jakby ci smakowało.

Zaśmiała się. Szczerze.

— Tu Soweris z ekipą z Dużych Dwójek. Mamy dwa moździerze, które chyba jeszcze dadzą radę strzelać. Dajcie nam trzy minuty.

— Kimnel...

— Czarowski z dwoma czołgami, grzejemy silniki.

— Oweklas...

— Sanaka...

— Pers...

Radio trzeszczało kolejnymi nazwiskami, a ona patrzyła na czarną, matową maskę Zawiszy. Po chwili niemal niezauważalnie skinął głową.

Gdzieś wokół nich skoczki zaczęły schodzić do lądowania.

— Ruszamy za sto dwadzieścia sekund — rzuciła do mikrofonu i wyłączyła nadawanie.

Automat podniósł żółto-czarny walec ładunku i zarzucił go sobie na plecy. Zakonnica wyciągnęła z martwych rąk karabin i sprawdziła stan magazynka. Teraz było to takie proste.

— Uda się? — Nie wytrzymała.

— Nie wiem, siostró. Niczego nie wiem, poza jednym.

— Tak.

— Ty i ja... jeszcze się spotkamy. Pod innym słońcem i na innej wojnie.

— Może. Lecz to nie będziemy my. My jesteśmy tu i teraz, rycerzu.

Gdzieś przed nimi rozjazgotały się szybkostrzelne karabiny.

Ruszyli.

Wszystkie teksty udostępniono za zgodą właścicieli praw autorskich.

Twórcy Internetowej Antologii Zajdłowej 2013: Marcin Zwierzchowski i Michał Smętek.

Ilustracje z opowiadania *Czerwona mgła*: Przemysław Truściński

Strona Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla:

<http://www.zajdel.art.pl/>

Strona Polconu 2013:

<http://www.polcon.waw.pl/>